

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/27

1950



• «La Culture» • Revue mensuelle •

A. UZIEMBŁO — Podziemie * J. BURNHAM — Walka o świat * W. LEDNICKI — O prozie Puszkina * G. ORWELL — Twórczość Donalda Mac Gilla * M. WAŃKOWICZ — Rozmowy w ciemnościach * M. CZUCHNOWSKI — Tęzy postacie w niebieskim ubraniu ♦ ARCHIWUM POLITYCZNE ♦ NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI: R. WRAGA — «Czwarty marszałek Polski» ♦ KRONIKA KULTURALNA ♦ BIBLIOGRAFIA ♦ LISTY DO REDAKCJI ♦ INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW ROCZNIKA «KULTURY» ZA ROK 1949

S P I S R Z E C Z Y

Adam Uziembło:	<i>Podziemie</i>	3
James Burnham:	<i>Walka o świat</i> (c. d.) Autoryzowany przekład Józefa Ursyna	35
♦		
Wacław Lednicki:	<i>O prozie Puszkina</i> (dck.)	60
George Orwell:	<i>Twórczość Donalda Mac Gilla</i>	75
Melchior Wańkowicz:	<i>Rozmowy w ciemnościach</i>	85
Marian Czuchnowski:	<i>Trzy postacie w niebieskim ubraniu</i>	93

ARCHIWUM POLITYCZNE

<i>Sytuacja międzynarodowa widziana z Paryża</i>	107
--	-----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Ryszard Wraga:	<i>«Czwarty marszałek Polski»</i> ...	119
K. Iranek-Osmecki:	<i>«Ptaszki» — «Zrutki»</i>	133

KRONIKA KULTURALNA

Jan Zadeykański:	<i>Don Kichot z Świętokrzyskiej</i> ..	140
—	<i>Oficyna poetów i malarzy</i>	146

BIBLIOGRAFIA

Jan Kowalik:	<i>Polonica niemieckie od I. IX. 1939 do 31. XII. 1948</i> (c. d.)	148
--------------	--	-----

LISTY DO REDAKCJI

Sł. Dunin-Borkowski:	<i>List do Redakcji</i>	152
—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za rok 1949.</i>	153

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń – Janvier 1950

INSTYTUT



LITERACKI

Tak jak i w roku poprzednim następny numer KULTURY ukaże się w drugiej połowie lutego w zwiększonej objętości, jako numer podwójny (luty-marzec 1950). Cena tego numeru wynosić będzie w sprzedaży detalicznej: we Francji — 200 frs.; w W. Brytanii — 5 sh., w Niemczech — 4 Dkm.; w U.S.A. i Kanadzie dol. 1,25; we Włoszech — 300 lirów; w Argentynie — 7 peso; w Belgii — 35 frs. belg.



Cym P. 9786 Chr. Arch.

IMPRIME EN FRANCE.

Imprimerie S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant. Paris (20°)

Podziemie

Ruch podziemny w życiu polskim — to zjawisko stałe od przeszło półtora wieku. Jest on z jednej strony przedmiotem podziwu i kultu — a z drugiej — ostrej krytyki i potępienia.

Po każdej klęsce narodowej — a ileż ich było! — następowało wzmoczenie tej krytyki. Osiągała ona szczyty po powstaniach, po załamaniu rewolucji — no i teraz, rzecz jasna — już z dwóch stron. Próbowano rzucania się z motyką na słońce przeciwstawiano wyniki ugodowej polityki (Wielopolski), pracy organicznej w dziedzinie przemysłu, handlu, narastanie bogactw, a łącznie z tym dźwiganie nauki, oświaty, literatury, sztuki — możliwości, jakie przed nami już-już otworem stawały.

2.

Po triumfalnym wkroczeniu, w roku 1918-ym, w grono niepodległych narodów, przyszedł okres apologii wytrwania w walce, idealizacja bohaterskich wysiłków, z których narodziła się wolność.

Można by powiedzieć, że niepodległość podówczas nie została przez nas samych zdobyta. Zyskaliśmy ją w wielkiej zawierusze planetarnej, w której legli nasi ciemiejcy, nie naszą obaleną ręką. Nastrój powszechny, łatwo wytłumaczalny, skłonny był przyznać zbyt wielką rolę naszemu udziałowi w sprawie. Teraz przypomina się to często z bolesną lubością. Ale nie wolno zapominać, że udział sił narodowych w dziele oswobodzenia nie można mierzyć dość skromną zapewne wielkością czynu legionowego na polach bitew. Trzeba wziąć pod uwagę te wszystkie siły, które zdołaliśmy wyzwolić i zorganizować w chwili decydującej, aby, gdy wróg się załamał, dźwignąć podstawy państwa, nie czekając na pomoc oraz ukształtowanie punktu centralnego, który te wszystkie siły skupił — osobistość Józefa Piłsudskiego. Badania cofnęły się przed oceną tego zjawiska. Próby Kutrzeby i innych nie znalazły echa. Wolano tworzyć legendy albo z legendami polemizować — na użytek polityki "wyborczej" dnia codziennego.

Ale, kiedy Piłsudski właśnie, pragnąc przedłużyć w przeszłość swe doświadczenie polityka powstańczego, począł śledzić

przygotowania do ruchu lat sześćdziesiątych i same początki powstania w obozie pod Małogoszczą, narzuciło mu się pytanie, doskwierliwe pytanie, które ujął w słowach: Wielkości, gdzie twoje imię?

Dobrze. Ochiań ofiar i bohaterstwa. Ale z jej odmetu nie wyłoniło się ani jedno nazwisko na miarę historyczną. Przywołujemy na pamięć tych, co ukazali się jako przywódcy, czy dowódcy — Traugutt, Mierosławski, Langiewicz, Podlewski, Jeziorański, Czachowski, Borelowski, Mackiewicz, ks. Brzóska... cokolwiek można by powiedzieć na chwałę ich charakterów, wytrwania, bezinteresowności, to jako działacze, jako politycy, jako wojskowi — nie wyrosli nad mierność. A ich walki — toż to miotanie się w konwulsjach.

Piłsudski na swe pytanie odpowiada, że wielkość istotna leżała w symbolu — w symbolu pieczętki okrągłej Rządu Narodowego, której siła magiczna działała na wszystko, podporządkowywała wszystkich, brała w służbę i małych i wielkich. Wielkość dokonała się bez wielkich ludzi.

Czy odpowiedź ta może zadowolić? Zobaczmy. Na razie jednak sama sprawa wielkości została niedowiedzionym dogmatem. Naród, jego psychika po poniesieniu tylu ofiar, po takim "deszczu krwawym", nie mógł przystać na to, że wszystko było tylko nieporozumieniem, rachunkową pomyłką — że ledwie znani z nazwiska ludzie zmarnotrawili na darmo życie i siły najszlachetniejszych. Uwierzył w wielkość i nie chciał się tej wiary pozbyć za żadną cenę. Nie chciał się wyrzec jej i Piłsudski.

3.

Mówi się o wartości wieczystej skarbu krwi przelanej, który się w duszy narodu gromadził. Więc pytamy teraz, w jaki sposób Naród tego Skarbu używa, w jaki sposób go sobie uświadamia, jak go przetwarza w aktach swej świadomości, w nauce, w sztuce? I ze zdumieniem stwierdzić musimy, że nauka cofała się zawsze przed opracowaniem nawet najważniejszych momentów naszych ruchów niepodległościowych i w ich postaci konspiracyjnej i jako wybuchów. Kościuszko po Korzonie już nie znalazł monografisty na wielką skalę. Dąbrowski to postać, nad którą badania dopiero rozpocząć wypada. Podziemie Królestwa Kongresowego dał w formie szerszej, z uwzględnieniem istotnych źródeł dopiero Szymon Aszkenazy. Powstanie roku 1830/1 oświetlają tylko pamiętniki i skróty. Rok 1863/4 omawiają wydawnictwa o charakterze apologetyczno-popularnym, z których żadne nie sięga naukowego poziomu. Jest nieco materiałów — nieraz z pietyzmem zebranych — ależ to wszystko dopiero wstęp do istotnego badania. Wstydlivość jakaś powstrzymywała od sięgnięcia w samą treść rzeczy. Czy obawa zniszczenia legendy? Czy strach wobec tabu? Czy może jakieś innej natury niemoc?

A literatura piękna? A sztuka? Mickiewicz broń złożył sądząc się "ptakiem małego lotu". Słowacki łamał się z sumieniem pod Termopilami, zaliczając samego siebie do "smutnych pół rycerzy żywych", którzy pozostali, i wołał łowić mary Wernyhory, Beniowskiego po stepach Ukrainy. A potem... Kraszewski, Zapolska, Daniłowski, Strug... Przez długi czas rok 1863 pozostał nam tylko w kartonach Grotgera i w płótnach Malczewskiego opiewających wspomnienia o Anhellim. A rok 1830 — chyba w muzyce Chopina.

Strasznie długo czekała Polska na wstrząs artystyczny. Dał go Wyspiański. Dał go Żeromski w tej straszliwej rozmowie ukrytego w becze Odrowąża z nihilistą-oficerem. Toż to wszystko rozpaczliwe krwawe pytania.

Definicja — pozostała na poziomie "Kościuszki" Anczyca i melodramu z rozkopywaniem mogiły ojcowskiej z "Urody Życia". Skarb. Czy nie o tym skarbie myślał Staff w swoim niedocenionym dramacie pod tym tytułem?

Nauka i sztuka stanęły wobec rzeczywistości z jakimś zakłopotaniem. I wiarą w wielkość pieczętki Piłsudskiego. I owym przepięknym — prawdziwie natchnionym "Gloria victis" Elizy Orzeszkowej.

A to nie może pozostać przedmiotem tylko wiary. Święte i wielkie — czy szaleńcze i szkodliwe? Prawda, czy złuda? Wartość — czy pustka przez bezpłodne cierpienie rozdęte?

Ta ocena nieodzowna jest teraz, gdy znów jesteśmy w niewoli, kiedy ruch wolności znów w podziemiu się znalazł. Uciekł spod kontroli publicznej. Ukrył się. I niewiedomo, co przygotować może.

Wspomnijmy jednak. Mickiewicz coś mówił o narodzie, który jest z wierzchu jak lawa zimna i plugawa. A wewnątrz... Słowacki pod trupią zgnilizną słyszał tajne kucie. Jakoby serca.

Czy to także pieczętka?

4.

Potępienie ruchu podziemnego płynęło z obawy przed ofiarami, które padały, albo szły w tajgi sybirskie i ginęły bez echa i chwały. Niejeden wrócił i czasem stawali ci w szeregach najświetniejszych współpracowników kultury jak Bolesław Limanowski, Benedykt Dybowski, Bronisław Piłsudski, Wacław Sieroszewski... Wylczenie nieskończone. A spoglądając na tych ludzi, myślało się nieraz — jakie zdolności wchłonać musiała katorga.

Co gorsza — niekontrolowane ruchy podziemne prowadzą do wybuchów — a te stają się katastrofą.

Takie postawienie sprawy nie jest całkowicie pozbawione słuszności i nie można go zbywać samym świętym oburzeniem. Ale też całej słuszności nie obejmuje.

Proszę zważyć. Wolnomularstwo narodowe i dalszy jego ciąg,

spisek Wybickiego, spełniły swe zadanie sprawnie. Prawda, nie przygotowano akcji ani politycznie ani wojskowo, z całym lojalizmem oddając sprawę w ręce kompetentnych czynników cywilnych i wojskowych. Wierzano w Czartoryskiego czy w Lelewela — ostatecznie w sejm (pod Herodem obierany). Wierzano w charakter i talent Chłopickiego, w przydatność szeregu innych generałów. Spisek nie znalazł w sobie woli kierowniczej i po niewczasie obnosił się z władzą, której nikt przyjąć nie chciał. Można to wytknąć jako brak wyrobienia politycznego, ale odpowiedzialność za przegraną obciąża nie tylko Wybickiego, nie podchorążych, nie podziemie. Rzecz była do wygrania. Jeszcze Ostrołęka powinna się była stać grobem armii rosyjskiej. Że się nie stała — winnych nie postawiliśmy przed sądem. Ale, powtarzamy, Wybickiego on uniewinni.

A powstanie roku 1863/4? Wybuch nastąpił bynajmniej nie z inicjatywy spisku. Sprawili to branka Wielopolskiego. Margrabia, indywidualność niepospolita, o psychice dyktatorskiej, był człowiekiem chemicznie wypranym z umiejętności organizowania społeczeństw. A jednocześnie z przedziwną naiwnością wierzył, że najczynniejszy żywioł pozwoli się wybierać jak ryby z saku. Branka — znaczyła śmierć moralną dla tych, których dotknęła.

Zostanie zarzut, że organizacja pozwoliła sobie narzucić najmniej odpowiedni moment do wybuchu. Zuchwała wiara, że kijami zdobędziemy karabiny, karabinami armaty, armatami Modlin i Warszawę — zawiodła. Ale ruch podziemny można oskarżać jedynie o to, że dał sobie wydrzeć inicjatywę, że nie zdołał ukryć ludzi inaczej.

5.

Wreszcie ostatnia walka. Sprawa jej nie została należycie wyświetlona. W polityce rację ma ten, kto wygrywa. Przegrywający popełnił błąd. Broszurkowa apologia tej rzeczy zmienić nie może. Obecnie na zagadnienie to rzuciły zupełnie nowe światło, przyznam niespodziane, wspomnienia Jana Kwapińskiego i Stanisława Mikołajczyka, oraz książeczka Adama Pragiera. W wielu wypadkach zestawienia tych dokumentów dają niezmiernie dużo do myślenia i dowodzą, że autorzy znacznie więcej wiedzą, niż chcą powiedzieć.

Ale znów stwierdzić należy, że za powstanie Warszawy nie jest odpowiedzialny sam fakt istnienia ruchu podziemnego.

Toż nasze oddziały leśne powstały bynajmniej nie jako akt świadomej woli spisku narodowego. Tworzyły się one samorzutnie z tych, kogo polityka Niemców wyrzucała z domu. W lesie znaleźli się ci, którzy nie chcieli iść na roboty przymusowe do Rzeszy, ci którym na pięty następowało Gestapo nieraz za "zbrodnie" popełnione jeszcze przed wojną. Ci, którzy nie mogli znieść atmosfery nieustannych łapanek. Ten żywioł krył się po

prostu. Organizacja jego, ujęcie w jakieś ramy — to było zagadnienie opiekuńcze. Wystąpienia czynne — to już konieczny skutek określonego trybu życia, konieczność obrony, zdobywania środków. Można podnosić słuszność gospodarzenia tymi oddziałami, ale istnienie ich samo zostało nam narzucone. Nie mogliśmy się dać wybijać bez oporu, jak Żydzi w ghettach.

Co do powstania samego, złożyło się na nie zbyt wiele czynników, abym zdecydował się wydawać o nim obecnie sąd. Pytanie jakie stawiam brzmi: czy było ono koniecznym wynikiem konspiracji? W moim przekonaniu — nie. Dalszych rozważań nie podejmuję w tej chwili.

6.

Podziemie polskie to nie tylko porozumienie przedkościuszkowskie, nie tylko wolnomularstwo narodowe, sprzysiężenie podchorążych, tworzenie Komitetu Centralnego Narodowego, ruch socjalistyczny w różnych jego odmianach, Liga Narodowa, Orzeł Biały, Związki Bartoszewe, Mierosławczycy, Nieprzejednani i jak się te wszystkie zrzeszenia nazywały. To również katolicyzm na Chełmszczyźnie, tak wydatnie przez Częstochowę wspierany, a rozporządzający stałą organizacją duszpasterską, czyniącą za dość potrzebom chyba setek tysięcy ludzi. To kolosalna sieć tajnego nauczania, które tuliło się w kuchniach i w salonach, w fabrykach i dworach i warsztatach. A przecie tak wybitnie niepodległościowa, polityczno-rewolucyjna organizacja jak PPS, przed rokiem 1905 była niezmiernie daleka od wszelkich cech militarnych. Zdążyła ona do stworzenia masowego ruchu społeczno-politycznego. Zagadnienia powstania, rewolucji stanowiło tylko pewnego rodzaju możliwość. Kierownicy ruchu i jego członkowie zdawali sobie dokładnie sprawę, że nie zdołają zgromadzić środków, niezbędnych do podjęcia wojny polsko-rosyjskiej. Na wojnę powszechną jeszcze nie liczono. W tej sprawie znajdziemy wiele zupełnie jasnych wypowiedzi nawet w "Przedświcie". Wszelkie projekty powstańcze, stosunkowo nieśmiało podnoszone przez Witolda Jodkę-Narkiewicza traktowano na ogół jako fantazję. Praca ograniczała się do propagandy. — Bojówka — bynajmniej nie stała — miała znaczenie tylko samoobrony, zaś rozwijać się zaczęła, gdy wojna japońska otworzyła nowe widoki. Ruch zbrojny powstał w myśli dopiero, gdy zawierucha światowa nadciągała poczęła.

Gdy pragniemy ocenić wyniki pracy podziemia — trzeba wziąć pod uwagę nie tylko zjawiska polityczne. Ono nauczyło robotnika przy pomocy solidarnych wystąpień podnosić poziom swojego bytu. To rzecz, której niedoceniać nie sposób, bo dopiero na pewnym poziomie materialnym można mówić o pielęgnowaniu kultury w ogóle, a kultury narodowej w szczególności. Ono powstrzymało pochód prawosławia od wschodu, co ujawniło się w pełni w chwili ogłoszenia przez Rosję w roku 1905 ukazu

tolerancyjnego, gdy całe ziemie zrzucały triumfalnie pokost wschodniego obrządku i spotykały z banderami dostojników katolickiego Kościoła. Na dobro tego ruchu należy zapisać całość polskiego nauczania. Przecie mieliśmy najniższy odsetek analfabetów w państwie carów, czyli nasz społeczny wysiłek dokonywał więcej niż szkoła państwowa w rdzennie rosyjskich guberniach. Ogromna część ruchu wydawniczego, literackiego i naukowego żyła z przemytu książki polskiej. Wyspiański, Żeromski, Sieroszewski, nie mówiąc o innych autorach, w tysiącach egzemplarzy dostawali się na obszar b. Królestwa. Szli w Litwę — nielegalnie. "Przedświt", "Przegląd Wszechpolski", "Polak" miały tam wyrobioną drogę przez własne stosunki partyjne. Ale tą samą drogą zdążały za nimi i "Życie" i "Krytyka". A przemyt ten stanowił specjalną troskę osobnego działu techniki PPS, czego liczne dowody znalazłem w materiałach gromadzonych przez Instytut Badania Najnowszej Historii Polskiej. Niestety, materiały te uległy zniszczeniu, a rozprawka, którą na ich podstawie skonstruowałem — też podzieliła ich los. Robotę podziemną traktuje się pospolicie jako wysiłki dla przyszłości politycznej. Oczywiście, rolnik też dla przyszłości rzuca ziarno w ziemię. Ale jednak wytwarza wartości zupełnie aktualne, wartości niezbędne w życiu powszednim, w życiu społeczności i w życiu jednostki.

Najeżdźca w czasie ostatniej wojny uczynił wszystko, by nam odebrać wiarę w siebie, wiarę w człowieka w ogóle. Widzieliśmy w poharbieniu, nie tylko fizycznym, najdumniejsze głowy. I oto w ruchu podziemnym zapłonął ogień prometeuszowy — w szarym człowieku — we mnie, w tobie, w nim.

7.

Bo w tym właśnie jest istota rzeczy, że ci, co brali udział w życiu podziemnym, wyłamywali się z bierności. Nie o jakieś "zasługi" tu idzie, a o ratunek dla własnego poczucia godności. Walka dawała rozkosz nieomal fizyczną, dotykającą. Uprzytomnić sobie dziś trudno, jak bujnie wchłaniało się szczęście wolności w obozach leśnych, w powielarni, na ulicy pełnej policji i szpiegów, z paczką czegoś zakazanego pod pachą. — Te chwile opłacały nie tylko trud, ale i strach, jaki wypadało przebywać.

Katakumby dawały chrześcijanom szczęście wspólnego roztapiania się w Bogu. Ruch podziemny w swoich kryjówkach dawał posmak wolności, tworzonej przez deptanie nakazów przemocy. Dawał poczucie spójności z ludźmi, którzy słabość swą dla powszechnej sprawy pokonywali, z ludźmi w których męstwo się wierzyło. I oto jest ten element etyczny podziemia, na który taką wagę kładł Stanisław Brzozowski w swych "Płomieniach":

Niech się nauczy pod ziemią kryć z gniewem
I być jak otchłań w myśli niedościgły...
Mową truć z cicha, jak zgniłym wyziewem...

przemawiał Mickiewicz w przykazaniu dla Matki Polki. Ale... pisał to wtedy, gdy już sam nie brał udziału w konspiracji, gdy przeżył z tego powodu gorzkie wyrzuty i ze strony przyjaciół i sumienia. Ciekawe, że wtedy gdy był pogrążony z głową w tajnym ruchu — pisał inaczej:

Hej, użyjmy żywota,
Wszak żyjem tylko raz!
Niechaj ta czara złota
Nie próżno mija nas!
Hejże do niej wesoło!...

I to jest rzecz decydująca. Podziemie — to nie tylko ofiara. To życie, to zaspokojenie potrzeb aktualnych.

A teraz przyjrzyjmy się nieco jego pracy i bytowaniu.

8.

O jednym z wybitnych organizatorów PPS, Michale Sulkiwiczu, opowiadano, że kiedy miał przejść z Hożej na Wspólną, na zebranie, czy spotkanie, najpierw udawał się do kościoła św. Aleksandra i tam sprawdzał, czy jest "czysty", czy nie wlecze się za nim przypadkiem szpicel. Jeżeli pozostawała wątpliwość, siadał w tramwaj i jechał na Powązki. Tam, na ławeczce, przy skromnym grobie — najchętniej wybierał te o zatartych nazwiskach — obserwował otoczenie. Skoro dojrzał coś podejrzanego, poczynił kluczyć po mieście w najdziwszy sposób. Jeżeli nie — to z zachowaniem największej ostrożności, dorożką, tramwajem, piechotą, wstępując po drodze do różnych sklepów — wędrował na miejsce spotkania.

Może to i przesada. Ale w konspiracyjnym życiu opuszczenie mieszkania, czy wejście do mieszkania, to całe zagadnienie. Czy sam nie jestem śledzony — bo w takim razie ściągam uwagę na dom. Czy mieszkanie nie jest pod obserwacją — bo wtedy podejrzenie zwracam na siebie. Trzeba bardzo uważać. Osobiście raz dostałem się do więzienia, bo nie zwróciłem uwagi, że idzie za mną "filorek". Sądziłem, że z Filharmonii nikogo nie ściągają. A przecież jedna rozmówka tam już zwróciła na mnie uwagę. I wpadłem.

A oto żywy przykład. Pewna konspiratorka, nazwijmy ją panią Zofią, miała umówione spotkanie z osobą "nową" — na Mokotowie. Znak rozpoznawczy — kwiatek osobiście przypięty — no i hasło. Wybrała się z Żoliborza. Plucha. W tramwaju resztki miejsc zajmuje się szturmem. W ostatniej chwili ktoś mocny popchnął ją do środka, by sobie znaleźć miejsce. Po ustawieniu drobnych stópek na pozostałych wolnych centymetrach podłogi, obejrzała się za zbawcą. Był to znajomy, inżynier — prawie sąsiad. Miła niespodzianka — długą podróż można urozmaicić pogawędką. Spozierają czasem na chmury. P. Zofia myśli o moknięciu "sub Jove". Ale ostatecznie czas mija i przystanek się

zbliża. Trzeba zejść z oczu znajomemu, by wysłać niespostrzeżenie. W tłoku, wśród ponawiających się ciągle szturmów o miejsce, to nie trudnego.

Ale, kiedy już wyskoczyła — wężem konspiratora poczuła, że znajomy też wysiadł. Przykre wrażenie. Obejrzała się — nie było go w polu widzenia. Obiegła budkę stacyjną i — by zgubić ślad, no, i przypiąć umówiony kwiatek, wpadła do pobliskiej bramy. Po czym wychodzi i — znów na przystanek.

Buty przemokły. Woda pod płaszczem spływa po plecach.

I oto nagle ów inżynier, jak spod ziemi wyrasta i idzie na przeciw. Chce zniknąć — tymczasem na jego klapie przypięty jest najzupełniej przepisowo ten sam goździk.

Razem z Żoliborza jechali i starali się zgubić wzajemnie. Oczywiście, że było sporo śmiechu. Ale nam nie o zabawną stronę chodzi. Oto, rzecz prosta, którą w ciągu długoletniej znajomości załatwiali przez nakręcenie numeru telefonu, stała się złożona, może nawet niebezpieczna. Zabrała godziny.

9.

Piłsudski, który redagował "Robotnika", pisał artykuły wstępne i notatki kronikarskie, a dodatkowo musiał sam składać i odbijać, nosić papier i ekspediować. Ciekawe wspomnienia Nowickiego opowiadają o urządzeniu granicy do przemytu. Nie tylko przetransportowanie każdego drobiazgu, ale umieszczenie go na przechowaniu stanowiło trudność nielada.

Wspaniale urządzoną drukarnię PPS przy ul. Foksal, opis której znajdziemy w niejednym wspomnieniu w "Niepodległości" — to wysiłek pracy i mózgów. To wkład inteligencji takich ludzi jak Feliks Turowicz i szeregu współpracowników. Obsługa jej to skomplikowany aparat, którego każdy trybik musiał być nie tylko obmyślony, ale i wykończony do najdrobniejszego szczegółu.

Wszystko to daje pojęcie o niesłychanym zużyciu sił dla osiągnięcia stosunkowo bardzo nikłych skutków. I to jest jedna z zasadniczych stron roboty konspiracyjnej. Braki techniczne nadrabia człowiek pracą i tę pracę jeszcze sobie utrudnia przez zacieranie śladów. Dochodzi do takich rzeczy, że kiedy dajmy na to dla urządzenia skrytki musi się zrobić wykop, to ziemię trzeba wynosić w torebkach, w pudełeczkach, wrzucać do zlewu. I to trwa bez końca, aż przypadek pozwoli pozbyć się nagle całego worka.

Oblicza się nieraz przygotowanie na tydzień — a tymczasem mijają miesiące i jeszcze ich końca nie widać. I nie wolno stracić równowagi, bo przez przyspieszenie można wszystko zgubić jednym nieostrożnym ruchem.

10.

Metody konspiracji? Zapewne, wyrabia je każde środowisko.

Ale bynajmniej nie względy ostrożności każą mi wstrzymać się w tej chwili od ich wyszczególniania. Przecie służba wywiadowcza każdego państwa posiada całą literaturę na ten temat, posiada olbrzymi aparat naukowy i laboratoryjny, i przykładów bez końca. Konspiracja nie rozporządza takimi środkami, by choć częściowo wykorzystać te źródła. Mało kto z konspiratorów zna tę literaturę, najczęściej nawet obce są im elementy, które znajdują się w każdej instrukcji dla oficerów wywiadowczych. Trzeba to nadrobić sprytem, pomysłowością, dostosowaniem się do sytuacji.

Nasze podziemne instrukcje zaczęły się ukazywać jako wydawnictwa Wydziału Bojowego PPS. Potem układała je komenda POW. Oczywiście zajęły się tą sprawą i władze ZWZ, z którego powstała AK.

W tych ostatnich wydawnictwach rzecz została rozpracowana szczegółowo. Znajdziemy tam bardzo ścisłe definicje takich pojęć jak lokal pobytu, lokal pracy, lokal kontaktowy itd. Oczywiście jest i surowy zakaz używania mieszkań dla różnych celów. Ostrzegano przed witaniem się na ulicy i w miejscach publicznych, pouczano, że pisać należy jak najmniej, a notatki niezbędne zaszyfrować i to tak, by dawały sens obojętny, możliwy do usprawiedliwienia życiowo. Były i wskazania, że kto posiada dokumenty jakiegos zawodowca, winien przystosować do nich swój wygląd: brudzić ubranie, ręce, postarać się o nagiotki. Strasznie to było mądre.

Wiara nowicjuszków w tego rodzaju przykazania była czasem naprawdę rozczulająca. Razu jednego jeden oficer przyniósł mi długi elaborat na te tematy, domagając się nie tylko przestudiowania, ale i podpisania, że przeczytałem i przyjąłem do wiadomości i wykonania. Oficer ów powoływał się na rozkaz nie byle kogo, bo — samego gen. Bora-Komorowskiego. Widocznie rozkaz nie był tak bezwzględny, bo z powodu odmowy nie zostałem jakoś pociągnięty do odpowiedzialności, a w przyszłości żądania takie w moim otoczeniu już się nie powtarzały.

O metodach pracy konspiracyjnej trudno jest w istocie mówić, dobra konspiracja nie uprawia stałych systemów. Jak się np. drukuje prasę podziemną? Thugutt we wspomnieniach podaje, że używał do tego drukarni legalnych. Podczas okupacji nieraz i nam służyły zakłady pod zarządem niemieckim. Wielka oblawa na Woli Justowskiej w Krakowie wykryła drukarnię w wykopie. Na Foksal mieściła się ona w wielkim składzie papieru. Powielarnie oglądałem i w składach węgla i w sklepie korzennym i w biurach wszelkiego rodzaju i w prywatnym mieszkaniu.

Jak się przewozi broń? Ze wspomnień "dromaderek" PPS wiemy, że przewoziły ją na sobie. Próbowaliśmy tego i osobiście

z różnym powodzeniem. Przewożono i pod kapustą. Policja parę razy znalazła broń w trumnach. A oto...

11.

Pewnego razu trzeba było usunąć z mieszkania kilka karabinów. Rewizja miała spaść lada moment. Odpowiedzialny p. X. przyjmuje zawiadomienie. Zrobi się. Nie ma co wdawać się w zbyteczne rozpytywanie.

Wyprawia wszystkich, sam bierze torbę skórzaną, wypycha ją żelastwem mogącym uchodzić za narzędzia ślusarskie, smaruje nieco ręce i gębę węglem, rozchełstuje koszulę odpowiednio, przewiesza torbę przez jedno ramię, na drugie zawiesza wszystkie karabiny i najspokojniej wychodzi na ulicę.

Komu teraz przyjdzie do głowy, że to nie rusznikarz pracujący na zamówienie władzy? Kto może "rozszyfrować" tę bezczelność przechodzącą istotnie wszystkie granice? Toż musiały go widzieć dziesiątki SSowców. Szedł i przeniósł. Prawdopodobnie nawet oddział idący na rewizję go spotkał.

A oto inny wypadek — już nie z bronią. Stary konspirator miał przygotować do wysłania pewne plany. Nie byle jakie — V² jeśli łaska. Niesie je w teczce. Spory rulon. Konspirator nasz ma oczywiście dokumenty w porządku, jest doskonale legalny. Ale przy końcu wędrowki — wpada na masową rewizję. Odwrót zamknięty — jest w saku. Wyrzucić? Może by się i dało, ale przecie w rękach ma owoc pracy i krwi. Materiał posiadał znaczenie nawet dla przebiegu samej wojny. A więc?

Występuje naprzód i sam podchodzi do rewidujących:

— Pilno mi w sprawach służbowych. Oto moja legitymacja. To są papiery mojej spółdzielni (wyciąga rulon i daje Niemcom) — a zresztą nic w teczce nie mam.

Niemiec oczywiście omija rulon i zagląda do teczki. No i przepuszcza. Jeżeli mam być niedyskretny, to dodam, że pan ów, popełnił plagiat na samym sobie, bo w roku 1906-ym w taki sam sposób, w czasie ulicznej rewizji, ocalił matryce "Robotnika".

Takie rzeczy wymykają się oczywiście każdej metodzie i urągają zuchwale wszystkiemu, co można by nazwać zasadą. A przecie bezczelność staje się w pewnych warunkach systemem.

Oto jesteśmy w Krakowie, bardzo ciężkiego roku 1944-go. Łapanki nie ustawały, wszystkie słupy były zaklejone ogłoszeniami o sądach doraźnych i egzekucjach. Wychodził tam wtedy "KAR", Krakowska Agencja Radiowa, komunikat codzienny, doręczany Delegatowi Rządu, Władzom Wojskowym, trzem dziennikom lokalnym i centralom stronnictw. Doręczały go łączniczki, że tak powiem, "wyższego rzędu", to jest współpracowniczkami agencji, upoważnione do przeprowadzania rozmów zasadniczych. A czyliły to na Plantach — między Starowiśnią i Gertrudy. Nieco dalej ku Wawelowi było miejsce dla klienta, obsługującego spe-

cialne audycje. Odbiorcy rozsiadali się na ławeczkach — łączniczka przysiadła się no — i koperta wsiąkała.

Ale wkrótce szanowni odbiorcy poznali się. Przecie mieli oczy. No i dla ułatwienia pracy doręczycielce, a skrócenia sobie czasu oczekiwania, poczęli obsiadać wspólną ławkę. Niedaleko gmachu poczty powstało w ten sposób codzienne zgromadzenie wesołe i głośnie.

Władza KAR'u przyłapała te praktyki. Przy zmianie łączniczek — koniecznej z innego powodu — następczyni dostała najściślejszą instrukcję rozbicia tych wieców i ustalenia marszruty wzdłuż ulic wokoło, z zachowaniem jak najdalej idącej ostrożności. I przez jaki tydzień wszystko było w największym porządku. Ale oto trzeba było znów łączniczkę wycofać. Nim przyszła nowa, zastąpić ją musiał sam redaktor agencji. Do niego jednak już wszyscy zawsze mieli jakieś interesy. I wszystko się zbiegało od razu. Wiece ze wzmożoną frekwencją odzyskały obywatelstwo.

Redaktor wtedy miał życie ułatwione pod względem "kontaktów". Boć na tych samych Plantach, zaraz za Starowiśnią "urzędował" przedstawiciel delegata Rządu, ze specjalną predylekcją stając pod "szczekaczką" niemiecką, która co parę godzin podawała komunikaty, a przed którą w owym czasie gromadziły się tłumy, słuchając z nieprzeniknionymi minami wszystkiego i wyławiając wiadomości o nowych kłeskach niemieckich.

Po wymianie słów, można było przejść dalej i w bocznej alejce zastać spacerujące beztrósko kierownictwo propagandy wojskowej. A jeszcze dalej, pod teatr, zapuszczały się zagony poszczególnych działów tego kierownictwa. Po pewnej przestrzeni, gdzie niby przypadkiem snuły się oblicza ludowców, za Zwierzyniecką — obradowały PPS'y. I tak dzień w dzień.

Raz na tych plantach jeden z redaktorów, bestia kuta na cztery nogi, przesiedział za długo. Jakiś konfident wskazał go policji i zaprowadzono gościa na posterunek niemiecki. I stała się rzecz zupełnie nieprawdopodobna. Redaktor oberwał, ale zdołał tak otumanić policjantów, że go wypuścili a konfidenta odesłali na etap — do robót w Niemczech. Zorientowali się dopiero wtedy, gdy nie było obu. I tak się zajęli poszukiwaniem redaktora, że o konfidentie zapomnieli. Ponoć i pojechał do pracy.

Wyjątek. Tak jest. I właśnie to jest metoda konspiracji — by wszystko było niepowtarzalnym wyjątkiem, by wszystko pozostawało poza możliwością obliczenia — właśnie tam i wtedy — gdzie i kiedy nikt się tego spodziewać nie może. Rutynie i wiedzy policjantów fachowców przeciwstawia się inteligencja żywego człowieka. I tej żadna policja nie sprostą — bo najinteligentniejsi ludzie nie szukają w tej instytucji kariery.

Oczywiście w dziedzinie wynalazczości konspiratorskiej celuje młodzież. Cudów po prostu dokonywali ulicznicy warszawscy i harcerze. Żadne przechwałki nie przewyższą prawdy dnia co-

dziennego, genialnej prostoty tych rzeczy. Ale — oto i kwalifikacje.

12.

Ludzie podziemia — to bardzo obszerne pojęcie. Pomiedzy swoimi współpracownikami miałem i profesorów i inżynierów i dyrektorów banków, pisarzy, robotników, wojskowych. Były dwie urodzone Niemki, które nawet nie umiały mówić po polsku — a pracowały z całą świadomością dla sprawy wolności — zupełnie bezinteresownie. Był przedsiębiorca, który miliony robił na zamówieniach niemieckich. Dawał on pieniądze, a przez pewien czas nawet trwał "w lesie". Zresztą, na co dzień — spekulant bez wielkich skrupułów. Był i fabrykant, który sprytem swym uratował niejednego, kieszeń miał zawsze otwartą. Na drugi dzień po wkroczeniu Sowietów przerzucił się od razu do PPR. Była dziewczyna wiejska, młoda, silna, zdrowa, co po "gazetki" trzydzieści parę kilometrów chodziła piechotą. Torturowana przez Niemców, pary z ust nie puściła. W śledztwie Bezpieki wszystko zniosła, ukrywając AKowców. A przecież kradła wszystko, co się dało — nie tylko Niemcom, ale i mnie. Był inżynier — niby ideowiec, z najlepszymi poleceniami. Nie tchórz. Ten znowu kazał się opłacać. Jeśli dostał za mało — to po prostu sabutował robotę, a gdzie można było się nie wyliczyć — korzystał.

Jeden po drugim przesuwają się przed oczyma towarzysze pracy. I ta grupa młodzieży, co pod harcerskim sztandarem, o głodzie, robiła co tylko można. Zarabkowali nędznie po jakichś biurach. Chude to było, wygłodzone — ale wydawali pismo. Żyło ono jakoś. Korzystało z agencji. A chłopcy mieli ambicję. Stworzyli kurs dziennikarski. Prowadziłem go w braku lokalu korespondencyjnie. Wyrabiali się naprawdę, bo mieli nie tylko serca ale i głowy. Rozpoczęli wydawnictwo literacko-satyryczne. Wreszcie skończyli kurs i postanowili oblać tę uroczystość. Sygneli się. Rozstrzelano wszystkich.

Ujrzenie bohaterów i karły...

W jednym szeregu. Ostatnia nasza konspiracja porwała wszystko. Cały Naród poszedł w podziemie. Każdy chciał dorzucić coś swojego. Jeden z przekonania, z nakazu sumienia, inni z fantazji. Niektórzy z wyrachowania — bo kto wie, co będzie. Zawsze legitymacja może się przydać. Szło wielu i owczym pędem. Tak — owczym pędem w bohaterstwo. Rzecz warta zastanowienia.

Walka z Niemcami była tak zaraźliwa, że porywała czasem nawet ich sługi. Znany mi jest wypadek, kiedy policjanci kryminalni wykorzystali sposobność libacji kilku konfidentów Gestapo i pod pozorem poszukiwania bandytów wpadli niespodzianie, sprowokowali zwadę i wystrzelali wszystkich. I jakież potem w sąsiedniej knajpie przechwalali się z polowanka.

I staje się podziemie istotną siłą właśnie dzięki tej szerokiej masie, o którą się opiera. Nieraz za czasów carskich jeszcze, znajdowałem się pomiędzy dwoma kordonami. Zdawało się że już koniec. Już ptaszek w matni. Ale na tych ulicach nie było niemal jednego domu, w którym by nie siedział jakiś robociznik, który mnie widział na wiecu, czy gdzie indziej. I wnet ktoś pociągał za sobą — a potem podwórka — mury, płotki — i szukaj wiatru w polu. Na poczcie, na kolei, nasi ludzie opiekowali się skrzyniami, paczkami, listami — chronili je, lub wykradali, gdy było trzeba.

Ale to wszystko robią współpracownicy. Inna rzecz — trzon. Tu już łatwiej wziąć całość pod obserwację. Łatwiej odnaleźć cechy wspólne. Choć... ot — z tych czy innych względów nieraz dostarczyć mieszkania np. tkwi głębiej w tajnikach organizacji niż pracownik, którego hierarchia postawiła stosunkowo wysoko. Nawiasem mówiąc prawie zawsze współpracownicy wiedzą znacznie więcej o szczegółach konspiracji. Niech posłuży za przykład fakt, że o nazwisku Bora-Komorowskiego za czasów jego pobytu w Krakowie dowiedziałem się od pani, która z nim sąsiadowała, choć pod swoim nazwiskiem nie mieszkała.

Ale istnieje trzon, który koordynuje pracę. Który koło wszystkiego "chodzi". I ten trzon ruchliwy, eksponowany, pozostający w ciągłej styczności z licznymi ogniwami, łączący je z centrum — musi być niedostrzegalny. Tajność podziemnej organizacji polega na tym, że prowadzą ją ludzie bez twarzy. Polityk, pisarz, lekarz, inżynier, majster fabryczny — to wszystko są ludzie znani — znani większej liczbie osób niż sami zdołali spać. Znani — nieznanym sobie. I taki, gdy gdzieś wchodzi — zwraca uwagę. Czyją — sam nie wie. I zostawia ślad. Jest zatem niebezpieczny.

Bezpieczny — oczywiście ze wszystkim zastrzeżeniami — jest człowiek młody, nieznan. On nie jest jeszcze osiadły, więc może być wszędzie w poszukiwaniu czegoś. On stara się o stosunki, więc je nawiązuje.

A z drugiej strony ten młody ma wiele życia przed sobą — wiele czasu — więc nie trzęsie się nad nim jak skąpiec — szafuje nim hojnie — umie ryzykować. Wyobraźnia maluje mu widoki zwycięstwa i triumfów. Brak gruntowniejszego wykształcenia ułatwia uproszczenia wszelkiego rodzaju, zostawia pole do wiary, łatwość tworzenia dogmatów lub ich przyjmowania. To daje gotowość do czynu. Ruszenie bryły z posad świata, pchnięcie jej nowymi torami — wydaje się rzeczą łatwą, mierznie siłą na zamiary — słuszną.

Pod tym świetnym pióropuszem ideowym jest inny czynnik, na ogół podświadomy — jest to swoście pojęty kompleks Edypa, pragnienie usunięcia z drogi starych i zajęcia ich miejsca.

Jakżeż mocno występował on zwłaszcza we wszystkich wewnętrznych ruchach opozycyjnych wewnątrz partyj. Osóbka np. wierząc w PPS całkiem jawnie się na to powoływał. Na ogół jednak czynnik ten pozostaje w podświadomości i dlatego jest szczególnie niebezpieczny, jak wszystko, co jażn w sobie tłumi.

Młodzież więc — bardzo zielona — siedziała w spisku Podchorążych. Młodzież panowała w Centralnym Komitecie Narodowym na początku lat sześćdziesiątych. W czasie najbujniejszego rozwoju ruchu PPS w latach 1905-8 na czele okręgów stały dwudziestolatki. Ten co przekroczył ćwierćwiecze był już powagą, seniorem. Tylko na samych szczytach stała gromadka weteranów.

W dużej mierze powtórzyło się to i w okresie okupacji niemieckiej, jakkolwiek mniej wyraźnie. Niemcy wprowadzili wtłoczyli do podziemia wszystko, łącznie ze sprawą zarobkowania, odżywiania się. Znalazł się z nim i cały aparat państwowy i społeczny. U góry, najwyższe sfery dobiegały się oczywiście spośród mężów konsularnych, co mieli i katedry i resorty i stopnie generalskie. Ale przy nich zostało tylko kierownictwo. Wykonywali pracę młodzi. A to wykonawstwo nie ograniczało się do łączności. Oni systematycznie rozszerzali zakres swych kompetencji — oni to trzymali w ręku wszystkie stosunki.

Przykład bardzo charakterystyczny daje organizacja PPS w Krakowie. Pozostał tam Komitet Okręgowy, nawet się zbierał. Ale przecie tych ludzi znało każde dziecko. Widziano ich tyle razy na tyłu pochodach, pod tyloma pomnikami, że musieli siedzieć naprawdę jak mysz pod miotłą i objawiać się tylko na najwyższych szczeblach. Toteż od wiosny 1941 roku cała organizacja właściwie dostaje się w ręce Adama Rysiewicza, dwudziesto-paroletniego studenta, który utrzymuje w ruchu poszczególne ogniwa, wydaje i redaguje prasę, wypełniając ją nieraz od deski do deski, tworzy siły bojowe i kieruje nimi, utrzymuje łączność z władzami cywilnymi i wojskowymi, tworzy stałą komunikację z Oświęcimiem. Komitet przyjmuje do wiadomości jego robotę, czasem gniewa się, zakazuje. Ten robi swoje z pasją, energią i inicjatywą godną naprawę najwyższego podziwu.

Nazwisko tego człowieka figurowało na wszystkich listach poszukiwanych za wszystkie możliwe i niemożliwe zbrodnie. Gestapo polowało na niego. On chronił się w sposób swoisty. Oto ponieważ w takim Nowym Sączu znali go wszyscy, więc przeżywał się tam po godzinie policyjnej, gdy na pewno wiedział, że nikogo nie spotka. Dla Niemców, na wszelki wypadek, zamiast przepustki nosił pistolet.

Rysiewicz zasługuje skądinąd na specjalne studium, jako pracownik podziemia o wysokim napięciu ideowości i niepospolitych zdolnościach organizacyjnych. To studium wniosłoby wiele światła w całość zagadnienia jakie tu poruszam.

Zginał od kuli niemieckiej, gdy wyruszył do Oświęcimia po nową partię uciekających. Nie pierwszą.
A schedę po nim wzięli jeszcze młodszy.

13.

Z tych młodych tworzy się właśnie kościec organizacji podziemnej. Kościec, którego poszczególne części są bardzo zmienne.

Pierwszy czynnik tej zmienności to lista strat. Lista bardzo duża. Za carskich czasów doświadczenie uczyło, że w poszczególnych miejscowościach utrzymać się może człowiek nielegalnie — sześć do ośmiu miesięcy. W Łodzi trzy-cztery miesiące. W Białymstoku i na trzy miesiące trudno było liczyć. Tylko że wtedy większość aresztowań kończyła się na kilkumiesięcznym śledztwie, a ostatecznie na administracyjnym zesłaniu. Za Niemców było gorzej. Poszczególne placówki wpadały nieraz w całości, jak np. w Krakowie w r. 1941 Komenda Obszaru ZWZ. Sam Komendant tylko przypadkiem ocalał. Przytomność umysłu tu zaważyła. Ocalał tzw. BIP i jeszcze jeden z oddziałów sztabu. Niejeden oddział dołowy za jednym zamachem został zlikwidowany. W całości dostała się do więzienia Komenda Harcerstwa męskiego, tzw. Komitet Akcji na 8 członków stracił 6-ciu — siódmego wykończyła Bezpieka. Straszliwe były wypadki Narodowców.

Trudno sobie po prostu uprzytomnić ogrom tych strat. Bywały okresy, kiedy wszystko nieomal zamierało nawet w większych centrach np. w Zagłębiu. Takie miejscowości jak Radom albo Nowy Sącz były nieraz literalnie wymiatane. Nieraz wszystko się chowało na jakiś czas, ale potem znów znajdowali się ludzie.

Najwięcej odporności, jako organizacja, wykazywała PPS dzięki swej skrupulatności konspiracyjnej i zaufaniu w młodych. Z AK najmocniej się trzymał, jak już wspominałem, BIP, w którym ludzie byli specjalnie dobierani i prowadzili robotę istotnie koronkowo.

14.

Odpadają ludzie i z innych względów. Wielu nie może wytrzymać nerwowo pracy wyczerpującej, napiętej i niebezpiecznej. Wielu młodych po przebyciu pewnego okresu w walce, pragnie powrócić do studiów, do zawodu, przygotować sobie samodzielną przyszłość.

Wytrzymałość przeciętna w robocie konspiracyjnej za czasów carskich nie przekraczała na ogół roku — czasem jeszcze mniej. Potem ludzie już starali się ulokować. Wytrzymałość w okresie okupacji była o wiele większa. Bardzo wiele przyczyn się na to składało. Przede wszystkim powszechna wiara w tymczasowość niewoli, w szybki powrót niepodległości. Dalej — podziemie rozporządzało znacznymi środkami materialnymi, więc człowiek

w nim pracujący nie tylko zbywał troski o chleb (bardzo, bardzo skromny), ale utrzymywał miejsce w hierarchii społecznej, politycznej, urzędowej, wojskowej — pracował na indywidualną przyszłość, a nawet odznaczenia. To oczywiście nie wszystko — ale wiele. Nie małe znaczenie miał i fakt, że w czasie okupacji właściwie nie było bezpiecznego schronienia. Na wsi i w mieście, na drodze i w domu, w dzień i w nocy, w biurze i w knajpie — wszędzie spadały łapanki, rewizje, strzelania. Naprawdę bezpiecznie czuł się człowiek tylko w oddziale leśnym. Tam wiedział, że póki straż nie zaalarmuje, może spać spokojnie, albo spokojnie wykonywać jakieś zajęcie. A gdy zaalarmuje — to będzie walka, natarcie lub odwrót, może trudny, może krwawy, ale bez cienia beznadziejności. Tam urządzano i parady i przeglądy, a przy sposobności fotografowano nawet różne sceny i pokazywano te fotografie znajomym.

Ten zupełnie absurdalny stosunek, to przeciągnięcie struny terroru przez władze totalitarne, trzymało w pogotowiu takich ludzi, którzy by nie raz, ale dziesięć razy odeszli. A przecież i w tych warunkach znaczna część wycofywała się — jeżeli nie w bezpieczeństwo, to w każdym razie w większą bezpieczeńność. Po prostu dlatego, by stale nie mieć przy sobie czegoś, za co wyrok grozi nieodwołalnie.

15.

Kto zostaje? Z jednej strony gra rolę bezwarunkowo moment szczęścia czy przypadku — jak kto woli. Oczywiście, wiele znaczy i ostrożność. Toż np., Cyrankiewicz został aresztowany w miejscu, przed którym bodaj na parę godzin przedtem mnie osobiście ostrzegał. Kazimierz Kierzkowski wiedział, że zasięgano już o nim informacji w Warszawie, wiedział, że w rękach Gestapo jest nieodpowiedzialne indywiduum, które zna jego udział w robocie. Przez pewien czas nie nocował w domu. I wrócił. Po Stefana Majera już przychodziła policja — a on nie zdołał przerzucić się na nielegalszczyznę.

Znam wypadek, kiedy jegomość wyciągnięty z Oświęcimia, ulokowany na doskonałej kwaterze — nawiązuje od razu flirt z całkowicie niepewną osobą i rozkonspirowuje wszystko. Trzeba go było natychmiast przenosić. Inny uciekinier z Oświęcimia zaraz po operacji usunięcia numerka, idzie do żony, i odwiedziły te powtarza tak długo póki się nie wyspał. Człowiek, który w kajdanach zdołał uciec, kryje się przez czas dłuższy, ma zapewniony dach i schronienie — przecie czyni starania, by u rodziny zamieszkać i zostaje zasypyany przy najbliższej złodziejskiej awanturze w okolicy. Bojowiec skompromitowany całkowicie w swej okolicy, mając się przenieść gdzieś dalej musi koniecznie pożegnać się z matką i nie doszedłszy do jej domu, rozpoznany przez policjanta, pada trupem.

Takie fakty można wytrząsać po prostu jak z rękawa, bez

końca. Jeśli się człowiekowi raz udało — myśli, że z każdej matni zdoła się wywinąć i lezie z jednego szaleństwa w drugie. Przewrotność jest rzeczą nieodzowną i ci którzy jej przestrzegali, oczywiście trzymali się dłużej.

Dalszym momentem zatrzymującym jest bezwarunkowo siła przekonania, poczucie obowiązku względem pracy, jakiej się podjęło. Byli ludzie, co w nielegalszczyźnie umieli trwać latami i dłużej.

W podświadomość spycha człowiek pospolicie czynniki materialne. A jednak i one grały rolę. Za czasów carskich w podziemiu schodził nieraz ten, co przestał być legalny — był poszukiwany przez policję. Zarobek w jego zawodzie zamykał się. Zostawała jedynie — „posada” w partii, która pozwalała nie umrzeć z głodu. Od głodu zresztą nie zawsze chroniła, ale to inna sprawa. Trudno było ją porzucić, chyba — uciekając za granicę, na niepewne życie, bo opieka nad takimi ludźmi była wątpliwa. Taka ucieczka dla ludzi nielegalnych za czasów okupacji była nieomal całkowicie zamknięta. I oto człowiek wchodził w określone tryby. Stawał się zawodowcem i o zmianie trybu życia już nawet nie mógł marzyć. Już go one trzymały. Musiał być ideowy — chciał czy nie chciał. I taki też wchodził w trzon pracy konspiracyjnej. Sprawili to czynniki, — powiedzmy — nieraz zupełnie przypadkowe.

16.

Jak teraz scharakteryzować ten żywioł pozostający? Nieraz szafuje się pojęciem „kwiat narodu”. A jednak, gdy badamy materiały pamiętnikarskie okresu przedpowstaniowego, podziemia po powstaniu, ruchów przed odzyskaniem niepodległości, to naprawdę uderza w nich wielka pustka. Rzeczy nawet zbliżonej do „Bibuły” Piłsudskiego na próżno byśmy szukali. Tym ludziom, których zawód stanowiła propaganda, po prostu brak talentu nawet reporterskiego. Gorzej, brak zdolności obserwacyjnych. Nie rozróżniają rzeczy istotnych od ubocznych. Jedni windują się na szczudła patosu i malują samych bohaterów i geniuszów. Inni baraszkują. Przykład bardzo charakterystyczny stanowi pamiętniki Sławoj-Składkowskiego, człowieka obdarzonego i lekkim piórem i nawet umiejętnością obrazowania. I cóż on zrobił z tej Pierwszej Brygady? Zbiorowisko wesołych chłopaków, którzy się świetnie bawią. Bo farsa — doskonała zresztą — Kaprała Szczapy przesłoniła mu wszystkie przeżycia ideowe tego jednego w swoim rodzaju oddziału, w którym napięcie życia ideowego było naprawdę mocne. Składkowski o tym wszystkim zapomniał — wypaczył całe życie legionistów, odebrał mu całą treść. A przecie według wzoru Szczapy usiłovali malować różni wspominkarze nawet bojowców w PPS — co już dawało całkowitą anomalię. Ten brak czegoś na większą skalę — na miarę pamiętników Prądzyńskiego — to rzecz bardzo charakterystyczna.

Trzon konspiracyjny, trzon fachowy czy zawodowy, tworzy się z ludzi o temperamencie politycznym. A to jest zupełnie specjalny typ. Inni ludzie, nawet o wysokich talentach, przechodzą nieraz przez konspirację, przechodzą przez politykę, biorą w niej udział, ale co innego ich woła, co innego ich pociąga. Pozostają, politycy z usposobienia, ze skłonności.

17.

Charles Gide należał między innymi do tych pisarzy społecznych, którzy twierdzili, że polityk to pewien ustrój psychiczny, o możliwościach ograniczonych. Na próżno byśmy szukali wśród nich np. autorytetów moralnych w całym tego słowa znaczeniu. Nie jest to bynajmniej chęć przypisywania im osobliwych zdrojności, ale stwierdzenie, że czynniki etyczne nie występują w tym środowisku w stopniu przykładowym. Ambicja polityka nie jest twórcza — jest pasją władzy, rządzenia, wywierania wpływu, błyszczenia. To ambicja zbliżona do aktorskiej, która zadawała się poklaskiem. Przecież na życie człowieka w ogóle, a robotnika w szczególności, oddziałali bez porównania głębiej ludzie tacy jak Watt, Stephenson, Edison, Marconi — niż Bebel lub Jaurès. Po politykach zostaje legenda — bardzo rzadko uzasadniona gruntownie. Kiedy się czyta wspomnienia takich ludzi jak Clemenceau, Churchill (a przecież są to niewątpliwie świetne pióra) — uderza płychnia. Małostkowość Lloyd George'a — wyłazi wszystkimi porami — przygotowując nieraz o młodości. Lenina czyta się z uczuciem przygnębienia dogmatyczną tępotą. Nie przywodzi nawet na pamięć banałów Napoleona. A poprawki historyczne tak wyjątkowej skądinąd inteligencji jak Piłsudski są po prostu — tragiczne. Cóż mówić o pamiętnikach działaczy politycznych polskich? Przecież jest ich coś niecoś. Ale — to wszystko pustka.

Bo polityk — wszystko jedno z jakiego stronnictwa — prze staje badać. On szuka uzasadnienia dla własnych dogmatów. Nauka, studia, praca umysłowa — to nie jest dla niego droga do odkryć, ale mozolne wyszukiwanie kamyczków do podmurowania zasad, którym służy, programu partii, do której należy. Jakżeż mocno występowało to np. u człowieka zdolnego i szczerzego, jakim był prof. Stanisław Grabski, jak zrujnowało to jego dociekania ekonomiczne. To nastawienie z góry skazuje na komentatorstwo, przekreślając to, co stanowi podstawę każdej pracy prawdziwie naukowej czy artystycznej: bezinteresowność, szukanie prawdy. Polityk może być tylko "biegłym w piśmie". To zgoła inne pojęcie niż uczone. A ponieważ z góry odsądził od dobrej woli swych przeciwników, więc nie szuka u nich korektywy, a tylko "słabych miejsc" do natarcia.

18.

W podziemiu te słabe strony potęgują się. Praca pochłania — pochłania w znacznie większym stopniu niż gdzie indziej, właś-

nie ze względu na konieczność wykonywania szeregu czynności technicznych, na jej prymitywizm. Co prawda i gdzie indziej mamy w polityce z tym do czynienia. Członkowie rządu francuskiego np. pochłonięci są znacznie bardziej sprawą przesilen, uzgadniania, namawiania, wyjaśniania, głosowań, czyli koniec końców bardzo prymitywną agitacją, niż samym rządzeniem, organizowaniem życia kraju. I tu i tam ogranicza to możliwość uzupełnienia wiadomości, skazuje na zadawalnianie się nowinkami dziennikarskimi — materiałem mało przemyślanym — nieraz i źle podanym. Konieczność oddziaływania na psychikę ludzką, jednania zwolenników, rozwija skłonność do uproszczeń sloganowych jak najłatwiej przyswajalnych. Człowiek fabrykuje je dla innych i sam poczyną w nie wierzyć. Kształci się umiejętność chwytania przeciwnika, zaskakiwania go, ubezwładnienia bodaj chwilowo, aby zapomniał języka w gębie. To wszystko wypacza myśl — demoralizuje i splyca.

W warunkach konspiracyjnych nie wytworzyła się żadna teoria polityczna. Ludzie roku 1863-go żyli z dorobku Wielkiej Emigracji. PPS powstała poza granicami kraju i zagranicą wydawała swe pisma i książki. I to nie tylko dlatego, że tam były dostępne drukarnie, ale przede wszystkim, że można tam było stworzyć warsztaty pracy myślowej. Jan Ludwik Popławski, Dmowski, Balicki, wszyscy twórcy i teoretycy ruchu demokratyczno-narodowego, działali z Galicji — z tych samych powodów. Poza Kongresówką powstał i ruch wojskowy i jego teoria. Ruch ludowy wspierał się na dorobku Wysloucha, we Lwowie, bo przecie tzw. Zaraniarstwo to były powijaki, z których nic nie wyrosło.

A charaktery ludzkie? Zasadniczą cechą ich jest odwaga. Odwaga fizyczna alpinisty — to rzecz naturalna, nikt się nią nie egzaltuje. A przecie jest ona taka sama, jak gdzie indziej. Płynnie albo z woli opanowującej strach, albo — i to najczęściej, jak twierdzi taki znawca charakterów jak Conrad — po prostu z braku wyobraźni. U społeczników-konspiratorów, jak i wszędzie, przeważa ten drugi typ. Człowiek nie przyjmuje do wiadomości grożącego niebezpieczeństwa. W najgorszej chwili wierzy, że coś go uratuje. Wierzy w swe szczęście, w zręczność — w przeznaczenie. Wierzy do końca. Toż nawet ci, co mieli zawsze przy sobie kapsułki z trucizną — nie używali jej normalnie. Dawali się brać i zabijać. A kiedy wszystko zawiedzie?

Wtedy działa rozpęd największy, ten czynnik, który dla tych czy innych powodów, dominuje. Otóż, jeżeli chodzi o moje spostrzeżenia — instynkt samozachowawczy rzadko stosunkowo występuje na plan pierwszy. Nawet u ludzi skąd inąd podrzędnej wartości. Wytrzymałość na cierpienia, na tortury, na grozę śmierci, była zdumiewająca, imponująca nie tylko w jednostkach, ale bodaj że u większości. Ta rzecz jest warta osobnego zastanowienia. Przyznam, że dla mnie zawsze stanowiła walny czynnik do wiary w człowieka.

Prawość wystawiona jest na ciężką próbę. Konspiracja to tajemność. Tajność — to zawsze rozgrzeszenie z braku cywilnej odwagi. Dogmatyka ogranicza odwagę myślenia, w działaniu człowiek ucieka się do chwytów, a to jest najbliższy sąsiad intrygi. Intryga względem wroga i jego sługi i dalej względem każdego szkodnika. A szkodnikiem jest ten, kto się ze mną nie zgadza. Szkodnik jest z zewnątrz, ale może być i wewnątrz organizacji. Bo to przecie ja mam tajemnicę zbawienia narodu i społeczeństwa. Kto krępuje mnie i myśl moją, staje na przeszkodzie całej społeczności. Trzeba go usuwać z drogi, poderwać do niego zaufanie, uniemożliwić mu wpływy. Elastyczność pojęcia szkodnika, elastyczność oceny środków jakie wolno stosować jest ogromna. U Koestlera mamy to w stopniu karykatu-ralnym, w warunkach kompletnej degeneracji ideowości. Ale kierunek ten znajdziemy w każdej organizacji konspiracyjnej. Samokontrola w nerwowym życiu jest niezmiernie utrudniona. Kontrola publiczna, skuteczna być może tylko w jasnym świetle dnia — w podziemiu jej nie ma.

19.

A zagadnienie uczciwości materialnej? O nadużyciach pieniężnych w życiu konspiracyjnym mówiło się zawsze dość dużo. W podejrzliwej atmosferze wylęgają się często i plotki i ploteczki, których uzasadnienie bardzo trudno sprawdzić. Rachunki? — jakżeż je łatwo fingować, dopisywać. Nikt tego sprawdzić nie zdoła. Ileż wydatków można wymyślić?

Znany mi jest fakt, że człowiek przez szereg miesięcy pobierał pieniądze na utrzymanie kilku ukrywających się Żydów. Oni zginęli — a on dalej pobierał. Długi czas trwała ta manipulacja. W końcu, za zgłoszenie się do koncesjonowanego stronnictwa już za obecnych rządów i za kilka cennych wyjaśnień, dostał absolucję. Znany mi jest fakt inny, gdy człowiek tzw. "poważny" chciał ukryć pieniądze, które uznano za przepadłe. Miał pretensję do tych, którzy te zamiary unicestwili. Wszystko się zdarza. A przecież bez uczciwości — i to bardzo wysoko rozwiniętej uczciwości — praca konspiracyjna w ogóle byłaby niemożliwa. Sprawy materialne są w niej prowadzone nieporządnie z konieczności. Planowość pozostawia bardzo wiele do życzenia. Ale naprawdę widziałem znacznie więcej takich, co głodowali, mając możliwość "uszczeknięcia" — niż ludzi nieuczciwych. W swoim czasie Andrzej Niemojewski wytoczył publicznie sprawę Piłsudskiemu o pieniądze zdobyte w Bezdanach. Z tych setek tysięcy — twierdził — nie ma wyliczenia. Piłsudski, o ile mi wiadomo, nawet nie odpowiedział. Próba Niemojewskiego spotkała się naprawdę z powszechną pogardą. W każdym razie atmosferę materialną konspiracji — pomimo nadużyć, które zapewne były — należało uważać raczej za czystą

i czystsza znaczenie niż gdzie indziej. Olbrzymią część plotek trzeba też jako plotki traktować.

20

Brzozowski w "Płomieniach" daje ciekawy obraz "apostolskiego" nastroju wśród pierwszych rewolucjonistów. Obraz koleżeństwa i wzajemnego poświęcania się. W dziejach PPS znamy fakty, gdy człowiek dobrowolnie odaje się w ręce władz dla uratowania kogoś innego. Uprzytomnijmy sobie atmosferę — bynajmniej nie zmyśloną, jaką znajdujemy w "Kamieniach rzuconych na szaniec", Kamińskiego. W organizacji podziemnej przykładów koleżeństwa — wzajemnej pomocy — nie trzeba szukać. Jest to zjawisko powszednie. Przypomnijmy sobie choćby pamiętniki J. Kwapińskiego i dzieje jego ostatniej akcji, w czasie której został schwytany.

Nieraz widziałem jak z narażeniem wolności i życia biegają ludzie, by uprzedzić innych o grożącym niebezpieczeństwie. Życie wykuwa prawdziwe i głębokie braterstwo, zwłaszcza wśród młodzieży. Nie wiem, ile razy dostałbym się w ręce siepaczy, gdyby nie młodzi współpracownicy, w których kole przebywałem. Gdy raz już zostałem schwytany — pomoc przyszła w postaci zbrojnej, skutecznej odsieczy. Nieraz, gdy byłem istotnie tak zajęty mocno, że naprawdę nie mogłem sam pomyśleć o jedzeniu — a wypadło się wtedy ukrywać — współtowarzyszom zawdzięczałem tak troskliwą opiekę, że trudno mówić o tym bez wzruszenia. A nie tylko o mnie myśłano.

Jeden z pisarzy polskich, w bardzo głośnej powieści przedrwiwa to mocne, milczące uściśnienie dłoni, które zamieniają pomiędzy sobą konspiratorzy. Może to i śmieszność. Ale poza nią jest i treść. Istnieje poczucie wzajemnej odpowiedzialności za siebie. Istnieje więź. I o tym się nie mówi. To pozostaje w ukryciu, nieraz nawet jakimś umyślnym gburstwem przysłonięte. Tego właśnie się nigdy nie egzaltuje.

21

A przecie i pod tym względem niejedno podlega wypaczeniu. Sam fakt przyjęcia zasady: wszystko dla dobra społeczeństwa, narodu, klasy, ogółu, jakiegoś oderwanego pojęcia, wobec którego jednostka schodzi na plan drugi, a potem zupełnie niknie — nie daje mocnego pionu. Leninizm, faszizm doprowadziły to do absurdu, ale nie jest on obcy żadnej polityce i ostro zarysowuje się szczególnie w konspiracji. Powiedzonko o drzazgach leżących tam, gdzie drzewo się rąbie — zostaje obowiązującą normą na miejsce skompromitowanej maksymy o celu uświęcającym środki. Wróg — to nie człowiek. "Do żandarma — mówiło się dawniej — strzelać można jak do samego munduru" — nie wdając się w to, kto go nosi. Niemiec — ten i munduru nie potrzebował wkładać, by zasłużyć na kulę. "Tym wszy-

stkim bym łby poukręcał" — mówił mi jeden, bynajmniej nie krwiożerczy jegomość, patrząc na grupę bawiących się dzieci niemieckich. O szpiegu czy zdrajcy oczywiście nie ma co gadać. Szkodnik, człowiek zbandyciały — też muszą być zgładzeni. Wyroki śmierci śpią się.

Żadne podejrzenie nie może być zlekceważone. To sprawa bezpieczeństwa, sprawa samego istnienia organizacji. Każdy podejrzany musi być w tej chwili izolowany. Odciąć się zatem trzeba natychmiast od aresztowanego. Obowiązywało to zwłaszcza w czasie okupacji. Opróżnić wszystkie mieszkania mu znane. Tortury stosowane powszechnie czyniły "wygadanie się" rzeczą bardzo prawdopodobną. Jeden z organizatorów tych czasów mówił po prostu do współtowarzyszy: nie można żądać od nikogo, by wytrzymał wszystko — to ponad ludzkie siły. Sam nie wiem, czy wytrzymam. Żądamy tylko, by każdy dał nam pewien czas, by przez jakieś pierwsze dwa dni wytrzymał. Potem gdy my już uprzątniemy — może gadać swobodnie.

Nie wiem, czy stanowił on wyjątek. W każdym razie dawał pewne rozgrzeszenie. Czy ludzie korzystali z tego?

O tym mogę mówić tylko na podstawie własnego doświadczenia. Że ludzie się nieraz załamywali — wiem istotnie. Ale, w pewnej chwili, z ośmiu członków ciała organizacyjnego, do którego należałem, aresztowano sześciu. Wszyscy znali mnie osobiście i znali moje mieszkanie. Wszyscy byli torturowani. Wszyscy zginęli. Żaden się nie rozkleił. Dalej. Jeden z ludzi, z którym współpracowałem, sprawił, że w ciągu miesiąca jedenaście łączników odwiedziło moje mieszkanie. Przychodziły po materiały. Osiem z nich następnie aresztowano. Wszystkie — wszystkie zginęły. Żadna nie wydała nikogo. Nie wiem ile razy byłem alarmowany z powodu takiej czy innej wyspy. Dawano nieomal niezbite dowody, że taka a taka osoba zeznała, co tylko mogła zeznać. Raz podawano mi nawet wyniki konfrontacji "syplące" z taką, której się udało ocalić. W olbrzymiej większości wypadków podejrzenia były pienne, a nawet ta konfrontacja okazała się zmyślona. Wytrzymałość była czymś zupełnie imponującym.

Ale czasem załamywał się człowiek, na którego powinno się było liczyć. Stary bojowiec sprzed tamtej wojny, Rembowski, rozkleił się zaraz, pierwszego dnia, całkowicie.

Podejrzenia szły ciągle. Ciągłe ktoś był kwestionowany. I bywały wypadki naprawdę tragiczne, gdy człowiek ocalony nieomal cudem, okaleczały po przeżyciu zupełnie fantastycznych rzeczy, zapytał siebie czy warto żyć, bo kiedy wyszedł z więzienia widział tak straszliwą pustkę wokół siebie, że mu się zimno robiło. Wszystko się odeń odwracało.

Bywały bardzo niesłuszne podejrzenia, bywały niesłuszne wyroki. W pewnych wypadkach strach dyktował nawet wyroki prewencyjne.

A wewnątrz, wewnątrz jak zawsze tam, gdzie roboty dużo, a ludzi za mało — ostre współzawodnictwo, rycie, posądzania o odchylenie, herezje. Wszystko pod płaszczykiem dobrej sprawy.

W podziemiu nie ma słońca. Nie można rzeczy jasno postawić, nie można przewietrzyć zgnilizny. Intryga kwasi się, a próba oczyszczenia powietrza przybiera aż nazbyt często postać nowej intrygi.

22.

Organizacja bojowa czy wojskowa jest jeszcze mniej bezpieczna. Samoobrona najczęściej stanowi jej zawizek. Trzeba usuwać zdrajców i szpiegów, którzy zagrażają istnieniu organizacji. Obok tego występuje akcja czynna przeciw nieprzyjacielowi. Dalej, zdobywanie środków pieniężnych na cele walki. Bojówka — sen o rycerskiej szpadzie. Już w PPS, najbardziej ideowa, zdrowa część młodzieży pchała się rękami i nogami do akcji bojowej. Typy bojowców znajdziemy u Struga, idealizuje ich Żeromski.

Władze partyjne dawniej bardzo niechętnie oddawały do bezpośredniej walki czynnej żywioł najbardziej wartościowy pod względem intelektualnym. Ten był potrzebny do roboty organizacyjnej. Czynnych bojowców nieraz, wbrew ich woli, przenoszono do agitacji. Tego zresztą wymagała zwyczajna ekonomia sił. W bojówce potrzebna odwaga, spryt, szybka orientacja — sprawność fizyczna. Zalety mózgu konieczne są na stanowiskach kierowniczych. Szeregowy szkolnego wykształcenia nie potrzebował.

Organizacja agitacyjna potrzebowała tylko jądra myślowego. Bojówka — chłoneła liczniejszy materiał, bo do najściślej organizacji należał z natury rzeczy i wykonawca. Był był "dzielny".

Skutki są aż za dobrze znane. Większe zdrady w PPS — Sankowki, Harewicz, Dyrz, Tarantowicz, Sukiennik — to bojowcy. W czasie okupacji największe straty ponosiła organizacja wojskowa. I zdaje się największe straty — poza zadanymi przez Sowiety — były wskutek "wysp", a nie starć orężnych. Rzecz niezmiennie charakterystyczna, że agitacyjna, propagandowa część pracy wojskowej, to jest w gruncie rzeczy część najbardziej eksponowana, która z konspiracją nie rozstaje się nigdy — najmniej była dotknięta przez areszty, gdyż tam był żywioł najstaranniej dobierany.

Bojówka zbiera zawsze samą śmietankę chwały. Romantyzm jej czynów, nagły napad, znów uderzenie, uwolnienie więźniów, usunięcie znanego tyrana-satyry — porywa fantazję. Powstaje legenda. I tą legendą się ludzie karmią.

Ale warto czasem spojrzeć poza legendą, nie dla bezcelowego "odbronzowania", lecz dla tego, by uchwycić istotne wartości.

Oto przedmiotem legendy stał się czyn istotnie świetny i niezwykle efektowny — uwolnienie dziesięciu z Pawiaka. Ale mało

kto zwrócił uwagę, że akcja ta przygotowana była właściwie w kancelarii adwokata Patka, gdzie omówiono wszystkie szczegóły sprawy, wypłacono też odpowiednie odszkodowanie przedstawicielowi władz więziennych. I dopiero wtedy Jur-Gorzechowski, jako rotmistrz żandarmerii Budberg, wykonał inscenizację porwania. Nie była to więc obłąkańcza fantazja gorących głów, które nie miały nawet jednej tysiącznej prawdopodobieństwa powodzenia i rzuciły się, by wygrać milionową stawkę. Była to robota naprawdę opracowana, w której odwaga, przytomność bojowa, szły o lepsze z przezornością i umiejętnością dyplomatyczną. Takie odsłonięcie prawdy nikomu nie zaszkodzi, wydajni tylko rolę "umysłowców" w robocie rewolucyjnej.

Robota bojowa jest niebezpieczna; naraża ludzi bezpośrednio. Otóż narażanie się w walce nie jest najgroźniejsze. Bój bynajmniej nie najwięcej ofiar pochłoniął. Gorsze ciosy zadawała zdrada.

23

Robota bojowa niesie i inne niebezpieczeństwa. Broń daje wiele różnych możliwości. Przy pomocy niej można sobie wymierzać sprawiedliwość. Tę rzecz bardzo wnikliwie rozpatrywał już Sawinkow w swoim "Koniu bladym", te rzeczy zdarzały się. Przybierały czasem charakter załatwiania porachunków partyjnych. Różni dowódcy różnych oddziałów, mają sporo grzechów na sumieniu. Niestety, w tej chwili nazwiskami operować nie mogą. Dalej, za organizacją bojową chodził ślad w ślad — bandytyzm.

Materiały ogłoszone o roku 1863/4 stwierdzają, że powstanie nasze musiało zaciekle walczyć z rozbojem. Wyroki wykonywano nie tylko na szeregowych, ale i na dowódcach partyj, którzy łupili dwory i wsie, dokonywali nieraz bestialskich gwałtów.

PPS walczyła z tą plagą bezlitośnie. A co ciekawsze, że nieraz część ludności stawiała po stronie bandyty. Pamiętna była sprawa niejakiego Otrąbka w Częstochowie. Należał on do legendarnej szóstki Michała-Małachowskiego. Odwagą szedł z najdzielniejszymi w zawody. Zbandyciał gruntownie. Zastrzelony został, z wyroku, przez Sukiennika, podówczas już nielubianego powszechnie. Otrąbek miał przyjaciół, którzy podjęli zemstę. Nie pochwycili bezpośredniego wykonawcy wyroku, padł natomiast od ich kuli piękny typ ideowca robotniczego — Grotowski. I znów wyrok został wykonany na mordercach. Poszedł cały łańcuch krwawych rozpraw.

W czasie okupacji AK, Baony Chłopskie, nawet nieliczne Baony śmierci, wszystkie musiały kulami niszczyć tę plagę. A bandyta wciąż laził za żołnierzem podziemia. Rozstrzeliwania stały się rzeczą powszednią. Czy zawsze były słuszne? Nie wiem. Wiem tylko, że w wielu wypadkach sąd zwykły nie zastosowałby kary śmierci.

24.

Obserwowałem proces ześlizgiwania się ludzi.

Jedni, jak słynny "Kazik" — nie pamiętam jego nazwiska, a było to w roku 1906-ym — człowiek niepospolitej urody, odwagi i siły — po spróbowaniu kilku wywłaszczeń na rzecz PPS, i widząc, że to znowu nie jest żadna filozofia, zdecydował, że "jemu też coś się należy". Chciał używać życia w towarzystwie młodzieży obojga płci, która skupiała się koło niego. Nic nie pomogły przestrogi. Brał dobro carskie, a niebawem sięgnął i po "burżujskie". Aż trzeba go było stracić. Wyrok wykonał Grzeczmarowski. W tym wypadku broń znalazła się w rękach jednostki bujnej, ale bez pionu. Bywały jednak sprawy bardziej złożone.

Oto staje w roli oskarżonego niejaki Minus, za dokonanie bez wiedzy władzy przełożonej napadu na wójta, wiozącego pieniądze podatkowe, i ukrycie zdobytej kwoty. Człowiek o umysłowości bardzo nieskomplikowanej, odważny, na ogół uczciwy, dobry rzemieślnik-metalowiec, wcale nieźle zarabiający. Na pieniądze nie łasy — nieraz wspomagał kolegów potrzebujących. Kupował książki, ale rzadko je czytał. Nawiasem dodam, że w chwili krytycznej nie wahał się życia za mnie narażać. Wyszliśmy wtedy cało. I oto, co powiedział:

— Moi ludzie z szóstki zostali zaszypani. Musieli wiać, zarabiać nie mogli, no i byli bez chleba. Chodziłem do Z. po pieniądze dla nich. Powiedział, że pieniędzy nie ma i że trzeba poczekać. (Z. to potwierdził). No — to jakoś radziłem. Ale mam tylko to, co zarobię — dla sześciu nie starczy. A tu trzeba im dać na drogę. Zrobiliśmy wywiad, jak należy, podług instrukcji, jak ten wójt będzie jechał, kiedy, którędy. No — jak jechał — to myśmy go i cupnęli. Jeden trzymał konia, drugi zagroził spluwą i wziął torbę z pieniędzmi. Potem kupiłem im ubrania, dałem każdemu na drogę, ile było trzeba. Sobie wziąłem tylko zwrot kosztów za ten czas, com ich żywił.

Na zarzut, że nadużył imienia Partii przy "konfiskacie" oburzył się.

— To nieprawda. Żądałem od wójta pieniędzy nie w imieniu PPS, ale w imieniu partii anarchistów-komunistów. A takiej partii w ogóle nie ma. Uważałem, by żadnego imienia nie nadużyć, bo do tego nie miałem prawa. Ale jak jakiej partii nie ma, to my sami nią być możemy. A wójt niech wie, że to nie bandyci.

Działalność tedy w najlepszej wierze na rzecz bojowców, swoich podkomendnych, którymi się opiekował — nie dla korzyści osobistej. Sprawa obeszła się bez rozlewu krwi, bo wójt oddał torbę i pojechał spokojnie. Eskorty nie było. Miał rację czy nie miał? A przecie to już krok do bandytyzmu.

25.

A oto przykład z naszego życia podziemnego z czasów okupacji. Młody student, zaradny, sprytny, wesoły, opowiada swoje przygody w gronie znajomych. Należy do AK. (Całe towarzystwo było z pracami AK. związane). Jest w jakimś oddziale specjalnym. Zbiórki, raporty, odprawy, czasem akcja. On pobiera miesięcznie tyle a tyle. (Suma nieważna, bo wartość jej przecież zależała od chwili). To dla niego za mało. On musi przecież nie tylko jeść, ale i ubrać się — no i zabawić. To leży w sferze potrzeb, i w stylu tego "żołnierskiego" życia, które nie znosi ascezy, a w gruncie rzeczy jest zbyt nerwowe i puste, by obyc się można było bez podniety, narkozy. Więc — więc z kolegami "wyprawiają się". Polują na Niemców i ich broń. Broń tę potem sprzedają własnej organizacji, która płaci za sztukę tyle a tyle. Raz przynieśli z wyprawy jedenaście spluw i rozpylacz.

Jest to opowiadanie. Przeprowadzona dyskretnie ankieta w tym środowisku potwierdziła jego prawdopodobieństwo. Zresztą polowanie takie widziałem na własne oczy.

Był zmrok. Siedział spokojnie jakiś Niemiec w mundurze. Spotkało go dwóch panów. Widziałem tylko, że zatrzymali się i nieco pochylił ku niemu podnieśli ręce. On również podniósł, ale tak nieznacznie i raczej dobrodusznie, że w pierwszej chwili nie zwróciłem uwagi, że dzieje się coś nadzwyczajnego. Potem jeden wykonał ruch koło bioder Niemca. I rozeszli się. Dopiero wtedy spostrzegłem, że Niemiec idzie bez pasa. Tamci odchodzili spokojnie. Wszystko trwało może kilkanaście sekund.

Wróćmy do mego opowiadacza. Jeśli nawet przesolił, to dał wyraz pewnej gotowości środowiska. Są potrzebne pieniądze — więc szuka ich człowiek przy pomocy broni. Rozbroić Niemca — rzecz chwalebna. Jeżeli spróbuje się bronić — to życie szkopa nie ma wartości. Owszem, należy mu się słusznie kula, jeśli nie co gorszego. Życie własne — ha, to zależy od własnej zręczności. Dochód — to grunt. Zdobycz — romantyka junactwa.

A przecież w gruncie rzeczy jesteśmy znowu na pograniczu bandytyzmu — ba, już właściwie tę granicę przekroczyliśmy.

26

Słyszałem rozmowę dwóch przechwalających się powodzeniem chłopaków z Baonów Chłopskich. Jeden opowiadał szeroko, ze szczegółami o "wywłaszczeniu" złota, które nagromadził u siebie jakiś "foks". Był to znany łotr; łupił przede wszystkim Żydów. Za swoje praktyki przez sprawiedliwość podziemną został skazany na śmierć. Dobrze na to zasłużył, przez niego wiele krwi się polało. Oni dowiedzieli się, że chłopcy "z delegatury" mają go "zrobić" i uprzedzili ich szybko i sprawnie. I za-

raz ich powiadomili, że już nie ma po co chodzić, żeby się nie wysypali. A poszli sami, bo wiedzieli, że tam jest złoto. Po co je było zostawiać dla Gestapo? No — czy nie słuszne?

Idziemy już milowymi krokami. I gdzie granica? Od potrzeb ratowania ludzi, współtowarzyszy, aż do wycieczki na złoto. Od bezinteresowności — aż do uzupełniania dochodów, a potem i handel zdobyczym złotem. A przecie, jeśli broń zdobyczną się kupuje, to usprawiedliwia, a nawet aprobuje się "polowanie". W jakiej chwili rozpoczyna się represja? A przecie jedyna skuteczna represja — to kula w łeb.

Nie każdy człowiek musi przejść przez wszystkie stopnie, a przecie one żyją potencjalnie w myśli każdego i w otoczeniu.

Aczkolwiek już ześlizgujący się jeszcze we własnym marzeniu trwa w chwale takiego Barona, który staje przed sądem wojсковym z otwartą przyłbicą. Tak, walczył, strzelał, zabijał. Nie wymyka się. Żąda wyroku śmierci, ale przez rozstrzelanie, bo walczył jak żołnierz i ma prawo do żołnierskiej śmierci.

I rosyjski sąd wojenny wydaje wyrok — rozstrzelanie. A Baron odpowiada krótko: — "Dziękuję".

Proszę sobie wyobrazić ten nieprawdopodobny patos sceny, gdy nagle prezes sądu, pułkownik rosyjski, zbliża się do skazanego i składa mu głęboki, aż po pas, ukłon.

Tylko właśnie o to chodzi, że zupełnie realnym typem jest i Książę Niezłomny i Skrzetuski i Kmicie i Rzędzian i Kukliński.

27

Sprawa walki bojowej w różnych sumieniach różnie się załamywała. Kalajew, zabójca W. Ks. Sergiusza (w Moskwie w r. 1903-cim) miał matkę Polkę i dzieciństwo spędził w Warszawie. Żył w stałej rozterce, że Puszkina był mu bliższy od Mickiewicza. I ukształtowała się w nim myśl ofiary dla obu narodów. Kiedy mówiliśmy o terrorze — powiedział, że jest to broń straszna, choć konieczna. Ale ten co zabija — musi oddać i własne życie. Niedługo potem rzucił bombę. Niszczył wroga Polski i Rosji. Nie usiłował ratować się ucieczką. Przed sądem stał niezachwiany. Myśl o ulaskawieniu odrzucił. Ale Wielką Księżnę prosił o przebaczenie.

W tym rygoryzmie Kalajewa jest pierwiastek nie tylko miśstyczny, bardzo niebezpieczny dla każdej walki. Jest też świadomość niebezpieczeństwa regulowania życia przy pomocy broni. Im więcej krwi się leje, tym niebezpieczeństwo jest większe, tym mniej się je spostrzega.

Z tymi sprawami ma do czynienia i wojsko i wojna. Ale znów możemy powiedzieć, odbywa się ona na wolnym powietrzu, w świetle dnia. Wszystko jest widoczne, odpowiedzialność jasna, sprawiedliwość uproszczona, ale ujęta w określone formy. Łatwiej utrzymać poziom, jeżeli go się totalitarnymi zasadami nie niszczy świadomie.

Wydajność pracy konspiracyjnej jest nikła, nie może być nawet porównana z robotą jawną. Ileż wysiłku wymaga drobne pisemko, bite na pedałowce? Jak trudno ułożyć roneo, czy inny Gestettner. Redaktor nieraz sam kręci nieszczęsną maszynkę, by otrzymać tych kilkaset egzemplarzy.

Kursy - wykłady? Ileż czasu trzeba włożyć w szukanie lokalu. I ostatecznie zbiera się szczupłe grono — bo ściany nie pomieszczą, i przecież zbyt licznym zgromadzeniem nie można alarmować sąsiadów. Roznoszenie, doręczanie — toż to muszą wykonywać ludzie zręczni, sprytni, rozumiejący cel roboty.

To wszystko czasem wygląda jak karykatura życia normalnego, gdzie działacz zastępuje maszynę rotacyjną. Ledwie umiemy ją władać piórem — staje się naczelnym publicystą, studencina zastępuje profesora, a pracownik naukowy jest kolporterem. Wszystko wykoszlawione, skarłate. Z tej powodzi pism, jakie się ukazywały w czasie okupacji, zaledwie kilka miało jakiś taki poziom. Większość grzeszyła nie tylko formą zewnętrzną, ale ubóstwem myśli, brakiem talentów, nieraz brakiem umiejętności poprawnego pisania. A z drugiej strony był brak jakiegokolwiek źródła poza propagandowym radiem...

Po cóż tu zresztą na innych narzekać. Toż ja sam na wiadomość o ataku na Norwęgii napisałem artykuł pod tytułem "Pupa", a gdy Niemcy sforsowali granicę Francji rozważałem jak drugoczący cios spotka ich od lewego skrzydła. Karmiło się ludzi taką informacją, a zwłaszcza takim jej naświetleniem, że najbujniejsze kłamstwa urzędowych komunikatów strony przegrywającej nie mogą iść z tym w zawody.

A jednak, kiedy się mówi o wydajności pracy konspiracyjnej, trzeba wziąć pod uwagę i odwrotną stronę medalu: skuteczność. Ankieta np. przeprowadzona w Krakowie i parokrotnie sprawdzana, wykazywała, że na jeden egzemplarz "gazetki" przypada 20 do 120 czytelników. Ten świstek nieraz lichy odbity, byle jak napisany, szedł z rąk do rąk, obiegał miasto, wędrował na wieś, szereg wsi, ba, ich większość, organizowały własnym przemysłem codzienną dostawę literatury nielegalnej. Ludzie chodzili po nią nieraz pieszo po kilkadziesiąt kilometrów. Redaktor jednego z codziennych pism krakowskich nieraz w podzięce za jakiś specjalny artykuł dostawał przez łączność konspiracyjną kwiaty z miasta, a ze wsi nawet i indyka. Prasa konspiracyjna za czasów okupacji stanowiła nieraz przedsiębiorstwo dochodowe.

Nie mamy cyfr pod ręką. Nie wiemy, ile matur wydano w czasie okupacji, ilu ludzi uzyskało dyplomy, a nawet doktoraty. Ile młodzieży przeszło przez gimnazja, licea, przez kursy wszelkiego rodzaju. Podziemie nasze dokonało olbrzymiej pracy oświatowo-kulturalnej. I to nie tylko przez same organy Ministerstwa Oświecenia, ale przez wszystkie nieomal organizacje polityczne, wojskowe, społeczne, młodzieżowe, z których każ-

da szkoliła swych pracowników w różnych dziedzinach i szkoliła często przy pomocy sił starannie doboranych.

Poza wszystkim prowadziło podziemie pracę organizacyjną w całym tego słowa znaczeniu, zastępowało ono państwo i inne organy w dziedzinie podtrzymywania i rozwijania kultury polskiej.

Ta strona sprawy może najmniej zwraca uwagę; przewożenie pod cementem podręczników na wieś i ksiązek w setkach tysięcy egzemplarzy — to rzeczy mało efektowne.

Praca podziemna jest ciężka i niebezpieczna; wyrabia zastęp specjalistów, ludzi młodych, niedoświadczonych i mało wykształconych: Warunki życia zamykają przed nimi możliwość wszechstronnego rozwoju, a jednocześnie pozostawiają im nieraz decyzje w sprawach wagi pierwszorzędnej. To już samo stanowi niebezpieczeństwo.

Ustrój ruchu podziemnego z natury rzeczy mało ma wspólnego z demokracją. Bo przecie do tej "demokracji", nawet tam gdzie ona jest, dopuszczeni są tylko wybrani. Wola demokratyczna nieraz musi być przeinaczona ze względu na bezpieczeństwo. Nawet wybory nieraz trzeba skorygować przy pomocy takich czy innych sposobów. Żadne podziemie nie ma warunków ujęcia polityki kraju w swe ręce.

Ruch podziemny, to nieuniknione straty, krew. Ale ruch podziemny — to namiastka wolności. Że namiastka lichy zastępuje to, co ma naśladować — wiemy, zbyt dobrze wiemy. Ale nie mniej jest niezbędna, jak ten chleb kartkowy bodaj z kukurydzy, gdy mąki pszennej brakuje. To jedyny możliwy teren wyucia się. To coś tak niezbędnego, jak powietrze.

Zwalczać go w imię ekonomii sił?

Pamiętam, przyszedł raz do mnie przyjaciel, "mąż konsularny". Przyszedł w sprawie swojej córki, osóbk. miłej, zdolnej, ładnej. Rokowała duże nadzieje. "Toż ona może się na coś przydać w przyszłości. Dziś ona musi się uczyć. Czyż naprawdę nie szkoda narażać dzieci. Przecież od nich nasza przyszłość zależy".

Mówił słusznie, rozsądnie, pokrywał ścisłym, logicznym rozumowaniem prerażenie ojca na myśl...

Ten ojciec uczestniczył w robocie poważnej. W życiu konspiracyjnym brał udział jeszcze na ławie szkolnej. W czasie wojny naznaczył go granat. A teraz był bezsilny, bo żadne argumenty córce do głowy nie trafiały. Więc mówię mu zwyczajnie:

— A jeśli za kilka lat, kiedy się wszystko uspokoi, córkę twoją zapytają, gdzie była za czasów okupacji, gdy wszystkie jej koleżanki coś robiły, co ona odpowie, jeżeli cię posłucha?

Czułam jak skręcił się człowiek, którego całe życie było pracą społeczną.

— Ale cóż ona może dziś robić? Karteluski roznosić? I co? Na tym wpadnie? Przecie ona nie umie ocenić sytuacji, nie

umie zdać sobie sprawy jak poradzić w niebezpieczeństwie. Na jakimś głupstwie...

Tak. Właśnie wtedy współpracował ze mną dr. Lilpop, uczony, kustosz Muzeum Akademii Umiejętności. W swym gabinecie śleczął nad zbiorami i dzień po dniu popychał swoje dociekania botaniczne. Nie ważył się jednak brać na głowę rozstrząsań politycznych. Ponieważ jednak uważał za obowiązek coś "robić", kręcił zatem powielacz i uprawiał kolportaż. Wybitna inteligencja czyniła go niezdolnym do reprodukcji idiotyzmów podawanych przez radio — więc zajmował się tym z największym wstrętem, dopiero wtedy gdy inne aparaty zawodziły. Umiął natomiast doskonale nalepiać ulotki na mury.

Czasem, gdyśmy się naradzali, wpadali Niemcy, urzędujący obok, Lilpop miał na ten przypadek całą kolekcję mchów, które rozkładaliśmy przed sobą, udając pochłoniętych definicjami okazów.

Lilpop trwał w tej najczarniejszej robocie przez cały czas okupacji. Przejechało go auto sowieckie na trzeci dzień po wypędzeniu Niemców.

I on w swojej bezradności uczonego szukał wyżycia się.

30.

Zapobiec powstawaniu ruchu podziemnego tam, gdzie są po temu warunki — nie sposób. Policyjny ucisk, zamykanie ust, krępowanie myśli, prowadzi do niego z nieubłaganą siłą. Pytanie czy ono się opłaci, jest bezpłodne. Oceniać go nie można ani przez bohaterstwo kosynierów w ataku pod Węgrowem, ani na podstawie jego produkcji, skutków bezpośrednich jego wychowania. Oczywiście, że mąż stanu wychowuje się jedynie na odpowiednim terenie pracy państwowej. Treść jednak podziemia — to utrzymanie trwałych wartości życia narodowego i państwowego. Pieczętka Piłsudskiego stanowi istotnie symbol dużej wagi.

Pytanie, jakie wypada nam sobie postawić brzmić winno nieco inaczej. Mianowicie, czy ten strumień da się uregulować? Czy można umniejszyć niebezpieczeństwo tego ruchu, czy można pomniejszyć jego ofiary, połączyć kierownictwa komórek ze światem, zapobiec niecelowym wystąpieniom, dać materiał myślowy dla zastępu specjalistów, stanowiących jego trzon.

Odpowiedź nie jest łatwa. Jak wskazaliśmy, najniebezpieczniejszą stroną podziemia stanowi organizacja bojowa. A czy jest ktoś, kto znalazłby rozumny powód do jej tworzenia? Czy kto widzi cele, jakie można by jej postawić, czy kto wierzy w skuteczność walki tego rodzaju?

A przecież — o ile się nie mylę — stoimy wobec procesu odradzania się "lasów". I u nas, i w sąsiednich krajach. Niesłychane aresztowania, ucisk — tendencje kołchoźnicze — wszystko to każe pewnej liczbie młodzieży uciekać, szukać schro-

nienia. Za czasów rosyjskich można było takich ludzi przerzucić zagranicę. Czy obecnie sprawa ta jest nie do rozwiązania? Nie będę odpowiadał na to pytanie. Ale stwierdzam fakt, że jeżeli nie zdołamy go rozwiązać pozytywnie — jedynym schronieniem zostaną lasy. A lasy muszą z czegoś żyć. Trzeba być strusiem, żeby tego nie widzieć.

Kto mówi o oszczędzaniu Kraju, musi sobie zdać sprawę, że to jest naczelne zagadnienie w tej dziedzinie.

A dalej, najważniejszą część pracy konspiracyjnej stanowi informacja i naświetlanie wiadomości. Ta informacja może być zorganizowana. Przerzucanie pewnej ilości druków w ilościach naprawdę zabawnych, jak się to dziś uprawia, to drobiazg i tylko zachęta do powielania. Ale zorganizowanie rozgłośni dla kraju istotnie czyniłoby zadość potrzebom i ograniczyło prasę miejscową, do minimum. Czy to jest możliwe? Powiedzmy sobie wyraźnie, że trudności tkwią nie tylko w technicznej stronie zagadnienia, ale w skłóceniu naszych czynników emigracyjnych. I za to skłócenie płaci Kraj krwią. Trzeba to dobrze zrozumieć i trzeba z tego wyciągnąć wnioski, bo przyjmuje się ciężką odpowiedzialność.

31.

Ruch podziemny jest koniecznością. Ale formy jakie przybiorze, ale kierunek jaki przyjmie — zależą w znacznej mierze od naszej emigracji politycznej. Jeżeli zdobędzie się ona na akcję zjednoczoną, jeżeli Kraj odczuje, że nad jego losem, jego interesem czuwa poza granicami zwarte ciało, tworzące przymierza, chwytające wypadki i pracujące nad ich spożytkowaniem — to odpadnie konieczność konwulsyjnego rwania się na miejscu. Nasłuch radiowy da orientację i wskazania.

Jeżeli na emigracji panować będzie dzisiejszy marazm, małostkowe spory o trzeciorzędne zagadnienia, poza którymi osłony będą szukały przyziemne interesy dolarowe czy funtowe — to wpływu na bieg rzeczy w Kraju mieć ona nie będzie. Po jednej stronie znajdzie się tam rezygnacja — po drugiej rozpacz. Z uciekinierów potworzą się leśne oddziały. Grupy ich, przyparte do muru, ruszą do kontrataków — jeżeli nawet i bohaterskich, to całkowicie beznadziejnych. I ukaże się znowu prasa podziemna, coraz to bardziej wyłapywana wraz z ludźmi.

I nie "wartogłowy" będą za to odpowiedzialni, ale emigracja, która już wiele uczyniła do przekreślenia swej roli.

Adam UZIEMBŁO.

ZARZĄD GŁÓWNY

Związku b. Żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich
przystępuje w dziesięciolecie powstania brygady (2.4.1950) do wydania

KSIĘGI PAMIĄTKOWEJ S.B.S.K.

Dzieje SBSK, stanowią zamknięty rozdział w historii Polskich Sił Zbrojnych poza granicami Polski w czasie drugiej wojny światowej.

Brygada zrządzeniem losu działała wśród tak egzotycznych warunków, że odmalowanie tła, na którym rozwijał się jej dramat, zebranie wszelkich, nawet drobnych przyczynków ze wspomnień żyjących jeszcze uczestników tych wydarzeń celem uchronienia ich przed pograżeniem się w niepamięć, wydaje się być naszym obowiązkiem.

Rozumiemy, że przede wszystkim jest to obowiązek wobec poległych towarzyszy broni.

Zbliżająca się 10-ta rocznica powstania Brygady daje impuls do tej pracy.

Jakkolwiek jest to przedsięwzięcie poważne, tym niemniej jest możliwe do wykonania, pod warunkiem, że wszyscy b. żołnierze Brygady udzielą mu swego pełnego poparcia, zgłaszając zamówienia i wpłacając z góry **przynajmniej połowę ceny książki**.

Księga o dużym formacie i kilkuset stronach druku będzie miała charakter monografii, opartej na dostępnych źródłach i będzie zawierać oprócz części historycznej i literacko-wspominkarskiej bogatą dokumentację fotograficzną, pełne listy poległych i odznaczonych oraz bibliografię i prawdopodobnie spis imienny wszystkich żołnierzy.

Książkę spodziewamy się wydać w dniu 2. 4. 1950 r.

Cena książki w przedpiacie wynosi 25 sh., po ukazaniu się będzie wyższa.

Wydanie książki powierzyliśmy szerszemu Komitetowi, który ukonstytuował się w dniu 24 września 1949 r., wyłaniając Komitet ścisły — redakcyjny.

W skład komitetu redakcyjnego wchodzi:

Gen. Stanisław Kopański, mgr. Jan Bielatowicz, doc. dr. Kazimierz Grzybowski, doc. dr. Leon Koczy, ks. Jan Malinowski, dr. Mieczysław Młotek, Henryk Piątkowski, Andrzej Raciński, Wilhelm Rolland, Jerzy Zaremba.

(Nazwisko i imię)

(Data i miejsce)

19

(Dokładny adres)

DO:

Zarząd Główny Związku b. Żołnierzy SBSK.
34, ARUNDEL TERRACE,
LONDON, S.W.13.

Zamawiam egzempl. KSIĘGI PAMIĄTKOWEJ SBSK.

Równocześnie wpłacam (gotówką, czekiem, Money lub Postal Order). * w funtach szterl. na poczet należności kwotę £ sh. (słownie).

Proszę o przysłanie mi Księgi na adres jak wyżej — na adres

Każdą zmianę tego adresu podam do wiadomości Zarządu Głównego.

Podpis

* niepotrzebne skreślić

.. " "

Walka o świat

ROZDZIAŁ IV.

Rząd światowy czy światowe imperium?

Stwierdzenie faktu, że utrzymanie się przy życiu cywilizacji zachodniej, a może całej ludzkości zależy od szybkiego rozciągnięcia monopolowej kontroli nad bronią atomową prowadzi zwykle — jak to widzieliśmy powyżej — do wniosku, że powstać winien rząd światowy. Rząd światowy posiadałby najwyższą światową suwerenność i byłby obdarzony monopolem kontroli nad bronią atomową. Skoro nie będzie już niezależnych, suwerennych państw, wojna międzynarodowa dzięki samej już definicji będzie niemożliwa i ludzkość uniknie ogólnego zniszczenia, które następna lub następne wojny by spowodowały.

Z punktu widzenia abstrakcyjnego projekt stworzenia najwyższego rządu światowego wydaje się najlepszym ze wszystkich rozwiązań. Na długo przed narodzeniem się broni atomowej i dla bardziej pozytywnych powodów niż obrona przed zniszczeniem, ideał rządu światowego wysuwany był niejednokrotnie. Za powstaniem jego przemawiają argumenty humanitarne, moralne i technologiczne, które poruszyliśmy w rozdziale drugim. Co prawda rząd światowy nie spełniłby sam przez się wszystkich nadziei, które wiąże z nim jego zwolennicy. Nie zapewniłby końca wojen. Wojny jako fakt fizyczny nie przestaną istnieć dzięki samej tylko "definicji". Jeżeli w czasie istnienia rządu światowego nie będzie wojen międzynarodowych, gdyż nie będzie po prostu narodów, to wojny masowe będą mogły mieć miejsce, występując pod innymi nazwami, jak na przykład "wojny domowe" czy "bunt". Zmiana etykiety nie przyniesie zmian śmierci i cierpieniom. Tym niemniej gdyby powstał, lub miał powstać rząd światowy stanowiłby on najbardziej racjonalną strukturę, w ramach której znalazłby się rozwiązanie dla problemów współczesnej światowej polityki, ekonomii i technologii. I rząd ten rozwiązałby w sposób najbardziej zadawalający zagadnienie najważniejsze: zagadnienie kontroli broni atomowych.

Mam najwyższy podziw dla elokwencji, mądrości i dobroci serca, których używa się za naszych czasów do obrony ideału, rządu światowego. Nie dodam nic do tej obrony dlatego tylko, iż czuję, że nie mam nic nowego do powiedzenia. Jestem wyznawcą tego ideału i jakkolwiek paradoksalne wydawać się to może, wszystko co piszę służy do jego obrony.

Niestety, dzisiejsi adwokaci rządu światowego, którzy tuzina-
mi organizują rady i komitety, nie wydają się rozumieć ani
tego czym "rząd" jest, ani tego, jak historycznie rząd powsta-
je. Dla nich rząd jest tytułem, nazwą, nagłówkiem lub impo-
nującym komitetem. Ma się wrażenie, iż wierzą oni, że gdy-
byśmy organizm jakiś — Narody Zjednoczone na przykład —
zaczęli nazywać rządem światowym, organizm ten stałby się
rządem światowym. Wyobrażają sobie oni, że rząd światowy
mógłby powstać dzięki jakemuś międzynarodowemu trickowi:
dobrze zredagowanemu i przygotowanemu do podpisu trakta-
towi, przysiędze, którą złożyliby ludzie rozsypani po całym świe-
cie, zręcznej poprawce do Karty Narodów Zjednoczonych. Nie
jest to jednak tak łatwe.

Prawdziwy rząd nie jest abstrakcją. Składa się on z istot
ludzkich, zorganizowanych w instytucjach i scementowanych
wspólnymi ideałami. Poważny procent obywateli prawdziwego
rządu gotowy być musi do uznania, swobodnie czy pod przymu-
sem, faktu, że nie ma politycznej władzy wyższej od rządu. I to
jest właśnie to, co nazywamy rządem suwerennym; bez suwe-
renności nie ma prawdziwego rządu. Dlatego też Liga Naro-
dów nie była, a Organizacja Narodów Zjednoczonych nie jest
rządem światowym, nie jest nawet krokiem w kierunku rządu
światowego. Nikt nigdy, ani w jednej, ani w drugiej z tych
organizacji, nie widział najwyższej władzy politycznej. Ich
przywileje, reguły postępowania i zakres działania były tak
ustalone, by uniemożliwić zagarnięcie suwerenności i wyklu-
czyć pretensje do niej.

W skład każdego możliwego rządu wchodzić muszą z ko-
nieczności instytucje zdolne do spełnienia funkcji: prawodaw-
czej, wykonawczej i sądowej. Te trzy funkcje spełniać może je-
den organizm, lecz funkcje te muszą być spełnione, gdyż w
przeciwnym wypadku nie byłoby suwerenności. Rząd musi po-
siadać właściwość wydawania praw, którym podlegać będą
wszyscy jego obywatele; musi umieć żądać posłuszeństwa dla
praw tych; musi mieć sądy, policję, więzienia, armie by nadać
siłę tym prawom. Jeżeli nie dysponuje tym wszystkim, to nie
jest rządem. Jeżeli wolno jest poszczególnym obywatelom czy
grupom obywateli przyjmować czy odrzucać według własnego
widzi mi się prawa ustanowione przez rząd, jeżeli stosować je
mogą według własnego upodobania, jeżeli odmawiać mogą wy-
konania orzeczenia sądowego i stawiać opór policji, jeżeli po-
sługując się wetem zanulować mogą akt rządowy, wówczas nie
ma prawdziwego rządu, a pozostała tylko jego nazwa czy forma;
właściwa władza znajduje się gdzie indziej.

Ale to wszystko nie wystarcza. Aby rząd mógł powstać i
utrzymać się, obywatele jego, a w każdym razie pewien ich
procent wyznawać musi jakieś minimum wspólnych idei, for-
muł czy mitów. Aby rząd był naprawdę suwerenny, trzeba aby
obywatele jego byli o tym przekonani. Źródła takiego przekona-
nia mogą być różne, lecz sprawa źródeł jest zagadnieniem dru-
gorzędnym. Mogą oni wierzyć, że suwerenność pochodzi z na-
kazu boskiego lub, że dziedziczy ją się biologicznie, albo, że jest
wyrazem woli narodu, lub, że jest rzeczą racjonalnie potrzebną;
albo mogą po prostu wierzyć, że władza rządu nie podlega
dyskusji. Nie ma to znaczenia, byleby praktyczna zawartość
tego przekonania — to znaczy, uznawanie władzy rządu —

pozostała bezzmienna. Ale, o ile obywatele w ogóle nie wierzą
w suwerenność swego rządu, wówczas jest ona tylko iluzją.

Takie jest znaczenie słowa "rząd", bez względu na to czy
chodzi o jakiś określony rząd czy też hipotetyczny rząd świa-
towy. I wystarczy zastanowić się przez chwilę by stwierdzić
jak odległe są od rzeczywistości projekty obrońców rządu
światowego.

2.

Punktem wyjścia naszej analizy był fakt uznania broni ato-
mowych za główny materialny element ostrego kryzysu w po-
lityce światowej. Widzieliśmy, że zniszczenie cywilizacji zachod-
niej zarysowuje się przed nami nie w odległej, lecz bardzo bli-
skiej perspektywie. Po ustaleniu, że próby zachowania cywil-
izacji zachodniej są rzeczą pożądaną, doszliśmy do wniosku, że
pierwszym warunkiem jakiegokolwiek rozwiązania obecnego
kryzysu jest dążenie do rozwiązania go w możliwie krótkim
czasie.

Stworzenie rządu światowego nie jest rzeczą niemożliwą. Nie
można utrzymywać, że ponieważ nie było jeszcze rządu świa-
towego, to nigdy rządu takiego nie będzie. Z faktu, że podczas
dziesiątków tysięcy lat nie było społeczeństwa ludzkiego, któ-
re by liczyło więcej niż kilka tysięcy dusz, nie wynika, że żad-
ne z przyszłych społeczeństw nie osiągnie cyfry szeregu milio-
nów ludzi. Wnioski z przeszłości wyciągnąć możemy tylko wte-
dy, gdy bierzemy pod uwagę nowe, materialne i socjalne ele-
menty, które w przeszłości nie były znane. Z drugiej strony,
jeszcze większym błędem byłoby podtrzymywanie tezy, że po-
niemaj jakieś rozwiązanie jest pożądane i potrzebne zosta-
nie ono na pewno wprowadzone w życie. W doświadczeniach
indywidualnych i społecznych nie znajdziemy nic, co by mogło
nasunąć przypuszczenie, że ludzie pokonają trudności na
drodze, która z punktu widzenia racjonalnego wydawałaby się
najlepszą. Powiedzenie alkoholikowi, że alkohol jest dla niego
szkodliwy nie oderwie go od picia tak, jak wykład o ogólnych
nieszczęściach wywołanych inflacją nie zachęci chłopca do
sprzedawania zboża poniżej ceny rynkowej. Rząd światowy był-
by najlepszym rozwiązaniem dla dzisiejszego kryzysu; lecz
prawda ta, nawet gdyby uznawana była powszechnie, nie wy-
starczy do jego stworzenia.

Jeżeli opierać będziemy sądy nasze na faktach, a nie na
życzeniach, to zmuszeni będziemy do wysunięcia następującego
wniosku: w granicach czasu, którym dysponujemy, swobodne
i dobrowolne stworzenie rządu światowego jest historycznie
niemożliwe. Jest niemożliwe dlatego, że nie istnieją przedwstęp-
ne, historyczne i konieczne ku temu warunki.

Rząd światowy oznacza światową jedność polityczną. Do-
świadczenie historyczne wskazuje, że jedność polityczną osią-
ga się przez rozpowszechnienie się kultury na skutek podbo-
ju militarnego, lub przez sam podbój. Rzymskie legiony wraz
z rzymskimi wychowawcami, architektami i językiem mogły
dokonać zjednoczenia Galii i Włoch; żołnierze i księża dawne-
go Egiptu mogli politycznie zjednoczyć dolinę Nilu; niemiecka
Kultur wraz z dyplomacją i najlepiej wyszkolonymi żołnierzami
Europy mogły zbliżyć do siebie małe państwa niemieckie;

dzięki podbojowi bezpośredniemu, a bez penetracji kulturalnej Turcja ottomańska zjednoczyć mogła różne państwa bizańskie Azji Mniejszej i Bałkanów. Ale nie znajdziemy prawie w historii przykładów na polityczne zjednoczenie odrębnych i autonomicznych jednostek, które dokonane by zostało na skutek swobodnej i dobrowolnej decyzji.

Pozornie dobrowolne złączenie się odrębnych jednostek ukazuje nam — po dokładniejszym zbadaniu — fakt, że towarzyszyły temu zjednoczeniu zawsze dwa warunki: uprzednio istniejąca jedność kulturalna i groźba zewnętrznej siły, skierowanej przeciwko tym jednostkom. Ale nawet te warunki rzadko wystarczają do powstania jedności. Od IV do II wieku przed Chrystusem, miasta-państwa greckie posiadały wspólną, opartą na tradycji, kulturę, kulturę tak głęboką, że z punktu widzenia językowego wszyscy nie-Grecy nazywani byli barbarzyńcami. Grecy stanęli w obliczu nie tylko groźby, lecz i realnej presji siły zewnętrznej — ze strony Macedończyków i Rzymu — która była tak potężna, że każdy dojrzały Grek rozumiał, iż oddzielenie miasta-państwa greckie nie miały żadnego szans stawienia jej oporu. Tym niemniej nie udało się miastom-państw dokonać politycznego zjednoczenia. Ich różne koalicje i ligi rozpadały się kolejno i Grecja zamieniła się w podległą prowincję. Historia wielkich miast-państw włoskich w okresie przed renesansem była taka sama. W ich wypadku także istniała wspaniała i głęboka jedność kulturalna; oni także atakowani byli przez siłę zewnętrzną w postaci armij Hiszpanii, Francji i Cesarstwa. Ponadto wspaniała analiza i wrzuszająca retoryka Machiavella uświadomiła im na czym polega sytuacja i jakie jest jedyne dla niej rozwiązanie. Mimo to nie zjednoczyły się.

Jeżeli zjednoczenie Anglii i Szkocji wydaje się nam pokojowe i dobrowolne, to dlatego tylko, że uwagę naszą koncentrujemy na nieistotnym akcie końcowym, a zapominamy o licznych wiekach walk i zaciekłych konfliktów, które akt ten poprzedziły. I w tym wypadku także istniała wspólna cywilizacja, chrześcijańska cywilizacja zachodu. Zanim Federacja Szwajcarska przemieniła się w zjednoczony naród trzeba było, by wieki zmieniających się lig i koalicji, zagranicznych interwencji i czasowych podbojów podparte zostały kolizją z Napoleonem, naciskiem świętego Przymierza i zacieklą, chociaż krótką i stosunkowo mało krwawą wojną domową.

W powstaniu Stanów Zjednoczonych przede wszystkim szukają zwolennicy rządu światowego precedensów. Twierdzą oni, że naśladując ów przykład można by dzisiaj stworzyć i utrzymać zjednoczony rząd światowy. Analiza, jednak wykazuje jasno, że analogia ta, tak przekonywująca na pierwszy rzut oka upada w każdym istotnym punkcie.

Przed wszystkim trzeba stwierdzić, iż początkowe trzynastcie kolonii Stanów nie tylko że uczestniczyły we wspólnej zachodniej kulturze, ale nadto w specyficznej angielskiej formie tej kultury, włącznie z językiem. Tak jak wszystkie organizacje, zależne od jednego potężnego mocarstwa i posiadające wspólne polityczne przeznaczenie, były one przyzwyczajone do wspólnego myślenia politycznego; nie posiadały one też tradycji oddzielnego suwerennego istnienia. Ścisłe sąsiedztwo między nimi, szerokie morze z jednej strony i szeroka pustynna

przestrzeń z drugiej, oddzielając ich od reszty świata narzuciły im jedność geograficzną. Prowadziły one wspólnie długą i trudną wojnę o niepodległość i odniosły razem zwycięstwo. W czasie wojny tej, jakkolwiek zjednoczenie ich było dalekie od całkowitego, i jakkolwiek pod wieloma względami walka ich miała formę koalicji niezależnych potęg, wytworzyły się u nich wspólne symbole i liczne tradycje jedności: jeden kongres — jakkolwiek ograniczoną była jego władza, wspólne deklaracje często wrzuszające, wspólne zwycięstwa, porażki i traktaty, bohaterowie narodowi. Wpływowo klasy w społeczeństwie mogły tylko wygrać na zjednoczeniu, a przegrać na separatyzmie. Ponadto, groźba realnych interwencji obcych sił nie została usunięta z chwilą zwycięskiego zakończenia wojny o niepodległość. Nieomal wszyscy mężowie stanu Ameryki rozumieli doskonale, że niepowodzenie w stworzeniu silnie zjednoczonego narodu pozostawiłoby mocarstwu europejskim otwartą drogę do intryg: wygrywania poszczególnych kolonii między sobą, co na dalszą metę doprowadzić musiało do ponownego panowania europejskiego.

Tym niemniej wszystkie te powody nie tworzyły jeszcze dostatecznej podstawy dla powzięcia swobodnej i dobrowolnej decyzji zjednoczenia. W rzeczywistości potrzebny był dodatkowo zamach mniejszości. Konwencja filadelfijska zgwałcić musiała specyficzne instrukcje, które ograniczały ją do zwykłej poprawki Artykułów Konfederacji. Nowa Konstytucja zawierała oczywiście groźbę przymusu, która wyrażona była w postanowieniu, że porozumienie tylko dziewięciu Stanów wprowadzało w życie nowy rząd. W stanach wahających się, odważnej kampanii za porozumieniem towarzyszyło straszenie, które zostało otwarte pole zarówno argumentom racjonalnym jak i demagogii. Oświadczenie miasta New York, o oddzieleniu się jego od Stanu, miało zapewne w Poughkeepsie tę samą wagę co i przemówienie Hamiltona. I w końcu jedność przypieczętowana została krwią jednej z najstraszniejszych wojen domowych.

Nawet więc uznanie precedensu amerykańskiego nie udowodniłoby nam faktu, że utworzenie rządu światowego byłoby rzeczą łatwą. A precedens sam w sobie jest najwyraźniej nie do zastosowania. Na świecie mamy nie jedność, lecz wielorakość kultury, nie mówiąc już o rozbiciu świata na odłam totalitarny i nietotalitarny, które tworzy dodatkową strukturę. Zachodnia cywilizacja podzielona jest wyraźnie na odmienne wspólnoty, których odrębność podkreśla ciężar wieków przeszłych. A w każdym razie zanim nie nadejdzie epoka walk międzyplanetarnych żadna zewnętrzna siła nie będzie pchać świata w kierunku zjednoczenia. Nauki wyciągnięte z doświadczenia nie mają charakteru dwuznacznego. I nie mamy żadnego powodu przypuszczać, że narody świata stworzą w niedalekiej przyszłości rząd światowy, swobodną i dobrowolną decyzją.

3.

Rozpatrzyliśmy powyżej możliwości powstania rządu światowego na skutek swobodnej i dobrowolnej decyzji. Jeżeli jednak zmienimy założenie tego problemu i zastanowimy się nad możliwością powstania nie tyle rządu światowego co imperium światowego, które stworzone by zostało siłą czy też groźbą uży-

cia siły, to wówczas nauki zaczerpnięte z doświadczenia historycznego nie podyktowałyby nam tego samego wniosku negatywnego.

Nie było jeszcze oczywiście imperium światowego w sensie objęcia przez jakieś imperium całej kuli ziemskiej. Powstało jednak kilkakrotnie to, co Toynbee¹²⁾ nazywa "imperium uniwersalnym"; imperia te stanowią w rzeczywistości normalny etap — ostatni przed końcowym — w historii cywilizacji. W wypadkach cywilizacji, które znamy, przebieg tego zwykle jest mniej więcej tak: każda cywilizacja wydobywa się poza odręb własnego i stosunkowo ograniczonego ogniska za pośrednictwem rozpowszechniania, kolonizacji i podboju. Potem rozczłonkowuje się ona na szereg niezależnych skupisk politycznych. W pewnym momencie tej ewolucji następuje długa seria katastrof i kryzysów, którą Toynbee nazywa "epoką niepokoju". W punkcie kulminacyjnym tego okresu jednemu z państw udaje się wyeliminować wszystkich rywali i stworzyć imperium uniwersalne, którego obszar odpowiada z grubsza sferze wpływów osiągniętych uprzednio przez cywilizację. Za imperium uniwersalnym z kolei szedł, jak dotychczas zawsze, upadek wspomnianej cywilizacji.

Powstało więc w ten sposób imperium uniwersalne dynastii Han (dla najstarszej cywilizacji chińskiej); imperium Gupta'ów dla najstarszej cywilizacji indyjskiej; kalifat Abassydów (restaurowując przerwane imperium Achemenides'ów) dla cywilizacji syryjskiej; imperium otomańskie dla cywilizacji chrześcijańskiej prawosławnej (bizantyńskiej); imperium ze swym centrum w Krecie dla cywilizacji kretańskiej; "imperium czterech części świata", zrestaurowane po przerwie przez Hamurabiego dla cywilizacji sumeryjskiej; imperium rzymskie dla cywilizacji helleńskiej; imperium Inkasów dla cywilizacji andeńskiej; imperium mongolskie a później suwerenność brytyjska dla bardziej nowoczesnej cywilizacji indyjskiej; i tak dalej.

Należy zaznaczyć, że państwo, któremu udaje się stworzyć z danej cywilizacji imperium uniwersalne — należy czasami do tej cywilizacji (miało to miejsce w wypadkach cywilizacji helleńskiej, egipskiej, chińskiej, andeńskiej). W innych wypadkach (jak na przykład z cywilizacjami indyjską i bizantyńską) imperium to tworzy naród czy plemię, które wdziera się z zewnątrz i które niezwiązane jest kulturalnie z właściwą cywilizacją. W tych ostatnich wypadkach jest tak, jakby właściwa cywilizacja znalazła się na skutek całej serii nie-szczęść w zaułku, z którego jedynym wyjściem dla niej byłoby imperium uniwersalne, a ponieważ brak jej samej odpowiedniej inicjatywy zwrócić się musi o pomoc do obcej siły.

My, którzy należymy do cywilizacji zachodniej, jesteśmy z tytułu zrozumiałego prowincjonalizmu lepiej poinformowani o dziejach imperium rzymskiego, gdyż z upadku imperium tego wyszła nasza cywilizacja. Aby odkryć ewentualną analogię z czasami dzisiejszymi przypomnijmy główne linie ewolucji imperium rzymskiego.

Na skutek rozkładu społeczeństwa micońskiego narodziła

się cywilizacja helleńska, która rozsiadłszy się wzdłuż wybrzeża i na wyspach morza Egejskiego przez kilka wieków z miejsc tych stopniowo się rozszerzała. Z punktu widzenia politycznego była ona złożona w większości z małych niezależnych państw, z których pewna liczba założyła kolonie. Po zwycięstwie nad Persami, w pierwszej połowie V wieku przed Chrystusem utworzyły się dwie koalicje pod kierownictwem Aten i Sparty. Jednej albo drugiej udało się na pewno zjednoczyć świat grecki, lecz ich długa walka w czasie wojny peloponeskiej pod koniec V wieku wyczerpała je do tego stopnia, iż ta koalicja cywilizacji nie podniosła się już nigdy. Miasta-matki utraciły swą twórczą inicjatywę.

Tym niemniej problem unifikacji istniał w dalszym ciągu. Realizację tego problemu podjęły "częściowo barbarzyńskie nad-państwa z peryferii", jak to określa Toynbee. Przez prawie trzy wieki, z krótkimi tylko przerwami względnego spokoju, Macedonia, Rzym i Kartagina walczyły o to, kto zadać ma cios ostateczny. Wojna nabrała innego znaczenia, stając się jednocześnie i bardziej rozległą i bardziej gwałtowną i zastępując dotychczasowe specyficzne i ograniczone obiekty, celem — całkowitego unicestwienia — Carthago delenda est. Wojny te zlały się z gigantycznymi konfliktami socjalnymi, rewolucjami i wojnami domowymi. Spartacus, Gracchowie, Sulla, Mariusz, Pompeusz, Juliusz Cezar, Antoniusz, Oktawian toczyli walki biegnące w różnych kierunkach i na całej przestrzeni cywilizacji, niszczyli swych własnych zwolenników, obalali stare formy socjalne, skazywali na wygnanie i masakrowali szeregi pokonanych tak długo, aż ostateczne zwycięstwo Oktawiana ustaliło imperium jako fakt dokonany i uniwersalny.

Jak daleko sięga ta analogia? Źródło cywilizacji zachodniej znajduje się w zachodniej części półwyspu europejskiego. Polityczny separatyzm, akcentujący się coraz silniej od czasów renesansu, stawia w sposób coraz bardziej nieunikniony problem politycznej unifikacji. Najpierw Francja za czasów Napoleona usiłuje go rozwiązać bez powodzenia. Potem Niemcy próbują dwukrotnie, z tym, że wszystkie propozycje dokonania pokojowego zjednoczenia upadają. W czasie drugiej próby, którą podjęły one ostatnio — po raz pierwszy w historii zachodu unicestwienie pokonanego staje się celem wojny. Listy skazanych na wygnanie zostają ustalone zawczasu. Wojny socjalne i rewolucyjne krzyżują się z liniami walk międzynarodowych. Próba Niemiec zakończyła się niepowodzeniem. Pozostają dwa nad-państwa częściowo barbarzyńskie z peryferii: Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki. Jeżeli jednemu z nich się uda, stworzone przez niego imperium uniwersalne cywilizacji zachodniej, w przeciwieństwie do imperiów uniwersalnych innych cywilizacji, byłoby także imperium światowym. Byłoby tak dlatego, że cywilizacja zachodnia, jakkolwiek kulturalnie nie rozciąga się na cały świat, politycznie i materialnie nad nim panuje.

Toynbee nigdzie nie posuwa się tak daleko, by uznać pozytywną analogię między historią Hellenów a Zachodem, mimo, że przeprowadza paralelę, w której nie ogranicza się tylko do polityki, lecz porusza dziedziny związane z filozofią, literaturą, postawami moralnymi i uczuciowymi. Nie jest jednak konieczne wyprowadzenie naszych przewidywań co do politycz-

12) W tym rozdziale czerpałem obficie z książki Toynbee: *A study of history*.

nego rozwoju świata z analogii opartych o przeszłe cywilizacje, których prawa — przynajmniej się szczerze — nie są nam całkowicie znane. Charakter ogólny obecnej sytuacji politycznej świata, oraz tendencje, które się przejawiają, wskazują z dostateczną jasnością na to, co się dzieje i na to, co się stanie.

4.

Jest wyraźnie widoczne obecnie, że świat z okresu sprzed 1939 r., podzielony politycznie na stosunkowo sporą liczbę niezależnych i suwerennych państw — dobiega swego końca. Dwa duże niezależne mocarstwa zostały zniszczone przez wojnę. Mniejsze państwa nie stanowią już więcej niezależnych na prawdę elementów w polityce światowej. Karta Narodów Zjednoczonych pomija nawet fikcję równości małych narodów, która byłaby niezgodna z przepisami dotyczącymi weta i przydziału stałych miejsc w Radzie Bezpieczeństwa.

W "Managerial Revolution", książce napisanej w 1940, a więc na kilka lat przed ukazaniem się broni atomowych, zastanawiałem się na tym, co — jak oczekiwać należy — zastąpi rozpadającą się strukturę polityczną świata. Wydawało mi się i wtedy i dzisiaj, że jeden rząd światowy byłby z punktu widzenia racjonalnego i moralnego najlepszym rozwiązaniem, które odpowiadałoby również najlepiej potrzebom ekonomicznym i socjalnym. Miałem jednak wtedy wrażenie, że rozbieżności kulturalne w połączeniu z trudnościami administracyjnymi i wojskowymi są tak poważne, że uniemożliwią powstanie jednego rządu światowego. Wydawał mi się wówczas bardziej prawdopodobny podział świata między niedużą liczbą nadpaństw, zapewne trzy, które skupiłyby się naokoło trzech głównych okręgów przemysłowych świata, w Europie, w Azji i Stanach Zjednoczonych. Jednocześnie przepowiedziałem wojny, które prowadziłyby między sobą owe nadpaństwa w celu zapewnienia sobie panowania nad światem, które — jak mi się wydawało — nie zostałyby zapewne osiągnięte.

Pierwsza z tych przepowiedni mogłaby jeszcze się potwierdzić. W każdym razie mam wrażenie, że zawiera ona ważne elementy prawdy, do których powrócę w jednym z następnych rozdziałów. Jeżeli zaś chodzi o najbliższą nam fazę historyczną, to dwa decydujące elementy zostały do niej wprowadzone: po pierwsze odkrycie broni atomowych; po drugie, fakt, że druga wojna światowa pozostawiając na świecie tylko dwa dynamiczne nadpaństwa wykluczyła możliwość stworzenia równowagi między mocarstwami, która mogłaby mieć miejsce, gdyby było ich trzy albo cztery.

Transcendentalna siła, skoncentrowana w broni atomowej sprawia, iż staje się możliwe — w co nie wierzyłem póki nie było broni atomowej — polityczne opanowanie świata przez jedno państwo dostatecznie potężne, pod warunkiem jednak, żeby posiadało ono monopol na środki atomowe. Groźba wzajemnego wyniszczenia się państw posiadających bomby atomowe, zakładając, że jest ich więcej niż jedno, popchnie każde z nich na pewno w kierunku usiłowania zdobycia monopolu. Ale monopol broni atomowych można osiągnąć jedynie zdobywając panowanie nad światem.

Problem monopolu broni atomowych jest identyczny z pro-

blemem politycznej kontroli nad światem. Ta identyczność wychodzi na jaw w sposób jaskrawy w zawilej procedurze O.N.Z. Politycznie najwyższym ciałem O.N.Z. jest Rada Bezpieczeństwa (albo formalnie Zgromadzenie, które jest po prostu Radą Bezpieczeństwa w stroju odświętnym). Wiosną 1946 r. komisja atomowa, a więc ciało podwładne, została utworzona przez O.N.Z. w celu rozpatrywania spraw związanych z bronią atomową. Ale spotrzeżono się bardzo szybko, że instytucja, która będzie pobierać zasadnicze decyzje w sprawach broni atomowych, jakkolwiek by się nazywała i jakkolwiek byłaby jej organizacją, będzie instytucją najwyższą. W tej sytuacji dwie propozycje musiały z konieczności wypłynąć: albo zasadnicze decyzje dotyczące broni atomowych wrócić muszą z powrotem do samej Rady Bezpieczeństwa, redukując w ten sposób komisję atomową do roli zwykłego biura technicznego; albo utworzyć należy poza O.N.Z. nową organizację, która zajmowałaby się problemami atomowymi. Lecz myślicy obserwatorzy zrozumieli natychmiast, że w tym ostatnim wypadku nowo stworzona organizacja zajęłaby miejsce Rady Bezpieczeństwa, która stałaby się jej politycznym podwładnym. Naiwna wiara, że nieprzewidywalne polityczne trudności, które ośmieszają i będą ośmieszać Radę Bezpieczeństwa, mogą być pokonane w wypadku broni atomowych przez czysto mechaniczne stworzenie odrębnej i specjalnej komisji dla tych spraw — rozwiązała się przy pierwszym zetknięciu się z polityczną rzeczywistością. Kto panuje nad atomem, będzie panował nad światem.

Bez względu na to, czy podejmiemy do problemu tego z punktu widzenia historii ogólnej, czy z punktu widzenia mniej lub więcej marksistowskiej analizy potrzeb i możliwości socjalno-ekonomicznych, czy możliwości nowych broni wojskowych, czy też podziału świata na dwie główne sfery — zawsze dojdziemy do tego samego wniosku. Imperium światowe stało się możliwe i będą robione próby w kierunku jego stworzenia. Co więcej, imperium światowe rozwiązałoby problem broni atomowych w ramach warunków omówionych w rozdziale trzecim, to znaczy ustanowiłoby ono monopol kontroli nad bronią atomową.

5.

Chciałbym wyjaśnić różnicę, którą robiłem między pojęciami "rząd światowy" i "imperium światowe". Pierwszego z tych pojęć używałem w sensie, który nadają mu — mam wrażenie — ci, którzy uważają siebie za zwolenników rządu światowego. Oznacza ono taki rząd światowy, który utworzony został w drodze środków pokojowych, na zasadzie procedury konstytucyjnej i demokratycznej i w którym różne narody świata posiadały — mniej lub więcej — polityczną równość. Tego rodzaju rząd wydaje się niemożliwy w najbliższym okresie historycznym.

Przez imperium światowe rozumiem państwo, niekoniecznie obejmujące całą kulę ziemską, lecz którego władza polityczna rozciągałaby się na cały świat i które stworzone zostało przez użycie siły (prawdopodobnie włącznie z wojną, a na pewno w każdym razie groźbą wojny) i w którym jedna grupa ludzi (ich jądro znajdować się będzie w jednym z istniejących narodów)

posiadać będzie więcej niż przypadająca jej część władzy.

Przypuśćmy, że Stany Zjednoczone powstały nie na skutek zgody wszystkich stanów wyrażonej w konstytucji filadelfijskiej, lecz w sposób następujący: New York i Pensylwania przekonane o konieczności zjednoczenia kolonii i zrozpaczone, że nie mogą przeprowadzić jej na czas w drodze pokojowego porozumienia decydują się na użycie siły. Posługując się na zmianę negocjacjami, groźbami, koncesjami, obietnicami wynagrodzeń a może nawet i walką udaje się im to osiągnąć; wszystkie kolonie poddają się jurysdykcji rządu, który jest tak ustanowiony, że główny ośrodek władzy (choć niekoniecznie wyłączny) w sprawach kluczowych takich, jak polityka zagraniczna i armia powierzony jest New Yorkowi i Pensylwanii. Wtedy powstałoby "imperium" w takim znaczeniu, o jakim mówiłem.

Słowo "imperium" wiąże się u Amerykanów z pojęciem tyranii i despotyzmu co nie jest historycznie uzasadnione. Istniał cały szereg różnego rodzaju i stopnia imperiów, których warianty omawiać będę później (w części trzeciej, rozdział VI). Imperium nie jest zaprzeczeniem demokracji: Ateny i Anglia, dwa największe imperia w historii są najbardziej demokratycznymi rządami ze wszystkich znanym nam dotychczas. Imperium brytyjskie jak również inne imperia o mniejszym znaczeniu udawadniają fakt, że demokracja może istnieć i rozwijać się w krajach podległych imperium. Stosunki między władzą imperialną a krajami podległymi niekoniecznie muszą być zawsze takie same, lecz przybierać mogą różne formy, począwszy od najbardziej bezwzględnej eksploatacji aż do uczestnictwa we władzy na prawie równych prawach.

Władza imperialna nie musi być konieczne totalitarna — to znaczy, nie musi wkraczać we wszystkie dziedziny działalności społecznej. Może ograniczyć się do tego tylko, co konieczne jest do utrzymania integralności imperium. Jest tylko jedno na prawdę istotne zadanie, które stanie przed imperium światowym jutro: to utrzymanie monopolu broni atomowych i im podobnych. Wypełnienie tego głównego zadania da się pogodzić z rozluźnieniem struktury imperialnej na innych polach.

Jest rzeczą zrozumiałą, że podejmując próbę skonstruowania imperium światowego nie wysunie się otwarcie sloganu "imperium światowe". Użyje się natomiast określeń łatwiejszych do przyjęcia takich jak "Federacja światowa", "Republika światowa", "Stany Zjednoczone świata", "Rząd światowy", albo nawet "Narody Zjednoczone". Ale w książce tej obchodzą mnie fakty, a nie słowa. Prawdą też jest, że wzrastająca wiara w rząd światowy i szerzona w jego obronie propaganda wskazują w chwili obecnej na istnienie potrzeby rządu światowego, na formowanie się szeregów jego zwolenników i na rozwijanie się przygotowania psychologicznego do jego przyjęcia, gdy powstanie. Podobne pragnienie, wyrażające się w podobny sposób, rozpowszechnione było w świecie helleńskim w wieku, poprzedzającym powstanie imperium rzymskiego. Jest to zupełnie tak, jak z kawalerem, który swe przygotowania do stanu małżeńskiego rozpoczyna od dyskusji na temat piękna "prawdziwej miłości".

W końcu należy zaznaczyć, że historycznie mówiąc nie ma

absolutnego przeciwstawienia między imperium światowym i rządem światowym. Wręcz przeciwnie: imperium światowe jest jedynym środkiem, za pomocą którego prawdziwy rząd światowy może być osiągnięty. Z drugiej strony imperium światowe na początku mogłoby być lub mogłoby przybrać formę totalitarnej tyranii światowej. Tego rodzaju możliwość nie jest nieunikniona. Ci, którzy wierzą w wolny rząd światowy, jeżeli są politycznie dojrzały, jeżeli wiara ich jest czymś innym niż marzeniami przeznaczonymi do kompensowania trudnej rzeczywistości i ich własnej słabości, zmuszeni będą w praktyce do przyjęcia perspektywy imperium światowego, gdyż tylko imperium światowe stwarza jedyną realizację ich najgorętszego ideału.

6

Podsumujmy teraz wyniki naszej dotychczasowej analizy:

Odkrycie broni atomowych stworzyło sytuację, w której dalsze istnienie cywilizacji zachodniej, a może całej ludzkości uzależnione zostało od ustanowienia monopolu kontroli nad bronią atomową. Monopol ten może być zdobyty i wykonywany tylko przez imperium światowe, dla którego podstawa istnienia powstała wcześniej i niezależnie od odkrycia broni atomowych. Próby stworzenia imperium światowego zostaną podjęte i one właśnie stanowią cel trzeciej wojny światowej, której wstępne utarczki już się rozpoczęły.

Jasne też jest, że mamy tylko dwu kandydatów na imperium światowe: Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone.

ROZDZIAŁ V.

Istota komunizmu

Najczęstszym źródłem nieporozumień, jeżeli chodzi o charakter ruchów socjalnych i politycznych jest przekonanie, że słowa używane przez zwolenników tych ruchów, dla wyjaśnienia ich celów i działalności, należy brać dosłownie. Słowa nie są pozbawione znaczenia i często odzwierciedlają prawdę. Zwykle jednak funkcje ich nie mają nic wspólnego z prawdą i, podobnie jak niektóre rodzaje poezji, wyrażają jedynie głęboko ukryte uczucia, nadzieje i niesprecyzowane myśli. Słowa, którymi posługują się komuniści, gdy mówią o sobie i swej działalności, wywołują szczególne nieporozumienia gdyż świadome wprowadzanie w błąd innych, a nieświadome siebie samych, jest częścią składową komunizmu.

Większość książek, poświęconych komunizmowi czy Związkowi Sowieckiemu, cytuje dla poparcia swych wniosków przemowy, manifesty, artykuły z książek komunistycznych, wyciągi z konstytucji, ustawy i zarządzenia sowieckie. Ponieważ jakaś konstytucja czy zbiór praw mówi, że w Rosji sowieckiej istnieje równość rasowa, kulturalna i narodowa, przyjmuje się jako rzecz udowodnioną, że równość ta istnieje w rzeczywistości. Ponieważ komuniści poza obrębem Rosji sowieckiej utrzymują, iż wierzą w demokrację, wolne związki zawodowe, prawa cywilne, rozwój gospodarczy, obronę narodową i przyznanie największych ułatwień szkolnictwu — wychodzi się z założenia, iż nie tylko

wierzą w to, lecz i zmierzają do urzeczywistnienia tych celów. Ponieważ sprawozdanie z planu pięcioletniego stwierdza, iż warunki mieszkaniowe, jedzeniowe i ubraniowe polepszyły się w takim to procencie, wierzy się, że rzeczywiście miało to miejsce. Ponieważ jakiś dyplomata sowiecki domaga się rozbrojenia i wykluczenia broni atomowych dochodzi się do wniosku, iż jest to naprawdę jego szczerym pragnieniem. Nawet ci, którzy odnoszą się sceptycznie do obecnej działalności komunistów, mówiąc: "Ich cel — stworzenie wolnego i bezklasowego społeczeństwa ludzkiego — jest pięknym i szlachetnym celem", stwierdzają, że cel, który komuniści wyznają w słowach, jest ich celem rzeczywistym, określonym ich akcją i jej prawdopodobnym wynikiem.

Aby zrozumieć ruchy polityczne i socjalne zbliżyć się musimy do rzeczywistości, idąc inną drogą niż tym trotuarem słownym. Musimy rozpocząć od ustalenia nie ich słów, lecz ich działalności politycznej, musimy zdać sobie sprawę z aktów ruchu, jego historii, praktycznych osiągnięć, tendencji dynamicznych i kierunku, w jakim postępuje jego ewolucja. Słowa, których ruch taki używa, należy skonfrontować z postępowaniem i tylko można im wierzyć wtedy, gdy z konfrontacji wyjdą zwycięsko. Otóż w wypadku komunizmu okazuje się, że używane słowa, przeznaczone nie dla szerokich mas, lecz dla komunistów samych, odkrywają nam zupełnie inne oblicze.

Mówi się czasami, że komunizm jest ruchem młodym, nowym, niewypróbowanym i że brakuje nam danych, by go sądzić. Tego rodzaju powiedzenie jest po prostu chwytem, mającym na celu umożliwienie wypowiedzenia sądu, którego prawdziwość potwierdzają fakty. Komunizm (czy bolszewizm) jako specyficzny ruch socjalno-polityczny powstał w 1903, czterdzieści kilka lat temu. Wyszedł on z marksizmu, który przybrał swą formę skończoną w 1848 (wiek temu) i dorzucił do niego pewne elementy z nihilizmu i blanquizmu, posiadające już także za sobą dosyć poważną historię. Od 1903 ewolucja komunizmu miała przebieg logiczny i nie było w niej, jeżeli chodzi o tradycję czy postępowanie, wyraźnych przerw historycznych. Od trzydziestu lat komunizm panuje nad dużym narodem, ostatnio zaś panowanie to rozszerzył na inne narody i okręgi. Od dziesiątków lat, na przestrzeni całego świata, działa on w formie partii, syndykatów, rządów, przemysłów, wydawnictw, w tyśiącach komitetów i organizacji. Działający komunizm studiować możemy we wszystkich środowiskach socjalnych, politycznych, kulturalnych i moralnych, w jego postawie w stosunku do wszystkich problemów naszego społeczeństwa, w czasie wojny czy pokoju, u władzy czy nie, w dużej skali, czy też najmniejszej, zarówno w klubach bridżowych, grupach harcerskich jak też potężnych armiach. Świadectwa tej działalności, które posiadamy, są nie tylko liczne, lecz przytłaczające. I jedynym usprawiedliwieniem dla naszej nieumiejętności wyrobienia sobie ostatecznego sądu o istocie komunizmu jest tylko **ignorancja** czy też niechęć do spojrzenia prawdzie w oczy.

Jeszcze jedna przeszkoda utrudnia zrozumienie komunizmu Amerykanom, Anglikom i tym wszystkim, których idee polityczne oparte są na znajomości zwykłych partii politycznych w krajach demokratycznych. Aczkolwiek uznaje się, że komunizm posiada "odmienny program" widzi się w nim taką samą par-

tię polityczną, jak partia demokratyczna czy republikańska w Stanach Zjednoczonych, partia konserwatywna brytyjska czy radykalno-socjalistyczna francuska. Członka partii komunistycznej uważa się za tego samego rodzaju istotę ludzką, co konserwatystę czy demokratę; wszedł on tylko w skład odmiennej, chociaż podobnej organizacji.

Jeżeli nasze rozumowania i akcja opierają się na powyższym przypuszczeniu, to traktowanie komunistów w ten sam sposób co członków każdej innej współzawodniczej partii wydaje się rzeczą najzupełniej naturalną. Przeprowadza się negocjacje ze Związkiem sowieckim rządzonym przez komunistów tak, jak z każdym innym państwem. Upoważnia się partie komunistyczne do legalnego rozwijania akcji, podobnie, jak wszystkie inne partie; i witane są one oraz przyjmowane do rządów koalicyjnych. Układy przedwyborcze przeprowadza się z komunistami nie tylko na Węgrzech i we Francji, lecz i w New Yorku. Zaciąg obywatele nie wahają się przed zasiadaniem wspólnie z komunistami w różnego rodzaju komitetach, organizacjach dobroczynnych, radach nadzorczych pism i tygodników. A liberałowie wznoszą okrzyki oburzenia zawsze wtedy, gdy komuniści skarżą się, że ich wolności cywilne zostały naruszone.

Przypuszczenie to jest groteskowo fałszywe. Poza pewnymi gatunkowymi cechami, charakteryzującymi wszystkie organizacje, a które w danym wypadku posiadają znaczenie drugorzędne, partia komunistyczna nie ma nic wspólnego z parlamentarnymi partiami demokratycznymi. Znajduje się ona na zupełnie innym planie politycznym. Partie parlamentarne, do których jesteśmy przyzwyczajeni, są związkiem różnych osób, złożonych luźnymi więzami, w celu stworzenia maszyny wyborczej i posiadającymi ograniczone cele do osiągnięcia. Nie mają one ustalonych i systematycznie stosowanych metod, w najlepszym wypadku kilka tradycyjnych idei i periodycznych "programów", dostosowanych do bieżących zagadnień politycznych, które zresztą nie są traktowane zbyt poważnie. Dla większości osób "być republikaninem" oznacza wpłacanie od czasu do czasu pewnej ilości dolarów i wzięcie udziału w wyborach. Nawet dla zawodowych polityków parlamentarnych "polityka" jest czymś podobnym do wielu innych "zawodów" i nie stanowi głównego przedmiotu zainteresowania życiowego, wśród tylu innych.

Komunista natomiast jest "członkiem związanym". Nie ma on życia poza organizacją i swymi sztywnymi ideami. Wszystko co robi i wszystko co posiada: rodzinę, zajęcie, pieniądze, wiarę, przyjaciół, talenty, swe własne istnienie, wszystko podporządkowane jest komunizmowi. Nie jest on komunistą tylko w dzień wyborów i na zebraniach partii; jest komunistą zawsze. Czyta, je, kocha, myśli, udaje się na zebrania, zmienia miejsca swego pobytu, śmieje się i przeklina zawsze jako komunistę. W świecie istnieją dla niego tylko dwie kategorie istot ludzkich: komuniści z jednej strony i wszyscy pozostali. W jego przekonaniu wszystkie partie nie komunistyczne są "agentami wrogiej klasy" i "otwarcie" czy "podświadomie" stanowią "obiektywną kontrrewolucję".

W konsekwencji, by móc zrozumieć naturę komunizmu musimy usunąć z naszego umysłu wszystkie koncepcje oparte na naszych doświadczeniach i obserwacjach tradycyjnych partii

parlamentarnych. W przeciwnym razie postępowalibyśmy tak, jak ktoś, kto starałby się ustalić naturę gry w szachy na podstawie swej znajomości warcabów oraz na zasadzie faktu, że do obu tych gier używa się tej samej szachownicy. Nasze powodzenie w stosunkach z komunistami byłoby bowiem podobne do szans na konkursie szachowym gracza, znającego wyłącznie grę w warcaby.

2.

Opierając się na znanych nam faktach, zdefiniować możemy komunizm jako konspirację światową, mającą na celu zagarnięcie monopolu władzy w chwili upadku kapitalizmu. Politycznie opiera się on na terrorze i na okłamywaniu mas; ekonomicznie, jest, a w każdym razie zmierza, do kolektywizmu; socjalnie jest on totalitarny¹³).

Każde słowo w powyższej definicji posiada swe ściśle określone znaczenie i dlatego zajmę się kolejnym ich rozpatrzeniem.

Od czasów Marksa oficjalny komunizm był ruchem światowym, nie uznającym granic politycznych, geograficznych i kulturalnych. Od chwili stworzenia trzeciej międzynarodówki ten internationalizm skonkretyzował się w formie zwartej organizacji tak, że działalność polityczna wszystkich komunistów podporządkowana została jednemu wspólnemu centrum. Jednym z głównych celów propagandy komunistów i ich naiwnych wyznawców jest wywołanie przekonania, że komuniści rosyjscy, amerykańscy, chińscy i jugosłowiańscy to nie to samo. Wiara w to przekonanie byłaby bezmyślną iluzją, gdyż różnice w programach poszczególnych narodowych partii komunistycznych są dyktowane przecież przez owe wspólne centrum. Różnice te, to tylko taktyczne warianty, dostosowane do specjalnych warunków narodowych i wymogów chwili. Strategia centralna jest zawsze jedna i zawsze taka sama.

Oficjalne rozwiązanie, w maju 1943 r. trzeciej międzynarodówki, które wywołało tak liczne komentarze w prasie międzynarodowej, nie miało dla samych komunistów najmniejszego znaczenia. Komuniści nie troszczą się nigdy o "formy organizacyjne". Wiedzieli oni, że nie w rzeczywistości nie uległo zmianie, że od dłuższego czasu międzynarodówka była "biurokratyczną naroślą", niepotrzebną z punktu widzenia akcji i że nującą sowieckie negocjacje dyplomatyczne. Już w 1937 chińska partia komunistyczna wycofała się formalnie z międzyna-

13) Wiem doskonale, że definicję tę zastosować można bez żadnych prawie zmian także do faszyzmu. Nie ma zresztą w tym nic dziwnego, gdyż komunizm i faszyzm są dwoma zasadniczymi wariantami ruchu socjalno-politycznego. Różnią się między sobą czynnikiem o charakterze zawsze drugorzędnym to znaczy mitem, który służy do uzasadniania ich działalności i okolicznościami towarzyszącymi ich powstaniu. W swej ewolucji historycznej kierowały się wyraźnie tymi samymi normami. Rywalami są w tym samym stopniu jak np. dwaj kandydaci na mistrzów w boksie wagi jednakowej: ich cele i metody są identyczne. Twierdzenie komunistów, iż są "światowymi przywódcami walki z faszyzmem" jest dla ludzi, którzy nie są ani komunistami ani faszystami, jednym z bardziej ironicznych żartów w historii.

rodówki, by ułatwić sobie realizację swej polityki lokalnej. W 1940 partia komunistyczna amerykańska powzięła tę samą decyzję, aby móc nominalnie zastosować się do postanowień układu Smith-Connally. Od maja 1943 nie nie zmieniło się w światowej polityce komunistów i w podporządkowaniu się wszystkim partii komunistycznych władzy centralnej. Agenci, fundusze i dyrektywy wysyłani byli, tak jak przedtem; Tito, Thorez, Anton, Berger, Ibarruri, Mao, Togliatti czuli się w dalszym ciągu równie dobrze w Moskwie jak i w Jugosławii, Francji, Meksyku, Stanach Zjednoczonych, Hiszpanii, Chinach i Włoszech.

Nazywanie ruchu komunistycznego "konspiracyjnym" może wydawać się dziwne, gdyż partie komunistyczne i liczne kontrolowane przez nie organizacje rozwijają otwarcie swą aktywność we wszystkich krajach. Paradoks ten tkwi w świecie niekomunistycznym, a nie w komunizmie. Konspiracja oznacza plan, który—mimo że zawierać może pewne legalne fazy w swych zasadniczych celach i metodach jest jednak nielegalny. Z punktu widzenia komunistycznego praca legalna ma zawsze znaczenie drugorzędne i tylko wtedy jest ważna, jeżeli ukrywa aktywność nielegalną. I nie mogłoby być inaczej. Marks i Engels ujeli to w swym Manifestie w sposób następujący: "cele komunistyczne osiągnięte mogą być tylko poprzez obalenie siłą wszystkich istniejących warunków społecznych". Lenin zaś powiedział:¹⁴) "Praca legalna musi być połączona z pracą *nielegalną*. Bolszewicy zawsze uczyli tego... Partia, która... nie prowadzi różnokierunkowej działalności *nielegalnej* na przekór ustawom burżuazyjnych parlamentów, jest partią zdrajców i tchórzów".

Ta właśnie postawa dyktuje komunistom ich koncepcję reform. Pragnienie reform i wysiłek w kierunku ich realizacji jest oczywiście "pracą legalną" i sprawę tę ujmuje Stalin w swych "Podstawach Leninizmu" w sposób następujący: "Rewolucjoniści zgodzą się na reformy, by użytkować je w celu związania pracy legalnej z pracą nielegalną i by posługiwać się nimi jak parawanem, za którym cała działalność nielegalna, zmierzająca do rewolucyjnego przygotowania mas, nabrać by mogła na sile. "Legalna praca" w czasie wyborów, działalność polityczna partii parlamentarnych oceniana jest przez komunistów zawsze w ten sam sposób: "Śmieszni pedanci — którzy nie rozumieją, że głosowanie w granicach parlamentaryzmu burżuazyjnego jest częścią składową rządowej maszyny burżuazyjnej, którą należy rozbić i zdruzgotać, by stworzyć dyktaturę proletariatu... Nie rozumieją oni, że — mówiąc ogólnie — nie wybory, lecz wojna domowa przetrnie wszystkie poważne zagadnienia polityczne w chwili, gdy historia wysunie dyktaturę proletariatu na plan pierwszy"¹⁵).

Konspiracja jest tak dalece częścią składową istoty komunizmu, że utrzymuje się ona, a nawet rozwija, w kraju takim jak Związek sowiecki, gdzie komuniści są przecież u władzy. Krawczenko w swej książce "Wybrałem wolność" pisze: "G.P.U.

14) W ataku skierowanym przeciwko Ramsay Mac Donald'owi napisanym w 1919.

15) Lenin: "Dyktatura proletariatu jest omówieniem używanym przez komunistów dla wskazania "monopolu dyktatury komunistów".

ma stale uważnie otwarte oczy i uszy tak, by wszystko widzieć i wszystko słyszeć. Odkryłem, że poza plecami władz oficjalnych i kierowników gospodarczych znajduje się cała sieć szpiegów — szpiegów policji tajnej i innych organów partii, którzy wzajemnie się nie znają. Za plecami rządu widocznego kryje się rząd rzeczywisty”.

Cała polityka komunistyczna opiera się na przekonaniu, że tradycyjne i indywidualistyczne społeczeństwo kapitalistyczne idzie nieuchronnie w kierunku upadku. Przekonanie to jest zapewne słuszne, lecz komuniści wiedzą, że gdyby nie było ono prawdziwe nie mieliby szans osiągnięcia swego ostatecznego celu. Ten rozkład kapitalizmu dostarcza zwartej i zdyscyplinowanej armii rewolucjonistów okazji zagarnięcia monopolu władzy. Poza tym teza ta stanowi jedno z dwu źródeł komunistycznej polityki ekonomicznej w dziedzinie kolektywizacji. Przekonani, że współzawodniczą między sobą własność prywatna niezdolna jest do rozwiązania problemów wielkiego przemysłu współczesnego, że prowadzi do stałych nieporządków ekonomicznych, masowego bezrobocia i periodycznych kryzysów, komuniści wierzą, że kolektywizacja przemysłu okaże się na dłuższą metę skuteczniejsza, że zniesie najgorsze niepokoje gospodarcze i że dostarczy ich reżimowi najbardziej solidnych podstaw.

Istnieje jednak inna i całkiem odmienna przyczyna dla komunistycznego pragnienia kolektywizacji. Prawa własności na środkach produkcji są formą władzy społecznej. Jeżeli prawa te są wykonywane przez poszczególne osoby indywidualne, według ich własnych potrzeb — to oznacza to decentralizację i rozbięcie władzy. Naczelnym celem komunizmu — któremu wszystko inne jest podporządkowane — jest monopol władzy. Dla tego też komuniści patrzą się — i słusznie zresztą — na własność prywatną jak na niebezpieczeństwo zagrażające ich monopolowi. Zawsze też, ilekroć tylko posiadają możliwości techniczne, zmierzają do zmniejszenia lub usunięcia istotnych praw własności. Pewna jednak elastyczność wydaje się możliwa w tej dziedzinie. Konsekwentny, w stosunku do siebie samego, komunizm zezwala na, czasowe w każdym razie, pewne zatrzymanie albo nawet wznowienie praw własności, w wypadku o ile jest to potrzebne (jak na przykład w okresie NEP'u w latach 1921 - 28 w Rosji sowieckiej i obecnie w niektórych państwach satelickich Europy wschodniej) i pod warunkiem, że władza komunistyczna nie zostanie dzięki temu manewrowi narażona na niebezpieczeństwo.

Okazuje się więc, że kolektywizacja ekonomiczna, która ogłaszana była jako jedyna gwarancja gospodarczej emancypacji ludzkości stać się może w praktyce najbardziej skoncentrowaną formą eksploatacji mas.

Jeżeli nazywam komunizm „socjalnie totalitarnym”, to chcę przez to powiedzieć, że jego monopol władzy rozciąga się na wszystkie fazy życia ludzkiego: wkracza on nie tylko w dziedziny, które tradycyjnie przyzwycailiśmy włączać do polityki, lecz także w sztukę, przemysł, rolnictwo, wiedzę, literaturę, moralność, rozrywki, życie rodzinne. Powieść czy rozwód, obraz czy religia, symfonia czy teoria biologiczna, wakacje czy film są w

równej mierze „środkami w walce klasowej” jak i strajk czy rewolucja.

Każdy reżim polityczny opiera się na sile i mitach, na policji, wojsku i więzieniach i na pewnej ideologii, która częściowo w każdym razie, przeciwstawia się rzeczywistości. Komunizm zaś wyróżnia się tym, że terror stanowi w nim siłę, na której się opiera, a roztropne okłamywanie jest podstawą jego mitów. Prawo, jak wszystko inne zresztą, jest z punktu widzenia komunistycznego wyłącznie instrumentem władzy i w zależności od okoliczności należy je szanować lub ignorować. W reżimie komunistycznym otwarta i legalna siła podporządkowana jest zawsze skrytemu terrorowi konspiracyjnemu. Głównym agentem tego terroru jest tajna policja — N.K.W.D.¹⁶⁾, która liczy około dwu milionów członków, rozciągających swą działalność na cały świat. Praca ludzi tych wzmacniana jednak jest i często kontrolowana przez licznych innych agentów: tajnych agentów oficjalnej partii i jej komisji kontrolujących, członków wojskowych oddziałów wywiadowczych, prywatnych szpiegów wielkich biur i biurokratów i miliony ochotniczych informatorów i prowokatorów zamienionych w karne oddziały.

Nieustający terror jest wszędzie i jest wszystko obejmująca atmosfera komunizmu. Każdy akt życia poszczególnych osób, a nawet ich rodziców, krewnych i przyjaciół, począwszy od faktów z dzieciństwa, pozbawionych wszelkiego znaczenia, aż do ważnych decyzji politycznych jest odnotowywany w tajnych rejestrach N.K.W.D. Przypadkowe spotkanie z cudzoziemcem, niedbala uwaga, rzuczona podczas rozmowy z towarzyszem pracy, wspomnienie z przeszłości wywołane w obecności kochanki, list do dziecka lub matki — wszystko to może być odnotowane i może służyć kiedyś jako materiał oskarżający w jakimś procesie czy wielkiej czystce. Formy terroru tego przybierają najróżniejsze postacie: od najbardziej subtelnej kuszenia psychologicznego, do nacisku ekonomicznego, do kar „trzeciego stopnia” przeciągających się w czasie całych miesięcy, do grożenia żonom i dzieciom, do wygnania i pracy przymusowej, do najstraszniejszych tortur fizycznych, do strzału w tył głowy w korytarzach Łubianki, do mordów, dokonywanych na ulicy czy w pociągu przez wytrenowanych członków sekcji terroru N.K.W.D.

Nie da się obliczyć rozciągłości terroru. Jego ofiary osiągają cyfry nie tuzinów, lecz licznych milionów. W 1932-33, by przyspieszyć wykonanie programu kolektywizacji rolnej, trzy miliony chłopów ukraińskich zostało roztropnie skazanych na śmierć głodową. W czasie czystek rozstrzeliwuje się dziesiątki tysięcy ludzi, setki tysięcy osadza w więzieniach, miliony zsyła się do obozów przymusowej pracy i obozów koncentracyjnych N.K.W.D.

Terror ten, mimo że rozwijać się może w pełni przede wszystkim tam, gdzie władza komunistów jest całkowita, a więc w Rosji sowieckiej — nie zamyka się tylko w granicach tego kraju. Działalność N.K.W.D. rozciąga się na cały świat. Posuwa

16) Organizacja ta nazywająca się uprzednio G.P.U. a jeszcze przedtem CZEKA, ostatnio przemianowana została M.W.D. Zachowam jej najogólniej używaną nazwę.

się ona razem z armią czerwoną w głąb Europy wschodniej i dopilnowuje likwidacji opozycji. W Hiszpanii, w czasie wojny domowej, posiadała ona swe własne więzienia i sale tortur. Setki antykomunistycznych lojalistów zostało porwanych i zamordowanych przez agentów N.K.W.D. Przedostała się do Francji by zamordować sekretarza czwartej międzynarodówki antystalinowskiej i zatrzymywać czy porywać Rosjan, którzy wyrzekli się Stalina; przedostała się do Szwajcarii, by zamordować Ignacego Reissa, jednego z agentów, który pragnął ją porzucić; przedostała się na Kubę, by zamordować Paul Maslowa, do Meksyku, by zabić Trockiego, do Chin by pomóc w wyrównaniu rachunków Kuomintangowi, do Washingtonu by zorganizować samobójstwo Krywickiego, do New Yorku by "uśpić" Juliet Poyntz.

Nie należy przypuszczać, że terror związany z komunizmem jest jakimś przejściowym zjawiskiem, tymczasowym środkiem używanym — a może i nadużywanym — z tytułu jakiś wyjątkowych okoliczności "zagrożających rewolucji". Od epoki przedrewolucyjnej, od czasów gdy Stalin jako "Koba" kierował rzucając bomb, które pozwoliły bolszewikom na zebranie funduszy, poprzez lata poprzedzające rok 1917, kiedy to Lenin wyraził zgodę na torturowanie odszczepieńców politycznych, poprzez wszystkie stadia rozwoju reżimu komunistycznego u władzy, terror był zawsze częścią istotną komunizmu. Doświadczenie historyczne wskazuje, że terror wchodzi integralnie w skład komunizmu i że jest w rzeczywistości jego głównym instrumentem. Przy pomocy terroru komunizm rozszerza i podtrzymuje swą władzę. Od początku istnienia komunizmu w Rosji wszystkie ważne zmiany w dziedzinie polityki i ekonomii narzucone zostały terrorem. A więc, likwidacja partii opozycji, likwidacja niezależności Gruzji (jedno i drugie za Lenina), wprowadzenie planu pięcioletniego, kolektywizacja rolna, likwidacja dawnych "specjalistów odziedziczonych po caryzmie" i późniejsza likwidacja "specjalistów czerwonych", zwrot w kierunku polityki frontów ludowych po zwycięstwie Hitlera w Niemczech, wprowadzenie "pojedynczej odpowiedzialności" w fabrykach, zniesienie niezależności związków zawodowych, likwidacja stronnictw w łonie samej partii komunistycznej, pakt z Hitlerem, rozdmuchanie nacjonalizmów w republikach Związku jak i zmiana w kierunku odwrotnym, która nastąpiła później, mobilizacja i — obecnie — próby konsolidacji polityki w celu przeciwdziałania demoralizacji powstałej na skutek wojny. W każdym z tych wypadków, by osiągnąć swój cel posługiwano się nie ustawą czy dekretem, nie wychowaniem czy apelem do wierności lub własnego interesu, lecz terrorem. Każdemu z tych kroków towarzyszyły czystki, uwięzienia, zesłania, tortury i morderstwa¹⁷⁾.

17) Poza bezpośrednim udziałem w ruchu rewolucyjnym, który stanowi jedyne źródło dokładnych informacji, dotyczących niektórych dziedzin działalności komunistycznej, istnieje poważna dokumentacja, omawiająca cechy charakterystyczne terroru komunistycznego w pismach następujących osób: Boris Suwarin, Anton Ciliga, Władimir i Tatiana Czernavin, Victor Serge, W. G. Krivitsky, Markoosha Fischer, Aleksander Barmin, Victor Krawcenko, Jan Valtin i Polaków, którzy byli jeńcami rosyjskimi w latach 1939-41, oraz licznych dzien-

Dziesiątki tysięcy komiwojażerów komunizmu w naszym kraju, setki tysięcy ludzi niewinnych, którzy służą komunizmowi, pracując w wydawnictwach, komitetach, biorąc udział w wezwaniach i frontach, montowanych codziennie przez komunistów, robotnicy, którzy spełniają rozkazy kierowników ich związków zawodowych, nawet odleglejsze peryferie samych członków partii, w większości nie rozumieją znaczenia terroru, mimo iż przyczyniają się do jego podtrzymania i obrony. Nie domyślają się też, że działa on, co prawda jak dotychczas na małą skalę i ostrożnie, w ich własnym kraju. I jeszcze mniej wyobrażają sobie czym byłby ten terror, gdyby przeniesiono go w stanie nietkniętym na nasz grunt — możliwość, która wcale nie jest tak odległa, by nie można było jej wysunąć. W latach 1940 - 41 Stany Zjednoczone dokonały politycznego "zwrotu" w kierunku wojny. Przeprowadzenie tego "zwrotu" metodami terroru wyrażałoby się w nocnych aresztowaniach bez nakazu sądowego tych wszystkich, którzy manifestowali swoje "antywojenne nastawienie" i pod tym samym wygodnym pretekstem tych, którzy są lub mogliby być w opozycji do reżimu lub narazili się w ten czy inny sposób jakimkolwiek wyższemu urzędnikowi czy nawet drobnemu skrybie; w miesiącach bezsensnych przepytywań, tortur, bicia "oskarżonych" z równoległym chociaż mniej formalnie stosowanym rozciąganiem się tych samych metod w całym kraju; w kajanui się, uwięzieniach, zesłaniach do obozów przymusowej pracy, głodzie i śmierci setek tysięcy osób. I tak byłoby nie tylko z okazji powzięcia tak ważnej decyzji jak wojna, ale i w chwili rozpoczęcia się (i zakończenia) N.R.A., wprowadzenia i skasowania racjonowania, w okresie kryzysu ekonomicznego i przeprowadzania zmian w polityce zagranicznej. "Wrogowie ludu" — to znaczy ci wszyscy, którzy są w opozycji, byli kiedykolwiek w opozycji, lub mogliby być w opozycji w stosunku do partii u władzy — są "śmieciem", "padliną" i "wściekłymi psami", których słusznie obrócić należy w nicosć.

Świadome okłamywanie mas jest uzupełnieniem terroru i drugim filarem komunizmu. Prawda jest "bronią w walce klas". Okłamywanie to występuje pod dwiema postaciami. Pierwsza z nich — to kłamstwo bezpośrednie: zaprzecza się temu, że miliony ludzi umiera z głodu kiedy właśnie miliony tych ludzi z głodu umiera; utrzymuje się, że jakiś wróg polityczny spotkał się z Hitlerem, Trockim, Churchilllem czy Mikado w Stokholmie, Paryżu, Berlinie, Danii czy Tokio podczas, gdy nie zbli-

nikarzy, włącznie z dziennikarzami prostałiniwskimi. Wielu rzeczy nauczyć się można i wiele wniosków nasunie lektura oficjalnych sowieckich publikacji na temat różnych czystek i procesów, sprawozdań z zebrań partyjnych i kongresów poruszających te problemy i teoretycznych usprawiedliwień terroru, które opracowane były przez prawie wszystkich naczelników pisarzy komunistycznych. To jednak, że terror stanowi integralną część działającego komunizmu, było zrozumiałe przez bardzo niewielu. Oficjalni komuniści usprawiedliwiają terror mówiąc, że jest to tymczasowa, słuszna i konieczna obrona przed wrogami klasowymi. Komuniści w opozycji uznają w zasadzie terror, lecz utrzymują, że Stalin go nadużywa. Niekomuniści, którzy znają te fakty, są nimi tak poruszeni, iż niezdolni są do uchwycenia ich sensu ogólnego.

żył się, on nawet na odległość stu mil do danej osoby czy miejsca; niszczy się spisy ludności (jak w 1937 roku) i zabija się sporządzających je statystyków, gdy podane przez nich dane "niezgodne są z planem"; zmusza się do przyznawania się do niepopelnionych zbrodni, często niemożliwych do popełnienia; fałszuje się miesiąc po miesiącu sprawozdania dotyczące przemysłu, rolnictwa, płac, stanu finansów; przetraca się cytaty i podrabia fotografie; przerabia się co trzy lata historię Rosji i historię świata w ten sposób, by potwierdzała ona bezpośrednią linię postępowania partii. W Londynie komunistyczny robotnik oskarża niekomunistycznego urzędnika swego syndykatu; w New Yorku, profesor City College¹⁸⁾, kierownik, od lat, poważnej grupy swych kolegów komunistów, stwierdza przed sądem, że nie ma na wydziale jego komunistów. I postępowanie ich jest takie same jak postępowanie redaktora "Prawdy" — gdy zaprzecza ingerencji Sowietów w sprawy Iranu, Stalina, — gdy gwarantuje wolność Polsce i Rumunii, Molotowa — gdy podpisuje pakt o nieagresji z Finlandią czy Estonią.

Drugą postacią okłamywania jest fabrykowanie abstrakcyjnych formuł, które deformują zrozumienie rzeczywistości. Zgodnie z tą metodą uprawiająca terror dyktatura partii komunistycznej staje się "demokratyczną dyktaturą proletariatu"; przymusowe wywłaszczenie chłopów, rekwizycje bydła i narzędzi rolniczych stają się "dobrowolną kolektywizacją"; niesłychana nierówność w dochodach i warunkach życiowych staje się "triumfem realizmu socjalistycznego"; mordowanie ewentualnych członków opozycji staje się "likwidowaniem faszystowskich agentów imperializmu światowego"; kłamstwa, sabotaże i terror skierowany gdziekolwiek przeciwko niekomunistom staje się "samoobroną proletariatu przed wrogiem"; nieopisane cierpienia i nędza ludu rosyjskiego stają się "pełnym ufności szczęściem ludu w kraju socjalizmu".

3.

Wszystkie partie polityczne starają się zagarnąć władzę. Jest to celem ich istnienia. Cechą charakterystyczną komunizmu jest to, iż kiedykolwiek działa, usiłuje zdobyć bezwzględny monopol całej władzy.

Jeżeli, powiedzmy, partia republikańska odniesie zwycięstwo w wyborach, to przez jakiś czas, będzie ona z tego tytułu posiadała na pewnej określonej przestrzeni życia narodowego — większy zasięg władzy niż każda inna partia czy organizacja. Rozda swym członkom szereg stanowisk w administracji i biurokracji. Ustanowi pewne prawa, zapewni subwencje, dostosuje podatki, chociażby częściowo, do tego, co zdaniem jej leży w jej własnym interesie. Skorzysta z okazji posiadania w swym ręku aparatu państwowego, by pokazać się z korzystnej strony publiczności i by podzielić się ze swymi członkami i przyjaciółmi pewnymi nieoficjalnymi przywilejami władzy: zyskowymi kontaktami i zwrotami kosztów, przywilejami w dziedzinie mieszkań i podróży odbywanych na rachunek państwa, cza-

sami jakimś drobnym nadużyciem. Ale partia taka nie będzie jednocześnie dążyła do całkowitego zdruzgotania wszystkich współzawodniczących organizacji politycznych. Bez wątpienia starać się będzie o ich osłabienie i o pozostanie przy władzy możliwie jak najdłużej; ale jako zasadę praktyczną uznawać będzie prawo swych rywali do kontynuowania egzystencji w życiu społecznym i uważać będzie za rzecz naturalną, że któregoś dnia jeden z nich obejmie z kolei władzę, podczas gdy ona przejdzie do opozycji. Co więcej, partia republikańska i każda inna rządząca partia parlamentarna uznaje, że w praktyce istnieją granice dla zasięgu jej władzy. Partie polityczne nie są jedynymi organizacjami posiadającymi władzę w społeczeństwie nietotalitarnym. Kościoły, syndykaty, wojsko, przedsiębiorstwa rolnicze, przemysł, banki, stowarzyszenia są — w każdym razie jeżeli chodzi o pewien aspekt ich działalności — koncentracjami władzy społecznej. Partia republikańska stać będzie na stanowisku, że podobna sytuacja jest rzeczą naturalną i że organizacje te swymi niezależnymi udziałami powinny uczestniczyć w ogólnym potencjale władzy, nawet gdyby — jak to często bywa — działalność ich stała w sprzeczności z interesami partii republikańskiej.

Zagadnienie powyższych stosunków jest zasadą fundamentalną, regułą, nie tylko partii parlamentarnych, lecz społeczeństwa demokratycznego. W społeczeństwie wolnym winna istnieć wielorakość względnie niezależnych interesów i pewne rozbięcie na fragmenty władzy. W myśl zasad społeczeństwa demokratycznego to, że jakaś partia polityczna czy organizacja usiłuje władzę swą rozszerzyć, a nawet zdobyć większy jej zakres niż inne organizacje — jest rzeczą naturalną. Lecz zasada ta wymaga przyznania takiego samego prawa innym i uznania reguły wielorakości władzy.

Doświadczenie historyczne wskazuje, że stosunki między komunizmem a władzą mają całkowicie odmienny charakter i że komunizm działa w oparciu o zupełnie inne zasady i reguły. Partia komunistyczna nie poprzestaje na próbach zdobycia większej władzy niż jakakolwiek inna partia czy ruch polityczny; celem jej jest zawiadnięcie całością władzy, nie tylko bezpośredniej władzy politycznej, lecz także jakiegokolwiek władzy społecznej. Wynika z powyższego, że negatywnie zmierza ona do zniszczenia każdego centrum władzy niezależnej i współzawodniczącej w całości stosunków społecznych.

Postępowanie komunistów wskazuje, że taki jest rzeczywistość ich cel i że pracują nad realizacją jego zawsze, o ile okoliczności materialne na to pozwalają. Przykładem tego jest ich postawa i zachowanie, jako członków dyirekcji jakiegoś wydawnictwa, syndykatu itp., lub w wypadku, gdy znajdują się u władzy.

W teorii komunizmu to poszukiwanie zagarnięcia monopolu władzy wyrażone jest w właściwych komunistom abstrakcyjnych formułach. Nominalnym celem komunizmu jest stworzenie "wolnego i bezklasowego społeczeństwa". Tym niemniej, by zrealizować społeczeństwo komunistyczne należy przejść przez fazę "dyktatury proletariatu". Lenin przypomina nam (w "Revolucji Proletariackiej" i "Odszczepieniec Kautsky"), że "przejście od kapitalizmu do komunizmu stanowi całą epokę histo-

18) Morris U. Schappes skazany na więzienie za to krzywoprzysięstwo.

ryczną" w czasie której toczy się "długa, uparta, rozpaczliwa wojna na śmierć i życie, wojna, która wymagać będzie wytrwałości, dyscypliny, stanowczości, nieugiętości i żelaznej woli"¹⁹). Proletariat jednak, nie posiadający dostatecznej świadomości został zdemoralizowany wieloletnim panowaniem kapitalizmu i w konsekwencji niezdolny jest do samodzielnej dyktatury. Rolę tę spełnić może "świadoma awangarda zawodowych rewolucjonistów", to znaczy partia komunistyczna — której integralność zagwarantowana jest wyznawaniem "prawdziwej ideologii". Komuniści i tylko komuniści wyznają tę ideologię i dlatego tylko oni mogą być dyktatorami. Każdy inny ruch, każda inna organizacja jest i może być agenturą skrytą czy otwartą kontrrewolucji i dla tych względów musi być pozbawiona władzy, o ile rewolucja przeprowadzona zostanie zwycięsko. *"Jedyną alternatywą jest: albo ideologia burżuazyjna, albo ideologia socjalistyczna. Trzecia możliwość nie istnieje (gdyż ludzkość nie stworzyła "trzeciej" ideologii, a poza tym w rozdartym antagonizmem klas społeczeństwie nie może istnieć ideologia bezklasowa, czy ponadklasowa). Wynika z powyższego, że o ile przeprowadza się jakąkolwiek krytykę ideologii socjalistycznej lub oddala się od niej w najmniejszym stopniu — wzmacnia się ideologię burżuazyjną"*²⁰).

Jak długo komuniści tworzą tylko drobną sektę w łonie społeczeństwa, nad którym władzę rozciąga kto inny, zasada ta pozostaje w cieniu. W miarę jednak obejmowania przez nich istotnej władzy powyższą zasadę stosować zaczynają w całej rozciągłości. Zatem po rewolucji w Rosji jesteśmy świadkami następujących faz: po pierwsze, zniszczenia wszystkich dawnych partii Caratu, liberalnych i burżuazyjnych (1917, 1918); po drugie, zniszczenia wszystkich partii robotniczych i chłopskich niekomunistycznych (1918, 1921); po trzecie, zgniecenia niezależnej władzy kościoła prawosławnego (począwszy od 1918); po czwarte, obezwładnienia sowietów, kooperatyw, syndykatów itd. (1925, 1929); po piąte, zniesienia odłamów opozycji w łonie partii komunistycznej (1927 - 1929); po szóste, likwidacji wszystkich indywidualnych, obecnych, przeszłych i ewentualnych odszczepieńców (w czystkach szczególnie w latach, które nastąpiły po morderstwie Kirowa w 1934). I jednocześnie z tym wszystkim podporządkowanie władzy centralnej wszystkich organizacji socjalnych, począwszy od najmniejszych aż do największych.

By zilustrować działanie tej zasady niepotrzebne jest ograniczanie się li tylko do przykładów zaczerpniętych z Rosji sowieckiej. Zasada ta działa wszędzie, gdzie tylko znajdują się komuniści i gdzie tylko warunki na to pozwalają. Działa ona dzisiaj, w skali narodowej, w Polsce, Bułgarii, Rumunii, na Węgrzech, Czechosłowacji, Jugosławii, Albanii, Niemczech Wschodnich, Austrii, Północnej Korei i Iranie. Zasada ta działa w rów-

nej mierze na terytorium chińskim, poddanym władzy komunistów, jak działała w swoim czasie w armii hiszpańskich lojalistów. Działa ona w łonie każdego syndykatu, w którym komuniści są aktywni lub posiadają władzę.

Z zasady tej, będącej esencją komunizmu i stanowiącej wystarczyjący i istotny klucz do zrozumienia jego charakteru, wypływa wniosek następujący: z tą chwilą gdy komunizm rozrastając się wyjdzie poza ramy wąskiej sekty, równoległe współistnienie obok niego jakiegś innej organizacji, posiadającej władzę, staje się niemożliwe. Wielorakość władzy nie da się pogodzić z komunizmem. Komunizm musi albo zwyciężyć albo zginąć.

4.

Istnieje pewna taktyka komunistyczna, posiadająca tego rodzaju znaczenie na każdym szczeblu działalności komunistycznej, a przy tym tak dalece nie rozumiana przez większość niekomunistów, iż wydaje się rzeczą wskazaną wspomnieć o niej pokrótce, wychodząc z założeń przeprowadzonej analizy istoty komunizmu. Taktykę tę komuniści nazywają "zjednoczonym frontem".

Ile razy komuniści inaugurują lub podtrzymują jakąś akcję, zakładają nową organizację w połączeniu z ludźmi, grupami czy organizacjami niekomunistycznymi, wtedy nazwać to można ogólnie tworzeniem "zjednoczonego frontu". A więc wydawnictwo Wiedza i Społeczeństwo jest "zjednoczonym frontem"; lub Komitet dla utrzymania kontroli cen; lub Liga obrony wolności konstytucyjnych; lub Komitet przyjaźni amerykańsko-sowieckiej; lub Liga obrony wolnej Afryki; lub Komitet akcji politycznej, albo Federacja uczonych i specjalistów energii atomowej, czy Federacja ludzi piszących scenariusze w Hollywood; lub lista osób podpisujących się pod jakimś wezwaniem czy listem otwartym; lub — w skali znacznie poważniejszej — front popularny, taki jaki stworzony został we Francji przedwojennej; lub rządy koalicyjne, w skład których wchodzi komuniści jak to miało miejsce niedawno we Francji, Włoszech i krajach Europy wschodniej; albo koalicja Aliantów podczas drugiej wojny światowej, czy Organizacja Narodów Zjednoczonych; albo nawet w samej Rosji sowieckiej front wyborczy "zjednoczenia partii z masami bezpartyjnymi".

Jeżeli przyjrzymy się z bliska osobom i organizacjom, wchodzącym w skład tych licznych frontów — których dziesiątki tysięcy powstały w czasie ostatniej generacji — to okaże się, że niektóre z frontów tych są po prostu zwykłym oszustwem. Składają się bowiem wyłącznie z komunistów albo z blisko nich stojących sympatyków i stworzone zostały po to tylko, by za ich fasadą mogli komuniści prowadzić swą grę, manipulować funduszami i uzyskać legalną nietykalność. Takimi są na przykład Międzynarodowa ochrona pracy i wydawnictwo "New Masses". Inne jednak fronty zjednoczone — jak Komitet akcji politycznej, czy Komitet sztuki, wiedzy i zawodów obywateli niezależnych — zawierają całą gamę zabarwień ideologicznych, od antykomunistów, niekomunistów, ludzi nieświadomych, towarzyszy wspólnych wypraw, aż do członków samej partii ko-

19) Left-Wing Communism: An Infantile Disorder, Lawrence and Wishart, London.

20) Lenin w ustępie tym posługuje się wyrażeniem "socjalistyczna" gdyż w owym czasie bolszewicy tworzyli pewien odłam w łonie socjaldemokracji. Chce naturalnie powiedzieć "bolszewicka" czy "komunistyczna" a nie "socjalistyczna" w sensie dzisiejszym. Pełne znaczenia italiki są Lenina.

munistycznej, a nawet w częstych wypadkach członków N.K.W.D.

Pobudki, kierujące komunistą w chwili, gdy wchodzi do frontu zjednoczonego są całkowicie odmienne od pobudek niekomunisty. Przed oczami tego ostatniego rysują się pewne zadania do wypełnienia — obrona jakiegoś zaaresztowanego murzyna, żywienie dzieci chińskich, zorganizowanie syndykatów robotniczych, niesienie pomocy w uzyskaniu niezależności kolonialnej, wyciągnięcie kraju bez zdecydowanej większości z ciężkiej sytuacji, wygranie wojny. Pragnie on, pełen zapału, podjąć się z kimkolwiek — nawet z komunistą — wykonania wspólnej pracy, pod warunkiem spełnienia drogiego mu zadania. Czasami zaś, nie będąc w stanie wykonać tego zadania samemu, zmuszony jest do zwrócenia się, łącznie z komunistami, o pomoc do ludzi i organizacji o innych zapatrywaniach. Pozornie nic nie może być bardziej naturalne.

Komunista jednak nie rozumuje w ten sam sposób. Może on być zainteresowany lub nie w zadaniu, dla spełnienia którego front zjednoczony został powołany do życia — często bardzo zadanie to jest mu obojętne, a nawet niekiedy pragnie, by nie zostało wykonane. Jak zawsze, interesuje go wyłącznie posuwanie się w kierunku zagarnięcia monopolu władzy dla komunistów. Zasadniczą przyczyną wstąpienia do frontu zjednoczonego jest chęć znalezienia sposobności osłabienia ludzi i organizacji niekomunistycznych, które razem z nim w skład tego frontu wchodzi i niszczenia ich wpływów politycznych. Niewinne i moralne zadanie, dla wykonania którego front ten został najwyraźniej utworzony, jest tylko przynętą, wciągającą do pułapki: Front zjednoczony ułatwiając komunistom pracę od wewnątrz umożliwia mu podminowanie organizacji niekomunistycznych, zdobycie ich członków, lub wychwytywanie, zadenuncjowanie i polityczne zmiażdżenie głównych kierunków niekomunistycznych.

Fakt, że niekomuniści przystępując do zjednoczonego frontu, stworzonego w jakimkolwiek bądź celu, przegrywają zawsze w stosunku do komunistów stał się prawem współczesnej polityki, od którego wyjątków nie ma. Przegrywają oni bez względu na to jakie były dzieje celu, który front ten miał spełnić. Zwykle, cel ten, po krótkim czasie działalności, stopniowo się rozplywa na skutek czy to zmiany w linii postępowania komunistów czy też przekonania, że sytuacja wyeksploatowana została już dostatecznie. Często bardzo wyznaczone zadanie ulega najspokojniej w świecie przeinaczeniu i na przykład — zebrane fundusze na niesienie pomocy medycznej hiszpańskim czy dzieciom jugosłowiańskim zostają zużyte na zapewnienie pracy zasłużonym komunistom lub sfinansowanie hiszpańskiej i jugosłowiańskiej sekcji w Partii i N.K.W.D. Lecz przy każdej sposobności i bez względu na to co się stać może, głównym zadaniem komunistów jest posługiwanie się frontem zjednoczonym dla własnej korzyści; dla stworzenia pożytecznych i godnych szacunku pozorów; dla pozyskania nowych członków i sympatyków; dla zdobycia sobie trybuny skąd przemawiać można do publiczności, zwykle niedostępnej, lub nie tak korzystnie dostępnej; i w końcu dla zniszczenia niezależnej władzy innych organizacji (czy ludzi), wchodzących w skład frontu, przez prze-

ciągnięcie ich na swoją stronę, a gdy to okazuje się niemożliwe, przez zdruzgotanie ich.

Gdy Byrnes, Cadogan i inni zasiadają obok Gromyki w Radzie Bezpieczeństwa są oni zachowaniem jego nieustannie zdumieni; mówią, iż jest ono "niezrozumiałe". Tymczasem jest ono bardziej racjonalne od ich zachowania. Oni bowiem nie zdają sobie sprawy z tego, że Gromyko bierze udział w posiedzeniach nie dlatego, że w najmniejszym chociaż stopniu pragnie znalezienia owocnego rozwiązania dla problemów pokoju i dobrobytu, lecz dlatego właśnie, by rozwiązanie problemów tych utrudnić; nie dlatego także by miał szczerą wolę zawarcia układu ze swymi kolegami w Radzie, lecz dlatego, iż otrzymał on polecenie użytkowania O.N.Z. dla osłabienia i zniszczenia innych narodów, które organizacja ta reprezentuje. Gdy partia komunistyczna wchodzi we Francji do rządu koalicyjnego to robi to nie po to, by pracować nad rekonstrukcją Francji, lecz w celu odwrotnym: chce zdobyć takie stanowisko, które umożliwiłoby jej zahamowanie rozrostu niezależnej władzy francuskiej i pragnie by Francja odżyć mogła dopiero wtedy, gdy będzie już państwem we władzy komunistów. Mam wrażenie, że Claude Pepper, Joseph Davis, Elliot Roosevelt i Henry Wallace i wszyscy ministrowie, pisarze, aktorzy i dziennikarze nie zdają sobie całkowicie sprawy z pogardy, jaką wzbudzają u komunistów lekkomyślnością, z jaką wygłaszają przemówienia na zebraniach frontu zjednoczonego w Madison Square Gardens i zezwalają na umieszczanie swych nazwisk na honorowych miejscach i w nagłówkach imponujących komitetów frontu zjednoczonego.

(C. d. n.).

James BURNHAM.

(Autoryzowany przekład Józefa Ursyna).

Copyright 1947, by James Burnham.

Original publication by the John Day Company, Inc., New York, U.S.A., with the title *The Struggle for the World*.

O prozie Puszkina

2

Teza Czernyszewskiego, że "ojcem literatury rosyjskiej" jest Gogol, była także tezą Bielińskiego, który jeszcze przed Czernyszewskim, bo już w roku 1835 proklamował Gogola "wodzem literatury", darował mu miejsce "opuszczone przez Puszkina", — zaś w r. 1843 "oddął zdecydowanie pierwszeństwo powieściom Gogola wobec powieści Puszkina".⁴⁴⁾ Zarówno Bieliński jak i Czernyszewski uważali Gogola (w przeciwwadze do Puszkina) za całkowicie samodzielnego i oryginalnego pisarza: "Gogol nie miał wzoru, nie miał poprzedników ani w rosyjskiej, ani w obcej literaturze"⁴⁵⁾; pomiędzy "szkołą Gogola" a "szkołą naturalną" został postawiony znak równania⁴⁶⁾ i Gogola uznano za twórcę "jedynej wartościowej szkoły literackiej"⁴⁷⁾.

I Bieliński i Czernyszewski widzieli w Gogolu protoplastę rosyjskiego realizmu, nie bacząc na to, że w jego twórczości wyraźnie na plan pierwszy wybija się romantyzm, — i, że właśnie w twórczości Puszkina przewyższa realizm.

Główną rolę w tym nieporozumieniu grał "satyryzm" Gogola oraz jego "humor", jak to pisał Bieliński w r. 1835, — "jego krytyczny stosunek do rzeczywistości" — co nie przeszkadzało, że równocześnie Gogola nazywano "poetą życia rzeczywistego", "poetą najwyższej prawdy życiowej".⁴⁸⁾ Ani Bieliński ani Czernyszewski nie dostrzegli w tym poecie "najwyższej prawdy życia" elementów stylizacji, hyperboli, groteski, karykatury — z ich nieuniknioną przesadą, — charakterystycznej deformacji, oddawania przewagi części nad całością i bezpowrotnej "immobilizacji" życia. Nie zauważyli, a raczej nie przywiązywali do niej znaczenia: fantastyki; nie chcieli widzieć zupełnego braku psychologizmu i ideologizmu wyższego rzędu, nie słyszeli gogolowskiej deklamacji. (Ani Bieliński ani Czernyszewski nie za-

pamiętali entuzjastycznych uwag Gogola o Puszkynie i jego "lakoniźmie", o braku w jego poezji wszelkiej "kaskady krasomówstwa, która kaptuje gadatliwość".)

Wszystkie te charakterystyczne cechy sztuki Gogola przeczą realizmowi obyczajowemu, psychologicznemu i historycznemu, zaś ten realizm właśnie był głównym znamięm rosyjskiej powieści XIX stulecia. Dopiero prace, które się ukazały w końcu XIX wieku, szczególnie zaś te, które były związane z uroczystościami jubileuszowymi lat 1902 i 1909, a także późniejsze badania — słowem artykuły, wykłady i książki Rozanowa, Mierieżkowskiego, Kotlariewskiego, Briusowa, Wengierowa, opinie symbolistów w piśmie *Zołotoje Runo*, ogłoszone książki Pieriewieriewa i Hippiusa i, w końcu, A. Biełyja, wprowadziły niezbędne zastrzeżenia i poprawki, które ostatecznie "realistycznego Gogola" przewyciężyły.

Prace formalistów (Eichenbauma, Winogradowa, Słonimskiego) bardzo mocno poparły tę literacką rewizję, której nie udało się zachwiać nawet badaczom literatury marksistowskiego kierunku, gdyż i oni nie mogli przewyciężyć gogolowskiej groteski swoim "społecznym determinizmem" — "materialistycznie pojmowanym determinizmem zjawisk ideologicznych".⁴⁹⁾ Hiperbolizm Gogola, romantyczna istota humoru, liryzm, "akustyka" i fonetyka, słowotwórstwo — wszystko to zostało wysunięte i w ten sposób ustanowiona przez Bielińskiego i Czernyszewskiego genealogia rosyjskiej prozy — stała pod znakiem zapytania.

Dodałbym tu jeszcze "ukrainizm" Gogola, który gra przecież ukrytą rolę w stosunku Gogola do rosyjskiej rzeczywistości (w tym względzie bardzo cenne są biograficzne zestawienia, dokonane przez Wengierow).⁵⁰⁾

Nie mogę się wdawać w szczegóły, ale po zastanowieniu się — trudno było by bardzo wywieść Turgieniewa z Gogola, nie mówiąc już o Tolstoju, a nawet o Dostojewskim, mimo że szczególnie ten ostatni we wczesnym okresie swojej twórczości nie mało wzięł od Gogola. Mimo legendy, "że wszyscy wyszliśmy z gogolewskiego szynelu", mimo ech "wulgarności", które tu i ówdzie brzmiały w opowiadaniach Turgieniewa.

Istotnie w twórczości Gonczarowa, Szczedryna, Leskowa, Czechowa, a czasem i Bunina wiele od Gogola pochodzi, trudno jednakże byłoby ustalić duchowe "pokrewieństwo" pomiędzy Gogolem a *Braćmi Karamazowymi*, *Wojną i Pokojem*, a nawet i *Obłomowem* (nie bacząc na odkryty przez Dobrolubowa, zaś przez Mazona dowiedziony związek genetyczny pomiędzy Ilją Iljiczem a Tietietnikowem) i *Gniazdem szlacheckim*. Pozostaje rzecz prosta "brudna rzeczywistość", o której tak wymownie

44) N. W. Gogol: — *matierjały i issledowanija* pod red. W. W. Hippiusa, wydanie Akademii Nauk SSSR, zeszyt II, str. 504 (artykuł G. O. Berlina *Czernyszewskij i Gogol*).

45) *Ibidem*.

46) *Ibidem*.

47) *Ibidem*.

48) W. G. Bieliński: *Izbrannyje soczinienija*, str. 71.

49) Patrz artykuł W. A. Desnickiego w zbiorze N. W. Gogol — *matierjały i issledowanija*, zesz. II, str. 45 i dalsze.

50) Patrz również zajmujący artykuł A. J. Jefimienko "Nacjonalnaja dwojstwiennost' w tworcze Gogola", *Wiesticznik Jewropy*, lipiec, 1902 r., str. 229-245.

pisał Leontjew, z taką goryczą się żaląc na jej obecność w literaturze rosyjskiej z lekkiej ręki Gogola.⁵¹⁾

Brzydota, jako uznana w rosyjskiej powieści gwarancja realistycznej prawdy życia, istotnie pochodzenie swe zawdzięcza odorowi Pietruszki, nozdriewskim ustom, w których "cały szwadron przenocował", karaluchom, muchom i twarzom "samowarowym" obywateli gogolowskich dworów i miast. Na tym jednak nie kończy się powieść rosyjska XIX stulecia, mimo że bohaterowie Dostojewskiego wiecznie pluja na prawo i lewo, mimo że pluskwy gnieźdzą się w ścianach obłomowskiego mieszkania, a Natasza Bezuchaja uroczyście pokazuje żółte plamy na pieluszkach swego dziecka.

Wydać się, że wbrew tradycji na długie lata ustalonej i wbrew przeszkodom, wysuniętym przez Bielińskiego i Czernyszewskiego, — wpływ prozy puszkiniowskiej stopniowo się utrwalili.

Gdzie i w czym szukać tego wpływu?

Tu już w żaden sposób nie da się pominąć **Eugeniusza Oniegina**. Prawdziwy to bowiem "ojciec" rosyjskiego romansu. I Turgieniew, i Gonczarow, i Tołstoj, i Dostojewski — wszyscy oni w ten lub inny sposób od niego biorą początek. Pisząc o plejadzie współczesnych mu pisarzy, Dostojewski powiedział: "W całej naszej literaturze trzech tylko mieliśmy bezspornych geniuszów z bezspornie nowym słowem: Łomonosow, Puszkina i po części Gogol. Ale cała ta plejada (włącznie z autorem **Anny Kareniny**) wywodzi się wprost od Puszkina, jednego z największych ludzi Rosji, ciągle jeszcze bardzo niedokładnie rozumianego i objaśnianego".⁵²⁾

51) Oto, co pisze w swojej autobiografii Leontjew: "Nie raz już mówiłem, że jeśli Francuzi lubią zbyt wywyższać życie (jak to mawiali w latach czterdziestych: stawiać na obcasy i szczydła), to nasi znów skłonni je zbyt poniżać. Życie samo jest lepsze niż nasza literatura. Wszystko u naszych pisarzy jest mniej lub więcej nieokrzęsane i ordynarne: komizm, stosunek do postaci; nawet **Wojna i Pokój**, utwór, który przeczytałem trzykrotnie i uważam za piękny, — zapsuty jest wielką ilością nikomu niepotrzebnych ordynarności. W **Annie Kareninie**, w której autor w sposób widoczny świadomie się starał o większą niż w poprzednich dziełach wytworność, — zarówno w wyborze postaci, jak i w samej formie — trafiają się jednak owe całkiem niepotrzebne i wstrętne wysoki, od których żaden z naszych pisarzy od czasów Gogola wyzwolić się całkowicie nie może" (Następnie Leontjew przytacza szereg przykładów ordynarności z tekstu **Anny Kareniny**). Ciągając swój wywód dalej, powiada: "Aby jednak dokładnie zrozumieć, o czym mówię, wystarczy przeczytać owe wysławiane **Notatki myśliwego**, zaś dla kontrastu, urywki z pisarzy niezaprzeczanych przez Gogola. Choćby **Kapitanównę** Puszkina, lub cudzoziemców: **Wertera**, **Manon Lescaut**, **Rene Chateaubrianda** lub przekład prozą **Child Harolda** **Amadea Pichot**"... Por. **Moja literatura** **sud'ba**, **Literaturnoje naslednietwo**, t. 22-24, str. 463-4. Por. jego znakomitą książkę: **O romanach L. N. Tołstogo**, Moskwa, 1911. Wśród współczesnych pisarzy-krytyków jedynie A. Bielyj usiłuje coüte que coüte wywodzić Dostojewskiego i Tołstoja od Gogola. Por. A. Bielyj: **Mastierstwo Gogola**, OGIZ, Gichn, 1934.

52) Dostojewski: **Soczinienija**, Gosizdat, 1929, t. XII, str. 207-8.

Ktoś mi jednak może powiedzieć, że przecież **Eugeniusz Oniegin** — to nie proza Puszkina. To prawda, ale **Eugeniusz Oniegin** to powieść i w dodatku powieść w rosyjskiej tradycji powieściowej bodaj najważniejsza. Cała treść psychologiczna i obyczajowa rosyjskiej powieści pierwszej i drugiej połowy XIX wieku jest ściśle właśnie z **Eugeniuszem Onieginem** związana; z **Eugeniuszem Onieginem** jako powieścią, nie zaś jako utworem wierszowanym. Jako poemat **Eugeniusz Oniegin** nie miał dalszego ciągu i tradycji nie stworzył — tradycja ta, można by rzec — od razu się urwała. Jedynie hr. Aleksy Tołstoj może uchodzić za jej późniejszego reprezentanta. Fabuła **Eugeniusza Oniegina** również nie wiele powieści rosyjskiej dała — fabuła ta jest zbyt prosta. Lecz właśnie kosztem prymitywności tej fabuły, powstała jej psychologiczna, obyczajowa, historyczna i ideowa treść. Przy tej sposobności zaznaczę, że uzupełnienia i poprawki — możliwe właśnie tylko w prozie — przyszły prawie natychmiast i to we wszystkich niemal kierunkach! Znajdujemy je w **Bohaterze naszych czasów**, w powieści z fabułą bardziej skomplikowaną, z pogłębioną treścią psychologiczną, i z rozwiniętym wszechstronnie systemem charakterystyk bohatera i jego otoczenia (przyroda i ludzie). Nie wchodzi już w to, że Lermontow szedł nie tylko śladami Puszkina, że znał prócz Byrona i Goethego **Adolphe** **Benjamina Constanta**, **Stello A. de Vigny**, **Les Confessions d'un enfant du siècle A. de Musset**, **Obermanna Sénancoura** — dzieła pod każdym względem bardziej skomplikowane i ze znacznie rozleglejszymi historycznymi i społecznymi horyzontami i tłem, aniżeli **Eugeniusz Oniegin**. Wprawdzie Puszkina znał także niektóre z tych dzieł, ale zapomnijmy o tym i zostanmy w granicach rozwoju rosyjskiej powieści. Jeśli trzymać się ściśle podziału na prozę i utwory wierszowane, tedy trzeba będzie uważać Lermontowa za "ojca" rosyjskiej powieści — i tu, wydaje się, nie może być żadnych wątpliwości. **Bohater naszych czasów** — to pierwsza nowoczesna psychologiczna i "światowa" powieść rosyjska. Z nią związany jest wieloma niemi i Turgieniew, i Gonczarow, i Dostojewski, i Tołstoj. Sam zaś **Bohater naszych czasów** wywodzi się nie tylko z **Eugeniusza Oniegina** — lecz i z puszkiniowskiej prozy w ogóle: — z **Opowieści Bielkina**, **Nocy egipskich** i **Kapitanówny**. Nauki Puszkina nie przeszły bez śladu. Po pierwsze — fabuła. Zagadnienie polega nie na bogactwie fabuły Puszkina — ta bowiem w istocie rzeczy — zawsze jest prosta, a nawet w **Kapitanównie** jest ona dość prymitywna. Mam jednak na myśli funkcję fabuły w utworze, umiejętność kierowania nią i wyzyskiwania jej dla celów pozafabularnych, i wreszcie dbałość o fabułę zajmującą, co przecież jest jednym z najważniejszych czynników w utworze powieściowym. Puszkina nauczył tego nie tylko Lermontow, lecz niewątpliwie i Dostojewski, — pomógł zaś w niektórych szczegółach także i Tołstojowi.

Główna trudność w tej dziedzinie związana jest z problemem

współdziałania postaci z rozwojem akcji, — wskazywałem już na niezbędne w tym wypadku psychologiczne przygotowanie i przystosowanie bohatera do wypełnienia przeznaczonej mu roli.

W tym względzie charakterystyczni są nie tylko Tatiana i Oniegin szczególnie jednak Herman, i właśnie przez to, że został on jeszcze przed rozpoczęciem akcji zaopatrzony w potęgę, które wprowadziły w ruch opowiadanie Tomskiego. Nie na darmo Dostojewski uważał Hermana za "postać olbrzymią". On też według puszkiniowskiego, nie tylko zaś balzakowskiego schematu zbudował swoją *Zbrodnię i Karę*. Tutaj i *Zamieć* może być przykładem: niezbędny był bowiem lekkomyślny, czysto huzarski brak poczucia odpowiedzialności w Burminie, z jego: "zaczynajcie, zaczynajcie", aby można go było ożenić z Marią Gawriłówną; z drugiej strony tylko takiej sentymentalno-romantycznej panience mogła się przydarzyć podobna przygoda.

W *Bohaterze naszych czasów* fabuła, rzecz można, całkowicie zdała egzamin. Jest zajmująca i dostatecznie wielostronna; prócz tego bezustannie odsłania bohatera i życie społeczeństwa wszechstronnie naświetla. Wszystkie epizody i opowiadania jednakowo są w tym sensie skuteczne.

Jednakże zarówno w *Bohaterze naszych czasów* jak i w *Eugeniuszu Onieginie* fabuła mimo wszystko podporządkowana jest psychologicznemu i społecznemu zadaniu utworu. Ta przewaga "psychologizmu" i "socjologizmu" na długo określiła kierunek rozwoju powieści rosyjskiej. Narzekać na to zbytnio nie ma powodu. Jednakże Dostojewski na przykład odczuwał tę tak charakterystyczną dla jego czasów jednostronność powieści rosyjskiej. Dlatego też uczył się skomplikowanej, zajmującej, a nawet sensacyjnej fabuły u Paul de Kocka, Dumasa, Eugeniusza Sue, Gaboriau, Wiktora Hugo, Balzaca, Stendhala, Dickensa. W powieściach swoich potrafi połączyć sensacyjność fabuły, zbudowanej na wspomnianych wzorach zachodnio-europejskich z ustaloną już w owym czasie tendencją powieści rosyjskiej do psychologizowania i "obyczajowości", — aby w ostatecznym wyniku stworzyć swój własny typ awanturniczo-ideologicznej powieści, powieści filozoficzno-psychologicznej przygody.

Niezwykle charakterystyczne są wynurzenia Leskowa na te "techniczne" tematy, — wynurzenia, które dość sobie swobodnie zamieścił Leskow w swej powieści *Na nożach*. Oto, co pisał Leskow:

"Pewien znany krytyk francuski, czyniąc przegląd powieści rosyjskiej, dał pełną zachwyty opinię o talentach rosyjskich beletrystów, przeraziwszy się przy tym ubóstwem treści. Zakładał więc, że dostrzeżone przezeń ubóstwo treści wynika z oschłości fantazji rosyjskich powieściopisarzy, nie zaś z ubóstwa swego życia, jakie powinien odzwierciedlać w swojej pracy artysta. Tymczasem to słusznie dostrzeżone ubóstwo treści stoi w prostym stosunku do charakteru bytu rosyjskiego.

Powieści, których temat zaczerpnięty jest z czasów Piotra Wielkiego, Birona, Anny Iwanówny, Elżbiety, a nawet Aleksandra I, aczkolwiek nie są bez zarzutu pod względem kunsztu opowiadania, nie cierpią bynajmniej na ubóstwo treści. To zaś "ubóstwo treści" staje się udziałem rosyjskiej powieści w owym czasie, kiedy to według czyjś bardzo dosadnego powiedzenia w powieści czy opowiadaniu naszym istniały tylko dwa warianty: zakochał się i ożenił, lub zakochał się i zastrzelił! Ten okres szczególnie ubogich pod względem treści utworów beletrystycznych, był równocześnie okresem niepospolitego rozkwitu sztuki rosyjskiej i przekazał nam kilka imion, sławnych w dziejach literatury z kunsztu literackiego. Odtwarzając życie społeczeństwa, odsuniętego przez panujący porządek rzeczy od wszelkiego udziału w zagadnieniach, wykraczających poza ramy domowych pieleszy i robienia kariery, — powieściopisarze owego okresu, działając pod ciężkim uciskiem cenzury, zmuszeni byli do wybrania jednego z pozostawionych im kierunków: albo pisanie utworów zajmujących, choćby przy pomocy posługiwania się fałszywymi efektami, albo też — zastąpienie efektów fabuły przez wysokie zalety wykonania, ekspresję postaci, subtelne opracowanie najmniejszych nawet odruchów duchowych i mikroskopową wprost obserwację w dziedzinie fizjologii uczuć... Wśród naszych pisarzy-beletrystów pojawili się tacy mistrze szlifowania szczegółów, — jakimi w malarstwie są Claude Lorrain — dziedzinie światła słonecznego, Ruysdael — mistrz scen cichego, niepojętego smutku, Potter, odznaczający się umiejętnością łączenia w poetyczne grupy zwierząt najbardziej niepoetycznych, itd.

W historii malarstwa podkreśla się zazwyczaj bezprzykładne wprost wykończenie dzieł Gérard-Dova, który nawet łuskę na śledziu rysował, malując zaś twarz ludzką, w żrenicy odbicie okna umieszczał, zaś w oknie przechodzącego ukazywał przechodnia, — coś podobnego można powiedzieć o piśmiennictwie rosyjskim, miało ono również swych przedstawicieli, w których pracach cyzelowanie szczegółów nie mniej jest zdumiewające, niż w obrazach Gérard-Dov'a. Cyzelowanie rysunku stało się niezbędnym warunkiem uznanych zalet. Malowidła o kompozycji szerszej, a więc takiej, wobec której wykańczanie szczegółów, do jakiego myśmy się przyzwyczaili, było wręcz niemożliwe, — wielu wydawały się obrazami sztuki, tymczasem rozwój życia społecznego obecnego okresu — z całą jego prawdą i fałszem pomimo woli powieściopisarza, stawiał go w położeniu przymusowym i do rezygnowania z pracowitego wyrysowania łuski na śledziu i odbicia okna w oku ludzkim zmuszał..."⁵³⁾

Leskow miał głęboką słuszność. Rozważań jego nie należy zapominać: istotnie — z jednej strony rosyjski ustrój polityczny, który historycznie, że tak powiem, rosyjskie życie społeczne

53) *Na nożach*, cz. V, rozdział XXVI.

ograniczył, — z drugiej zaś strony materialny ucisk cenzury — oba te czynniki niewątpliwie swój wpływ na osobliwy rozwój powieści rosyjskiej wywarły. Ale i **Eugeniusz Oniegin** ze swoją "ubogą" fabułą, którą można zamknąć w formule: A kocha B, ale B nie kocha A, — B pokochało A, kiedy A już nie mogło kochać B, — także nie pozostał bez wpływu.

Już Mickiewicz w swoich paryskich wykładach o literaturach słowiańskich, wskazywał na "niezmiernie prostą ośnowę" **Eugeniusza Oniegina** i na to, jak "niezmiernie było trudno na tak ubogim i krótkim wątku utkać długi poemat". Mickiewicz zachwycił się tym, że Puszkina, przebiegając obrazy życia domowego, ziemi rosyjskiej i politycznych wypadków, — znalazł dosyć przedmiotu dla swoich śpiewów, które są raz komedią, drugi raz tragedią, to znowu romansem dramatycznym. Mickiewicz podkreśla także "wdzięk prostoty" tego poematu i "rzadką giętkość" i doskonałość stylu. "Jest to — mówił Mickiewicz — prześliczne malowidło, którego tło i koloryt zmienia się ciągle, a czytelnik ani postrzega, jak z tonu ody spada na epigramat i — podnosząc się nieznacznie przechodzi w ustęp, opowiedziany z powagą prawie eposu".⁵⁴⁾

Kiedy rozmyślałam nad tymi uwagami Mickiewicza, szczególnie zaś nad rozważaniami Leskowa na temat fabuły i sztuki opisowej, — przychodzi mi na myśl, że z powieścią rosyjską stało się coś wręcz odwrotnego, niż to, co się stało ze sztuką kinematograficzną, gdy kinematograf przemówił. Do tego momentu zwrotnego — milczący ekran zmuszał do zastępowania głosu i słowa ekspresją mimiki i gestów aktorów oraz sugestywnością szczegółów scenariusza. To przymusowe milczenie rokoowało sztuce kinematograficznej olbrzymie możliwości, otwierało przed nią nowe horyzonty — "dziesiąta muza" zbliżała się do Parnasu. Sztuka kinematograficzna padła jednak ofiarą technicznych wynalazków i swoim nagle pozyskanym głosem przepędziła "dziesiątą muzę" bezpowrotnie. (Nie mówię już o tym, że mowa ograniczyła uniwersalistyczne możliwości milczącego ekranu, który był rozumiały wszędzie i dla każdego).

W powieści rosyjskiej zaszło coś wręcz odwrotnego — i — jak to mówi Leskow — "pojawily się u nas utwory, które przy ubóstwie treści, zasługują na głęboką uwagę ze względu na wzniosłą urodziwość zawartej w nich prawdy życiowej".⁵⁵⁾ Powieść rosyjska zastąpiła "efekty fabuły" wysokimi zaletami wykonania, obyczajowymi szczegółami i analizą psychologiczną".

54) Oto inne uwagi Mickiewicza, zawarte w tym samym wykładzie (7 lipiec 1842 r.) W uwagach tych Mickiewicz w pewnym stopniu poprzedza Sołowjewa. Porównując **Eugeniusza Oniegina** z **Don Juanem** Byrona, powiada: "Nie jest on tak bogaty, tak płodny, jak Byron, nie wznosi się tak wysoko, nie sięga tak do dna serca ludzkiego — ale równiejszy, dbalszy co do formy, prostszy, często dosięga Byrona, a niekiedy nawet go wyprzedza".

55) op. cit.

Jak dalece jest to prawdą, niech świadczy następująca uwaga młodego Tołstoj; mówiąc o prozie Puszkina i o tym, że proza ta się "zestarzała", Tołstoj wyjaśnia: "Śluszne to, że teraz (notatka z 1 listopada 1853 r.) w nowym kierunku literackim uwaga dla szczegółów uczuciowych zastępuje zainteresowanie dla samych wypadków".⁵⁶⁾ W tym samym czasie (1 października 1853 r.) notuje on następującą "regulę": "Nie powinienem zapominać, że gdy analizuję utwór własny — powinienem rozpatrywać go z punktu widzenia najbardziej ograniczonego czytelnika, który od książki wymaga tylko tego, by była zajmująca".⁵⁷⁾ Wiemy już, że troska o to, by powieść uczynić jak najbardziej "zajmującą" stała się głównym przedmiotem uwagi Dostojewskiego w drugim okresie jego twórczości, zwłaszcza zaś Leskowa. Obaj ci pisarze śmiało, czasami nawet zbyt śmiało wypracowywali zajmującą, sensacyjną fabułę.

Wydać się jednak, że i tu nie obeszło się bez Puszkina. W tym wypadku właśnie proza Puszkina mogła służyć za wzór. W odróżnieniu od **Eugeniusza Oniegina**, — **Murzyn Piotra Wielkiego**, **Dama pikowa**, **Dubrowski**, **Wystrzał**, **Zamieć**, **Noce egipskie**, **Kapitanówna** w żadnym razie nie są pozbawione "efektywnej" fabuły. Odwrotnie, Puszkina stale wprowadza nader sensacyjne epizody, chętnie wyzyskuje chwytły "nieoczekiwanych rozwiązań" (surprise), charakterystycznych dla powieści awanturniczej i wcale się nie obawia bogatego rozgałęzienia motywów fabuły, ponieważ zawsze wie, jak zachować jej zasadniczą jedność, z góry zresztą określoną przez temat utworu. Można się tego wszystkiego nauczyć przez uważne czytanie Puszkina.

Podobnież nie uszły uwagi nauki, zawarte w "oszczędności środków" i surowości puszkiniowskiej prozy. Przeszły one bez wpływu na Dostojewskiego, który "gadulstwa" nie uniknął, natomiast Turgieniew i Tołstoj przyjęli te nauki z wielką uwagą. Wszystkie powieści Turgieniewa odznaczają się puszkiniowską dokładnością kompozycji i jego wyczuciem miary we wszelkich opisach. Tak się ma rzecz z **Rudinem**, z **Gniazdem szlachekim**, nie inaczej i z **Pierwszą miłością**. Co się zaś tyczy Tołstoj, to ten nigdy w ciągu całej swej pracy pisarskiej nie przestawał walczyć właśnie o tę ekonomię środków, o równowagę między "dynamicznymi" i "statycznymi" motywami, szczególnie ostro cierpiąc z powodu "nadmiaru" swoich dygresji. "Widzę — zapisywał w swoim dzienniku 10 sierpnia 1851 r. — że mam zły nawyk oddalania się od tematu; i właśnie ten nawyk, wcale zaś nie obfitość myśli, jak to dawniej przypuszczałem, często przeszkadza mi pisać, zmusza mnie do wstawiania od biurka i zamyślenia się nad całkiem czym innym, niż to o czym pisałem. Zgubny to nawyk. Mimo ogromnego talentu narracyjnego i zdolności do inteligentnej paplaniny mego ulubionego pisa-

56) L. M. Tołstoj **Połnoje sobranija soczinienij** pod redakcją W. G. Czertkowa, t. 46, Moskwa-Leningrad, 1934, str. 188.

57) *Ibidem*, str. 289.

rza, Sterne'a, — dygresje są ciężkie, nawet i pod jego piórem".⁵⁸⁾

Nie mniej charakterystyczne są i następujące, nieco późniejsze wypowiedzi: "Pacholeństwo winno zainteresować czytelnika historią stopniowego wypaczenia chłopca po okresie dziecięcym i następnie historią jego poprawy przed wiekiem młodzieńczym. Nadto wewnętrzna jego historia powinna — dla różnorodności — ustępować miejsca historii zewnętrznej osób go otaczających tak, aby uwaga czytelnika nie była stale skierowana na jeden tylko przedmiot opowiadania".⁵⁹⁾ Tu właśnie występuje zagadnienie powieści "zajmującej", problem, który również żywo interesował Tolstoj. Tolstoj jednak dodaje: "Jedna myśl kierownicza nie wystarczy aby uczynić utwór zajmującym — winno przenikać go także uczucie jednolite".⁶⁰⁾

Ta systematyczna walka o władzę tematu w utworze, o której opowiadają dzienniki Tolstoja i której rezultaty szczególnie są widoczne w jego *Kaukaskich* i *Sebastopolskich* opowiadaniach, nie mówiąc już o *Polikusce* i *Annie Kareninie* — gdzie temat jest sygnałem, na który nieustannie oglądają się wszystkie postacie tych utworów, — była walką realizowaną po linii puszkiniowskiej sztuki powieściowej.

Rzecz oczywista, że w tej walce o jedność, zwartość, planowość i logiczną konsekwencję w utworze literackim Puszkina nie był czynnikiem jedynym; "racjonalizm" Tolstoja, jego "dziennik franklinowski", teoria muzyki, którą studiował z olbrzymim zapalem — wszystko to, a także i wiele innych czynników naprowadzało go na puszkiniowską drogę. Sądzę jednak, że i bezpośrednie obcowanie ze sztuką Puszkina nie mogło przejść bez śladu.

Nie warto się zatrzymywać na ocenach Tolstoja z jego wczesnego okresu, jak na przykład: "Puszkiniowska proza jest stara, nie pod względem stylu jednakże, lecz pod względem manieri narracyjnej", "powieści Puszkina — są jakieś takie gołe". "Z wyjątkiem *Cyganów* i *Eugeniusza Oniegina* wszystkie inne poematy to straszne paskudztwo".⁶¹⁾ Tolstoj dojrzał opinii tych nie powtórzył.

Nie ma również potrzeby przytaczać tendencyjnych i paradoksalnych sądów Tolstoja o Puszkinie, wypowiedzianych przez "Tolstoja-ludowca". Charakterystyczne bowiem jest to, że Tol-

58) *Ibidem*, str. 82.

59) *Ibidem*, str. 286-7.

60) *Ibidem*, str. 215.

61) *Ibidem*, str. 187. Niedawno mój przyjaciel, Prof. K. W. Zawodzieński, napisał do mnie, że na ogół podziela mój pogląd na prozę Puszkina, myśli wszelako, że młody Tolstoj miał rację, gdy określał powieści Puszkina jako "gołe". Świetny nasz krytyk wysuwa domniemanie, że dopatrywanie się "literackiej gry" i "samostylizacji" w tych opowieściach jest błędne — "po prostu, powiada Zawodzieński, nam się dziś podobają swa stylowością różne naiwności Puszkina". Kto wie, może to i słuszne?

stoj w latach swojej zupełnej dojrzałości i następnie w starości, stale się prozą Puszkina zachwycił, głównie zaś *Opowieściami Bielkina* i *Damą Pikową*. Uważał, że *Opowieści Bielkina* każdy pisarz czytać powinien. W *Opowieściach Bielkina* zachwycała go "harmonijna prawidłowość rozkładu tematów do doskonałości doprowadzona".⁶²⁾

Pod koniec życia zachwyt Tolstoja nad prozą Puszkina stał się jeszcze bardziej apodyktyczny: mówił po prostu, że "najlepsze w Puszkinie, to jego proza".⁶³⁾ *Damę pikową* nazywał *chef d'œuvre* i stwierdził, że wszystko w niej jest wykonane "z takim umiarem, prawdziwie i przy pomocy skromnych środków", — "nic tam nie ma zbędnego", powiadał.⁶⁴⁾ A oto, co powiedział przed samą śmiercią o *Zamieci*: "Najważniejsze w Puszkinie — to prostota i zwięzłość opowiadania; nigdy nic zbędnego". Przy innej okazji oświadczył: "Zadziwiający jest Puszkina, ponieważ jest rzeczą niemożliwą zmienić choćby jeden wyraz w jego pismach. I nie tylko nie można odjąć ani jednego wyrazu, niepodobna ani jednego wyrazu dodać".⁶⁵⁾

Tej "zwięzłości opowiadania" uczył się u Puszkina Czechow także. *Kapitanówna*⁶⁶⁾ była jego ulubioną lekturą. Charakterystyczne, że na tym samym poziomie stawiał i *Tamań*,⁶⁷⁾ — a przecież *Tamań*, na równi z *Fatalistą*, to najbardziej puszkiniowskie opowieści Lermontowa. Proszę spróbować porównać je z wczesną "szaloną" prozą *Wadima*, który był napisany jeszcze przed zaznajomieniem się Lermontowa z prozą i głównymi prozaicznymi utworami Puszkina. Nie bez podstaw więc powiedział Tolstoj: "Czechow — to Puszkina prozą".⁶⁸⁾

Jeśli obecnie przejdziemy do sprawy puszkiniowskiego języka i jego wyjątkowego dynamizmu, — to i tutaj trzeba będzie przyznać, że acz bezpośrednich następców Puszkina w tej dziedzinie jak gdyby nie znamy — z wyjątkiem Lermontowa — najmniej Puszkina, właśnie za pośrednictwem Lermontowa nauczył literaturę rosyjską treściwej prostoty swego języka.

W tym względzie poglądy Turgieniewa i Tolstoja na język i styl Puszkina całkowicie się pokrywają. Chodzi głównie o to, że podejście do języka zarówno Turgieniewa jak i Tolstoja było w wielu wypadkach takie same, jak i Puszkina. Podstawową zasadą była zasada logicznej, nie zaś emocjonalnej komunikatywności języka. Oba ich jednakowo charakteryzuje podporząd-

62) Z listu do Gołowochwasta, marzec 1874 r.

63) Z notatek N. Gusiewa z 8 czerwca 1908 r.

64) Z dziennika A. Goldenwiejzera z 1 czerwca 1908 r.

65) *Ibidem* z dn. 1 października 1910 r. "Wiele się uczy od Puszkina — mówi Tolstoj — to mój ojciec i u niego trzeba się uczyć". Por. interesujący artykuł N. Gudzijsa *Tolstoj o rosyjskiej literaturze* w zbiorze *Estetyka Tolstojego*, pod red. P. N. Sakulina, Moskwa, 1929, str. 196.

66) *Ruskie pisateli XIX wieku o Puszkinie*, str. 344.

67) *Ibidem*.

68) *Ibidem* str. 384.

kowanie wszystkiego wymaganiom "zdrówemu sensu" — "puszkinowskiemu rozsądkowi" i "trzeźwości".⁶⁹⁾

Niektóre wypowiedzi Turgieniewa i Tołstoja na temat języka brzmią całkiem po puszkinowsku. Oto co np. pisał rozgniewany Turgieniew o przekładzie francuskim jego *Notatek Myśliwego*:

"Wyraz — "uciekiem" — Francuz tłumaczył: „*Je m'enfuis d'une course folle, éffarée, échevelée, comme si j'eusse à mes traces toute une légion de couleuvres commandée par de sorcières*". "I wszystko w tym rodzaju — żalił się Turgieniew (powiada Iwanow); — jakiś niegodziwy ten Francuz. I czemuż to ja, z jego łaski, mam się teraz zamienić w błazna!"⁷⁰⁾

Nie mniej godne uwagi są opinie młodego Tołstoja: "Nie wiem jak marzą inni. Cokolwiek słyszałem, cokolwiek czytałem, a przecież (widzę), że jednak całkiem nie tak, jak ja. Powiadają, że przyglądanie się pięknej przyrodzie naprowadza na myśli o wielkości Boga, o nicości człowieka, — że zakochani widzą w wodzie obraz ukochanej. Inni znowu powiadają, że góry, zdawało się, mówiły to a to, listeczki to a to, zaś drzewa wołały tam i tam. Jak może przyjść do głowy podobna myśl? Trzeba się starać, aby sobie wbić do głowy takie brednie. Im dłużej żyję, tym więcej godzę się z różnymi "sztucznosciami" (affectation) w życiu, rozmowie itd., — ale do tej wymuszoności, mimo wszelkich wysiłków, przywyknąć nie mogę".⁷¹⁾

Nie mniej nie mogę się oprzeć pokusie schwywania Tołstoja za słowo i wykazania, że czasami "godził" się on jednak z "taką afekcją". Mniemam, że czytelnik przypomina sobie piękny epizod z dębem, którym zachwyca się książę Andrzej Wołkoński w czasie swej podróży do Rostowów i w drodze powrotnej: "Wiosna, miłość i szczęście" — zdawał się mówić dęb...⁷²⁾

Wreszcie, nie ulega to wątpliwości, proza S. T. Aksakowa (zwłaszcza *Kronika rodzinna*), mimo, że pobudzona była do życia przez Gogola, nie w ogóle od niego nie przejęła, nawróciła natomiast do puszkinowskiego wzoru. Mówią o tym energiczna treściwość i logiczna celowość aksakowskiego języka. Wydaje się, że i język Gonczarowa z jego spokojną przejrzystą jasnością i świadomym opanowaniem także z puszkinowskiej, nie zaś z gogolowskiej tradycji się wywodzi. Ta sama tradycja, według

69) "A jednak prawdą jest, że język Tołstoja był czasami niezgrabny jak to wykazał Mierieżkowski, — szczególnie tam, gdzie Tołstoj pograżał się w zbyt wypracowane rozumowanie". Patrz D. S. Mierieżkowski *Połnoje sobranije soczinienij*, Moskwa, 1912, t. VII, str. 181-2.

70) I. Iwanow — I. S. Turgieniew, Nieżyn, 1914, str. 174.

71) *Dniownik* — notatka z dnia 10 sierpnia 1851 r. Por. również niezwykle ważne rozważania na ten temat w opuszczonej dygresji w 9-tym rozdziale *Dzieciństwa*; wydanie pod red. W. G. Czertkowa, t. I, str. 177-8.

72) *Wojna i Pokój*, t. I, cz. 3, rozdz. 1 i 3.

mnie, żyje w strukturze języka Bierdiajewa — z stale przeważającym w jego słowie zdaniem głównym.

Wypada wreszcie dodać, że z tą ekonomią środków, skąpstwem, lakonicznością, "rzeczowością" języka i precyzyjnością szybkiego ruchu fabuły, opowiadań i opowieści Puszkina, związany jest chwyt początku *ex abrupto*, wprowadzający czytelnika od razu *in medias res*. Wiadomo przecież, że urywek Puszkina, Goście zjeżdżali się na letnisko, posłużył za wzór do znakomitego początku *Anny Kareniny*.



Teraz już pozostało mi powiedzieć tylko kilka słów o "ideowym" wpływie Puszkina na prozę rosyjską XIX stulecia. Rozumiem to jako wypracowywanie puszkinowskich tematów, sytuacji i typów w powieści rosyjskiej.

W swoim czasie w moich polskich pracach, Puszkiniowi poświęconych, pisałem o nieprzemijającym "życiu" puszkinowskich "bohaterów-mitów" w rosyjskiej literaturze.⁷³⁾ Ależ i bez moich prac każdy wie, że para — Oniegin i Tatiana — bezustannie ukazywała się na stronicach rosyjskiej powieści w najrozmaitszych zaktualizowanych odmianach: wystarczy wspomnieć *Bohatera naszych czasów*, *Rudina*, *Oblomowa*, *Urwisko* (z różnymi zastrzeżeniami). Para ta przekoczywała nawet do Polski; mam tu na myśli *Bez dogmatu* Sienkiewicza.⁷⁴⁾ Zresztą nie sprowadza się to zagadnienie do tej jednej tylko pary.

Mierieżkowski świetnie odkrył, a Bem ściśle wykazał jak blisko koło *Damy Pikowej* ulokowała się *Zbrodnia i Kara*, jak mocno związany jest *Pan Procharczin* (pomimo swoich trochę innych afiliacji), zaś szczególnie *Wyrostek* — ze *Skąpym rycerzem* i z *Petersburgiem Damy pikowej*. *Biedni ludzie* sami mówią o *Dozorcy stacyjnym* (jak Bieliński mógł nie zauważyć umyślnego przeciwstawienia *Dozorcy stacyjnego* i *Szynelu* — trudno zrozumieć), zaś ten sam temat, karamzinowski temat pojawia się znowu w *Poniżonych i znieważonych*, gdzie przecież Ichmieniów to *sui generis* puszkinowski dozorca. Zaś scenę z pieniędzmi, które w oburzeniu "rzucił o ziemię" i "przydeptał obcasem" dozorca stacyjny, Dostojewski przedstawił przecież nie jeden raz w różnych odmianach w *Zbrodni i Karze*, w *Braciach Karamazowych*. Tylko że puszkinowski dozorca stacyjny "odszedł kilka kroków", "zatrzymał się, pomyślał... i wrócił", podczas gdy Dostojewskiego bohater albo "nie wrócił", albo "zaczął pełzać na kolanach". Mam nadzieję, że osobiście niezadługo będę mógł wykazać niewątpliwy związek, istniejący między *Notatkami z piwnicy* a *Wystrzałem* — wspominałem już o tym. Poza ważniejszymi i bardziej istotnymi elementami tego związku, mogę już dzisiaj wskazać na motyw romantycznego

73) Por. W. Lednicki: *Puszkina 1837-1937*, Kraków, 1937.

74) Por. W. Lednicki *Sienkiewicz* — wydane przez Polish Institute of Arts and Sciences in America, N. Y., 1948.

spekulatywnego pojedynku, jaki ukazuje się w *Wystrzale* przy końcu opowiadania, przeniknąwszy — być może za pośrednictwem turgieniewskiego *Dziennika zbudnego człowieka* — do *Notatek z piwnicy* i następnie do *Biesów* i *Braci Karamazowów*.

Co najmniej tak samo bogate pole do badań w tym względzie przedstawiają opowiadania i powieści Turgieniewa — że wspomnę tylko opowiadanie *Dwaj przyjaciele*, w którym autor stale "gra" z *Eugeniuszem Onieginem*, — *Dziennik zbudnego człowieka* z jego echami z *Wystrzału* i jego pokrewieństwem "z lewej ręki" z *Eugeniuszem Onieginem*, — *Rudina* z jego onieginowską sentymentalną sytuacją, — *Gniazdo szlacheckie*, którego związek ideologiczny z *Eugeniuszem Onieginem* i *Dubrowskim* mnie samemu — tak mi się przynajmniej wydaje — udało się wykazać.⁷⁵⁾

Ponieważ muszę trzymać się puszkiniowskiej prozy, nie mam tedy prawa powoływać się na *Zacisze* i niektóre inne opowiadania Turgieniewa, w których pojawiają się nie tylko reminiscencje z poezji Puszkina, ale czasami nawet — jak np. w *Zaciszu* — puszkiniowskie wiersze stają się tą iskrą, która roznieca pożar katastrofy. Puszkiniowski *Anczar*, niby jakiś flet zaczarowany, porusza "cichą wodę" *Zacisza* i budzi do życia drzemiące w nim "namiętności fatalne".

Nie mogę również powoływać się na związek *Kozaków* Tołstoja z *Jęńcem kaukaskim*. Ale opowiadanie *Dwaj huzarzy* mam prawo wspomnieć; — napisane zostało w okresie bezustannych burzliwych sporów Tołstoja z pismem *Sowriemiennik*. Tołstoj, jakby na złość *Sowriemiennikowi* staje się umyślnym puszkiniowskim epigonem, stwarzając w osobach swoich hrabiów Turbinów — ojca i syna — ponowne przeciwstawienie puszkiniowskich bohaterów: Silvio i młody hrabia, Salieri i Mozart, stary baron i syn. — nie mówiąc już o czysto puszkiniowskiej atmosferze tego opowiadania, przeniesionej doń — można by powiedzieć — wprost z puszkiniowskiej *Zamieci*, co nawet potwierdza nazwisko Turbin, całkiem jawnie podpowiedziane przez puszkiniowskiego Burmina, — pomijając już szereg innych oczywistych podobieństw. To prawda, że zjadliwa antyeuropejskość Tołstoja i jego głęboki, żywiołowy, pełen samozachwyty ukryty nacjonalizm, nie zgadza się z puszkiniowskim szczerem przywiązaniem do europejskiej tradycji kulturalnej i jej zrozumieniem.

Można znaleźć ślady wpływu Puszkina także i w *Szczedrynie*, w danym wypadku mam na względzie *Historię wsi Goriuchino* i jej odbicie — jakby w szkłe powiększającym — w *Szczedrynie*. Wreszcie, najnowsze rosyjskie powieści historyczne oraz opowiadania Briusowa, Auslendera, Borisa Sadowskiego, Ałdanowa,

z całą ich historyczną stylizacją dążą w kierunku puszkiniowskiego "dokumentalnego" realizmu; wzorami w tym wypadku były: *Murzyn Piotra Wielkiego*, *Dubrowski*, *Kapitanówna* i urywek *Cezar podróżował*. Wydaje się, że w *Piotrze I* Aleksego Tołstoja można wyczuć pewne odbicia prozy Puszkina. W końcu *Książę Srebrny* hr. A. K. Tołstoja — ten romans-ballada, tak bym utwór ten nazwał — dźwięczy jakimiś echami fabuły *Dubrowskiego*. (O trylogii hr. A. K. Tołstoja mówić nawet nie trzeba: wywodzi się oczywiście z *Borysa Godunowa*, zaś liryka salonowa tego pisarza kontynuuje tradycję poezji puszkiniowskiej.)

Dodam jeszcze jedną uwagę. Jakoś tak całkiem przypadkowo przyjaciel mój, profesor P. A. Budberg, — często zadziwiający swoich kolegów swymi nieoczekiwanymi i trafnymi odkryciami — zwrócił moją uwagę na powieść Apuchтина — *Archiwum hr. D* (powieść w listach). Wszystko istotnie przemawia za tym, że owa świetnie zresztą napisana powieść, stanowi rozwinięcie i wykończone opracowanie pomyślanej przez Puszkina opowieści, znanej pod tytułem *Opowieść w listach*. Na tym miejscu wspominam tylko o odkryciu prof. Budberga — zasługuje ono jednak na szczegółowe zbadanie.

Zmuszony byłem pozostawić na uboczu listy Puszkina — a przecież jest to również bardzo ważny dział prozy rosyjskiej. Powiem tylko jedno, że listy te stanowią jeden z najlepszych wzorów nie tylko rosyjskiego lecz i światowego kunsztu epistolarnego, nie mówiąc już o wyjątkowym bogactwie ich treści: jest to przecież swoista encyklopedia rosyjskiego życia kulturalnego czasów Puszkina, obejmująca najszersze kręgi i sfery tego życia.

Na zakończenie powiem, że proza Puszkina od razu przyciągnęła uwagę znawców w Europie Zachodniej — najlepszy przykład to Mérimée, który dał doskonałe przekłady z Puszkina. Za naszych czasów A. Gide uznał za stosowne poprawić je, co dowodzi niesłabnącego zainteresowania Puszkinem i jego prozą we Francji. To samo należy powiedzieć o Niemczech, Anglii, Włoszech i Ameryce: opowieści Puszkina uważane są za arcydzieła, zwłaszcza w dziedzinie noweli. Taką samą popularnością cieszą się powieści Puszkina w krajach słowiańskich, gdzie ciągle pojawiają się nowe wydania (na przykład w Polsce drukuje się obecnie nowe przekłady w periodykach literackich). Ile w tym jest jednak admiracji prawdziwej, ile zaś admiracji przymusowej, trudno dawnemu rusycyście polskiemu powiedzieć. W Europie proza Puszkina zajmuje poczesne miejsce wśród najlepszych prozaicznych utworów świata.⁷⁶⁾

75) W. Lednicki: *Bits of Table Talk on Pushkin*, II, *The Nest of Gentlefolk and The Poetry of Marriage and the Hearth*, *The American Slavic and East European Review*, Vol. V, Nos. 14-15, 1946.

76) Korzystam z okazji, aby zwrócić uwagę czytelnika na doskonałe wydanie *Opowieści Bielkina* z rozsądnym wstępem i komentarzami prof. B. G. Unbegauna, — jakie pojawiło się w serii publikacji Uniwersytetu Strasburskiego w r. 1943 (Macon, Imprimerie Probat). Warto również odnotować, że w roku 1948 ukazało się nowe angielskie

W Rosji — niepowtarzalne pod względem arcyzmu zalety tej prozy ocenili należycie najlepsi rosyjscy pisarze. W ocenie tej zgodni są Lermontow, Turgieniew, Gonczarow, Dostojewski i Tolstoj; wszyscy oni byli uczniami tego pierwszego — w pełnym znaczeniu tego słowa — wzorowego rosyjskiego prozaika.⁷⁷⁾

Berkeley, Kalifornia.

Wacław LEDNICKI.

wydanie *Opowieści Bielkina* (Lindsay, Drummond), co dało okazję znanemu krytykowi angielskiemu Philipowi Toynbee napisać artykuł o *Opowieściach Bielkina* całkiem w duchu Bielińskiego (sic!) i kosztem Puszkina wychwalać... Andriejewa!

77) Zwracam również uwagę na wartościowy artykuł A. G. Cejtlina *Iz istorii ruskogo obszczestwienno-psichologiczeskogo romana* w książce *Istoriko-Litieraturnyj sbornik* pod redakcją S. P. Byczkowa i innych. OGIZ, 1947, str. 289-344. Żałuję, że z pracą tą się zapoznałem dopiero wtedy, gdy mój artykuł już był napisany — książka ta niedawno nadeszła do biblioteki Uniwersytetu Kalifornijskiego. Poglądy Cejtlina w wielu punktach zgodne są z poglądami moimi, wypowiedzianymi w artykule niniejszym oraz w mojej monografii o *Eugeniuszu Onieginie* (Kraków, 1925). Cejtlin sprawiedliwiej — plastyczniej — określa rolę Gogola w rozwoju rosyjskiej powieści; jego genealogia opiera się na „trzech wielorybach” *Eugeniusz Oniegin*, *Bohater naszych czasów*, *Martwe Dusze*. Z taką genealogią zgadzam się całkowicie. Zresztą w tym samym duchu prowadzę swoje rozważania, być może tylko nie tak wyraźnie się wypowiedziałem.

Po swojej polemice z Bielińskim, pragnąłbym jednak oddać mu sprawiedliwość. Bieliński przyznaje olbrzymią rolę *Eugeniusza Oniegina* w rozwoju realizmu rosyjskiego. Nie mniej Bieliński równocześnie i w związku z tym wymienia arcydzieło innego wielkiego rosyjskiego pisarza — Gribojedowa: *Rozum — zgryzotą*. Oto jego opinia: „Wraz z puszkinińskim *Onieginem*... *Rozum zgryzotą* był pierwszym przykładem poetyckiego przedstawienia rosyjskiej rzeczywistości w najszerszym tego słowa znaczeniu. W tym sensie oba dzieła położyły fundamenty pod dalszą literaturę i były szkołą, która formowała Lermontowa i Gogola. Bez *Oniegina*, *Bohater naszych czasów* nie byłby możliwy, podobnie jak bez *Oniegina* i bez komedii *Rozum zgryzotą* Gogol nie mógłby malować rosyjskiej rzeczywistości z taką głębią i z taką prawdą” (por. Bieliński: *Op. cit.*, p. 457).

Twórczość Donalda Mac Gilla

Kto nie zna śmiesznych pocztówek, wystawionych w oknach tanich sklepów z materiałami piśmiennymi, tych jedno lub dwu pensowych kolorowych pocztówek o niekończącym się korowodzie tłustych kobiet w ciasnych kąpielowych trykotach, ordynarnym rysunku i niezdolnych barwach, w których przeważa jaskrawy kolor żółty i czerwień pocztowych skrzynek?

Pytanie to powinno być retoryczne, tymczasem ciekawy jest fakt, że mnóstwo ludzi zdaje się nie wiedzieć o istnieniu tych rzeczy, wyobrażając sobie co najwyżej, że podobne pocztówki znajdują się jedynie w nadmorskich kąpieliskach, tak jak murzyńscy śpiewacy wędrowni, oraz miętowe cukierki. W rzeczywistości, sprzedaje się je wszędzie — można je kupić w każdym magazynie Woolwortha¹⁾ — i najwidoczniej drukuje się je w olbrzymich ilościach, gdyż ukazują się wciąż nowe serie. Nie trzeba mieszać ich z innymi rodzajami pocztówek, sentymentalnych, lubujących się w pieskach i kotkach, lub Wendyowskich²⁾, o utajonej nucie pornograficznej na temat miłostek pomiędzy dziećmi. Te, które mam na myśli, posiadają swój własny genre, ich specjalnością jest wybitnie płaski humor, obracający się dokoła groteskowych teściowych, dziecięcych pieluszek, kopniaków zadanych butem policjanta itp. — a wyróżniają się także tym, iż nie mają żadnych artystycznych pretensji. Z pół tuzina wydawniczych firm wypuszcza je na świat, choć doznaje się wrażeń, że ilustrują je wciąż ci sami, niezbyt liczni rysownicy.

Skorzystałem ze specjalnie z nazwiskiem Donalda Mac Gilla, ponieważ jest on nie tylko najpłodniejszym i bez wątpienia najlepszym ze współczesnych rysowników pocztówek, ale też i najbardziej reprezentacyjnym, najwierniej odpowiadającym wymaganiom tradycji. Nie wiem kim jest Donald Mac Gill. Musi to być firmowe nazwisko, gdyż co najmniej jedna seria tych pocztówek zwie się po prostu: „The Donald Mac Gill Comics”, jednak na pewno chodzi tu o kogoś, który istnieje rzeczywiście i posiada swój indywidualny styl rysunku, dający się roz-

1) Sklep galanterijny, najpopularniejsza firma, o filiach rozsiadanych po całej Wielkiej Brytanii.

2) Dziewczynka, bohaterka sztuki Barrie’go: „Peter Pan”.

poznać od pierwszego rzutu oka. Każdy, kto przerzuci większą ilość jego pocztówek, musi zauważyć, że część ich zasługuje na pewne uznanie, nawet pod względem rysunku, ale trudno utrzymywać, że posiadają one jakąkolwiek artystyczną wartość. Komiczna pocztówka jest po prostu ilustracją jakiegoś dowcipu, którego probierzem będzie możliwość wywołania śmiechu. Poza tym, wzbudzić może wyłącznie "ideologiczne" zainteresowanie. Mac Gill jest zdolnym rysownikiem o pazurze rasowego karykaturzysty w sposobie chwytania twarzy, lecz szczególna wartość jego pocztówek polega na tym, że są tak bardzo charakterystyczne.

Weźcie tuzin tych kartek — jeśli z tej kupki wyciągniecie te, które wydają się wam najzabawniejsze, okaże się na pewno, że większość z nich to właśnie Mac Gill'owskie — i rozłóżcie je na stole. Co zobaczycie?

Zrazu będziecie pod wrażeniem niezwyklej ordynarności. I to już pomijając niezawodną, stałą sprostność, oraz ohydę kolorytu. Pocztówki te odznaczają się wybitnie niskim poziomem atmosfery umysłowej, która wypływa nie tylko z natury żartów, lecz nawet bardziej jeszcze, z groteskowego, rażącego, krzykliwego rodzaju rysunków. Rysunki, niczym dziecięce, roją się od przesadnie grubych linii na przemian z pustymi przestrzeniami i wszystkie postacie, każdy ruch i postawa są tu rozmyślnie brzydkie, twarze wykrzywione i bezmyślne, kobiety potworne sparodiowane, z zadami jak u Hotentotek. Mimo to, powoli doznajecie wrażenia nieopisanej swojskości. Co Wam to przypomina? Do czego to takie podobne? W pierwszym rzędzie, oczywiście, nasuwa wam to wspomnienie bardzo podobnych pocztówek, które prawdopodobnie musieliście oglądać w dzieciństwie. Lecz jeszcze silniejsza jest w was świadomość, że to, na co patrzycie, jest czymś tak tradycyjnym jak grecka tragedia, rodzaj pośledniego świata, gdzie wałęsają się po tyłkach i drwiach z jędzowatej teściowej, świata, który drzemie w zachodnio-europejskiej świadomości. Nie to, żeby żarty — każdy z osobna wzięty — miały być konieczne przestarzałe. Mimo, że tracą czasami myśkę, dowcipy komicznych pocztówek powtarzają się rzadziej niż to się zdarza w "kącikach śmiechu" osławionych czasopism, ale ich podstawowa treść, rodzaj dowcipu, który im przyświeca, pozostaje niezmienny. Niekiedy trafiają się wśród nich powiedzonka prawdziwie zabawne, w stylu Maxa Millera¹⁾, na przykład:

- Lubię oglądać mieszkania doświadczonych dziewcząt.
- Ależ ja nie jestem doświadczona!
- Jeszcze nie jesteś w swoim mieszkaniu!



1) Aktor występujący w music-hall'ach, słynny z nieprzyzwoitych dowcipów.

— Walczyłam lata, aby zapracować na to futro, jakim sposobem ty doszedłeś do swojego?

— Przestałam walczyć.



Sędzia: — Pan się wykręca. Spał pan z tą kobietą, czy nie spał?

Partner wiarołomnej żony³⁾ — Ani na chwilę nie zmrużyłem oka, proszę wysokiego sądu!



Na ogół, jednak, żarty te nie są dowcipne, mimo że nie brak im humoru, i trzeba przyznać że, zwłaszcza w pocztówkach Mac Gilla, rysunek bywa zwykle o wiele zabawniejszy niż objaśnienie pod spodem. Oczywiście, najwybitniejszą cechą komicznych pocztówek jest ich sprośność. Wkrótce omówię to obszerniej, na razie chcę dać najogólniejszą analizę zwykłego wątku tych dowcipów, wraz z uwagami, które wydają mi się potrzebne.

Płeć. Więcej niż połowa, trzy ćwierci żartów, poczynawszy od niewinnych do najbardziej drastycznych, obraca się dokoła zagadnienia płci. Najulubieńszym tematem jest chyba dziecko nieślubne. Typowe uwagi: "Czy mógłby pan zamienić ten breloczek, który ma przynosić szczęście, na butelkę ze smoczkiem dla dziecka?" "Nie prosiła mnie na chrzciny, więc na ślub się nie wybieram". Podobne powiedzonka są uważane ipso facto za zabawne, samo wspomnienie o tych rzeczach wystarcza, aby wywołać śmiech. Dowcipy na temat rogaczy pojawiają się dość rzadko i nie ma aluzji do homoseksualizmu.

Założenia przyjęte w żartach na temat płci:

1) Małżeństwo jest jedynie korzystne dla kobiet. Każdy mężczyzna ma zamiary uwodzicielskie, podczas gdy każda kobieta chce doprowadzić do małżeństwa. Nie ma kobiety, która by dobrowolnie zrezygnowała z małżeństwa.

2) Powab zmysłowy trwa tylko do jakichś lat dwudziestu pięciu. Ludzie, którzy zachowali dobry wygląd i urodę po przejściu pierwszej młodości, nigdy nie wchodzi w grę. Zakochana parka nowożeńców powraca już tylko w postaci pomarszczonej, kwaśnej żony i niezgrabnego, wąsatego męża o zaczerwionym nosie. Nie ma mowy o jakimś stanie pośrednim.

Życie domowe. Obok tematu płci upatrzonym przedmiotem żartów jest pantoflarz. Typowy kawał: "Czy w szpitalu zrobili prześwietlenie szczęki twojej żony?! Nie udało im się, przy ciągłym ruchu wyszedł z tego film".

Utarte pojęcia:

1) Nie ma szczęśliwego małżeństwa.

2) W dyskusji żaden mężczyzna nie dotrzyma placu kobiecie.

Pijaństwo: Zarówno pijaństwo jak i abstynencja są śmieszne same przez się.

3) W W. Brytanii w procesach rozwodowych, spowodowanych wiarołomstwem, powołuje się do odpowiedzialności kochanka lub kochankę zdradzonego męża lub żony.

1) Wszyscy pijani doznają halucynacji wzrokowych.

2) Pijaństwo cechuje mężczyzn w średnim wieku. Nie przedstawia się nigdy młodzieńców ani kobiet pijanych.

Klozetowe dowcipy. Jest ich sporo. Nocniki są ipso facto uważane za zabawne, jak również publiczne ustępy. Typowa pocztówka, z komentarzem: "Przyjaciół w potrzebie", pokazuje zerwany wiatrem kapelusz, który stacza się w dół po schodach, prowadzących do ustępu dla kobiet.

Snobizm w klasie pracującej. Na zasadzie licznych przykładów można wnioskować, że pocztówki są przeznaczone dla najmniej wartościowej klasy robotniczej oraz uboższego mieszczaństwa. Istnieje dużo dowcipów na temat niewłaściwego używania słów, nieuctwa, nie wymawiania litery *h*⁴⁾, oraz ordynarnych manier mieszkańców najędźniejszych zaułków. Olbrzymia ilość pocztówek przedstawia brudne jędrze, w rodzaju tych posługaczek, które widzi się na scenie, wymieniających "nieprzystojne" obelgi. Typowa cięta replika: "Bodajbyś była pomnikiem, a ja gołębiem!" Pewna kategoria pocztówek, które ukazały się podczas wojny, traktuje ewakuację ze stanowiska nieprzychylnego ewakuowanym. Są też zwykłe dowcipy na temat włóczęgów, żebraków i kryminalistów, dość często pojawia się i komiczna służąca. Również komiczny robociarz, komiczny flisak itp. — ale nie ma dowcipów skierowanych przeciwko Związkowi Zawodowemu. Krótko mówiąc, każdy kto posiada o wiele więcej, lub o wiele mniej niż pięć funtów tygodniowo jest przedmiotem drwin. "Gruba ryba" staje się, niemal automatycznie, postacią równie ośmieszoną jak nędzarz.

Tradycyjne kozły ofiarne. Rzadko bywają nimi cudzoziemcy. Głównym tematem wiecznie świeżych żartów o posmaku lokalnym jest Szkot. Poza tym prawnik, który z reguły musi być oszustem, i duchowny, nerwowo niedołęga mówiący zawsze od rzeczy. "Fircyk", czy też "lampart" ukazuje się stale w przedstawianym stroju wieczorowym, jak za edwardiańskich czasów, niekiedy nawet w kamaszach z sekatą trzcinką w ręku. Innym widmem minionej epoki jest sufrażystka, jedno z większych pośmiewisk sprzed 1914 roku, zbyt łatwe i kuszące, żeby z niego zrezygnować. Toteż wróciła, nie zmieniona w wyglądzie zewnętrznym, jako prelegentka odczytów o feminizmie, lub fanatyczna zwolenniczka wstrzemięźliwości.

Prądy polityczne. Każde współczesne wydarzenie, wierzenie, lub jakakolwiek nowa działalność trafia szybko do ilustrowanych pocztówek, ale na ogół, atmosfera ich jest niesłychanie staromodna. Ich światopogląd pachnie radykalizmem, który byłby w kropce około r. 1900. W czasach normalnych nie tylko że są niepatriotyczne, lecz w łagodny sposób wyśmiewają się z

4) Uważane w Anglii za dowód zupełnego braku wychowania.

uczuć patriotycznych, puszczając dowcipy na temat hymnu "God save the King", godła narodowego itp.

W przeciwieństwie do dwu pensowych humorystycznych tygodników, pocztówki komiczne nie ukazują się nakładem żadnego wielkiego monopolowego towarzystwa i, widocznie, miarodajne czynniki nie uważają, aby mogły mieć jakikolwiek wpływ na opinię publiczną. Nie ma w nich zresztą śladu chęci stosowania się do poglądów, uznawanych przez warstwy kierownicze.

Należy tu nawrócić do głównego rysu pocztówek komicznych — to jest, do ich sprostności. Przez nią bowiem wdrażają się w pamięć każdego, na tej sprostności żerują i uprawiają ją z całą świadomością, choć nie zawsze całkiem jawnie i wyraźnie.

Motyw, który się wciąż powtarza i niemal góruje nad innymi w tych pocztówkach, to kobieta z wypiętym tyłkiem. Przy każdej sposobności, nawet wtedy, gdy pointe'a dowcipu nie ma nic wspólnego z picią, co najmniej połowa komicznych pocztówek wysuwa tę samą postać kobiecą, pulchną, "lubieżną" postać, w stroju przylegającym do ciała niczym druga skóra, z piersiami lub zadkiem — zależnie od postawy w której jest przedstawiona — które zostały uwydatnione przesadnie. Nie ulega wątpliwości, iż ryciny te podnoszą wieko szeroko rozpowszechnionego zahamowania, dość naturalnego w kraju, w którym młode kobiety bywają szczupłe aż do przesady. Zarazem jednak pocztówki Mac Gilla — to odnosi się do wszystkich pocztówek tego samego genre'u — nie są pomyślane jako pornografia, lecz jako coś bardziej subtelniejszego, coś jakby paszkwil na pornografię. Postacie kobiet upodobnionych do Hotentotek, to karykatura, a nie portret utajonego ideału Anglika. Wystarczy przypatrzeć się dokładniej pocztówkom Mac Gilla, aby zauważyć, że jego gatunek humoru ma jedynie sens w związku z dość surowym kodeksem moralnym. Podczas gdy w czasopiśmie takich jak "Esquire" lub, powiedzmy "La Vie Parisienne" wyobrażeniowym tłem żartów jest zawsze bezład płciowy, całkowicie wyłamanie się z wszelkich konwencji, tłem pocztówek Mac Gilla jest małżeństwo. Cztery zasadnicze żarty polegają na nagości, dzieciach nieślubnych, starych pannach i nowożeńcach; ani jeden z tych tematów nie miałby szansy powodzenia w prawdziwie rozpustnym, lub choćby bardziej wy rafinowanym społeczeństwie. Pocztówki, traktujące o młodych parach w czasie miodowych miesięcy mają spontaniczną nieprzyzwoitość tych wszystkich weseli, na których dotąd jeszcze, przyszywanie dzwoneczków do łoża nowożeńców uchodzi za szczyt dowcipu. Na jednej kartce, mogącej służyć jako przykład, młody małżonek wstaje z łóżka nazajutrz po nocy ślubnej. "Pierwszy ranek w naszym własnym gniazdku, kochanie!" — powiada — Zejdź po mleko i gazetę i przyniosę ci filiżankę herbaty". Obok, przedstawiony jest widok ganku, na stopniach przed progiem leżą cztery gazety i cztery flaszki mleka. Może to być

bezwstydne, ale nie jest niemoralne. Z tego wynika i to jest właśnie wniosek, przed którym "Esquire" czy "New Yorker" broniłyby się zaciekłe — że małżeństwo jest czymś niezmiernie podniecającym i ważnym, że stanowi największą przygodę, jaka może zdarzyć się w życiu przeciętnego człowieka. To samo z dowcipami na temat dokuczliwych żon i despotycznych teściowych. Przynajmniej świadczą one o istnieniu jakiegoś ustabilizowanego społeczeństwa, w którym małżeństwo jest nierozdzielne i prawa, które nadaje pokrewieństwo, nie podlegają dyskusji. Łączy się to z czymś, co zaznaczyłem przedtem, a mianowicie, że nie ma lub prawie że nie ma obrazków, na których figurują przystojni ludzie, którzy przekroczyli pierwszą młodość. "Gruchająca" parka i małżeństwo w starszym wieku, żyjące jak pies z kotem — nie pośrodku. Romans nielegalny lub mniej lub więcej dyskretny stosunek miłosny, ten podstawowy żart francuskich pism humorystycznych — nie bywa tematem pocztówki. Na tym komicznym odcinku odzwierciedla się światopogląd klasy robotniczej, która przyjmuje jako rzecz naturalną, że młodość i przygody — ba! niemal całe życie osobiste — kończy się z chwilą małżeństwa.

Jedna z paru autentycznych różnic pomiędzy klasami, które, w przeciwieństwie do klasowych odrębności, istnieją nadal w Anglii, przejawia się tym, że ludzie z warstwy robotniczej starzeją się o wiele prędzej. Nie żyją krócej, pod warunkiem że przetrzymają dzieciństwo, ani wcześniej nie tracą swej fizycznej sprawności, lecz tracą szybko wygląd młodzieńczy. Jest to fakt, którym można zauważyć wszędzie, lecz najłatwiej go sprawdzić, obserwując którzy ze starszych roczników powołanych do służby wojskowej; ludzie należący do sfer wyższych i średnich wyglądają, na ogół, o dziesięć lat młodziej od innych. Kładzie się to zwykle na karb cięższych warunków, w których żyje klasa robotnicza, ale w obecnych czasach istnienie różnicy, mogącej spowodować tak znaczne odchylenia, jest mało prawdopodobne. Wygląda raczej na to, że ludzie z warstwy robotniczej wchodzić wcześniej w wiek średni, ponieważ godzą się nań łatwiej. Albowiem zachowanie młodego wyglądu po — dajmy na to — trzydziestce, jest głównie kwestią tego, czy się tego pragnie. Stosuje się to w mniejszym stopniu do lepiej płatnych robotników, zwłaszcza do tych, którzy mieszkają w domach magistrackich i w spółdzielniach, lecz nie przestaje być prawdziwy nawet w stosunku do nich, gdyż wychodzi tu na jaw odmienny sposób myślenia. Jak zwykle bowiem, i pod tym względem, są oni bardziej pod wpływem tradycji, bardziej zrośnięci z chrześcijańską przeszłością niż zamożna, czterdziestoletnia kobieta, która stara się zostać młoda przy pomocy sportów, kosmetyków i wyrzeczenia się porodu. Pęd do zachowania młodości za wszelką cenę, dążenie do utrzymania swego zmysłowego powabu, nawet w średnim wieku, układanie przyszłości z myślą o sobie, nie tylko o swoich dzieciach — to wszy-

stko jest względnie nowe i nie będzie długotrwałe. Prawdopodobnie zniknie z powrotem, kiedy nasza stopa życiowa się obniży, a wzmoże nasza rozrodczość. "Młodość, to nietrwały towar" — wyraża normalną, tradycyjną postawę w stosunku do wieku. Jest to ta dawna mądrość, którą Mac Gill i jego koledzy odzwierciedlają bezwiednie, gdy nie zgadzają się na żaden stan przejściowy pomiędzy parą nowożeńców, a tymi dwoma żalonymi postaciami: Mamusią i Tatusiem.

Mówiłem, że co najmniej połowa Mac Gillowskich pocztówek operuje żartami na temat płci, zaś część ich przechodzi w swej sprośności wszystko, co obecnie ukazuje się w druku na terenie Anglii. Kupcy, posiadający licencje na ich sprzedaż, bawą pociągani do odpowiedzialności, mimo że zwykle najdramatyczniejsze dowcipy ukazują się pod osłoną dwuznaczników. Jeden przykład wystarczy, aby pokazać jak postępuje się w wypadkach, żeby obronić się przed zarzutem o obrazę moralności. Na jednej pocztówce o komentarzu: "Oni nie są w stanie jej uwierzyć", młoda kobieta z rękami rozstawionymi na szerokość dwóch stóp tłumaczy coś parze znajomych, którzy słuchają jej z otwartymi ustami. Za jej plecami, na ścianie, widać skrzynkę ze szkła z wypchaną rybą, zaś obok wisi fotografia prawie że nagiego atlety. Ma się rozumieć, że to, o czym kobieta mówi, nie dotyczy się ryby, ale tego dowieść nie sposób. Wątpliwe, aby jakiekolwiek pismo w Anglii wydrukowało żart tego gatunku, a już z pewnością nie ma pisma, które czyniłoby to nagminnie. Ukazuje się moc pornografii w dyskretniej formie, chmara ilustrowanych pism robi kokosy na nogach kobiecych, ale popularne piśmiennictwo nie specjalizuje się w ordynarnym figlowaniu na temat płci. Z drugiej strony, dowcipy, kropka w kropkę podobne do Mac Gillowskich, są zwykłą drobnicą, którą aktorzy posługują się w rewiach i music hallach, a słysząc je też i przez radio, w chwilach, gdy cenzor jest pobłażliwszy. W Anglii rozpiętość pomiędzy tym, co wolno powiedzieć, a co wydrukować, jest wyjątkowo szeroka. Powiedzenia i gesty, które uchodzą na deskach scenicznych, wywołałyby publiczne protesty, gdyby ktokolwiek pokusił się reprodukować je na papierze. Tylko pocztówki i teatry rozmaitości mogą swobodnie uprawiać żarty tego rodzaju, gdzie clou stanowi wypięty tyłek, pies podnoszący nogę na latarnię, przypadki, które zdarzają się małym dzieciom itp. Kiedy sobie człowiek zdaje z tego sprawę, widzi, jaką rolę, w skromny sposób, odgrywają owe pocztówki.

Przed wszystkim należy zauważyć, że odzwierciedlają one pogląd na świat Sanszo Pansy, to znaczy tę postawę w stosunku do życia, którą Rebecca West ujęła jako: "upatrywanie najprzedsniejszej zabawy w klepaniu się po tyłkach w suterynowych kuchniach". Zestawienie Don Kiszot — Sanszo Pansa, będące oczywiście dawnym dualizmem ciała i duszy w formie fikcji, nawraca w literaturze ostatnich czterech stuleci

częściej niżby się to dało tłumaczyć czystym naśladownictwem. Powraca wciąż na nowo, w nieskończonych odmianach: Bouvard i Pécuchet, Jeeves i Wooster, Bloom i Dedalus, Holmes i Watson.... Wariant Holmes — Watson odznacza się szczególną subtelnością, ponieważ autor przestawił uświęcony tradycją wygląd obu partnerów. Widocznie mit ten odpowiada czemuś, co jest nieprzemijające w naszej cywilizacji, nie z powodu charakterystyki bohaterów — nie spotyka się w życiu tak prostolinijnych osobników — lecz w tym znaczeniu, że te dwa pierwiastki: szlachetne szaleństwo i przyziemna mądrość, tkwią obok siebie niemal w każdym człowieku. Jeśli spojrzysz w głąb swojej duszy, kim jesteś? Don Kiszotem, czy Sanszo Pansą? Prawie na pewno tym i tamtym jednocześnie. Coś cię pcha do bohaterstwa lub świętości, lecz z drugiej strony siedzi w tobie pulchny człowieczek, który niesłychanie jasno sobie zdaje sprawę z tego, że życie jest cenne i że nie warto narażać skóry. Ten wygodniś, to twoje nieoficjalne ja, głos żołądka w wiecznej walce z porywami ducha. Jego marzenia sprowadzają się do miękkiego łoża, niefrasobliwego żywota, kufli piwa i kobiet o "lubieżnych" kształtach. On ściąga ci z nóg kotury i nakazuje dbać wyłącznie o twoją własną osobę; zdradzać żonę, nie spłacać długów, jednym słowem, kierować się tylko tym, co ci sprawia przyjemność. Czy dasz się jemu opanować, to już inna sprawa, lecz skłamałbyś, wypierając się go, zarówno jak popełniłbyś kłamstwo, twierdząc, że nie masz też nic w sobie i z Don Kiszota, mimo że przeważnie wszystko, co się mówi i pisze, opiera się na jednym z tych kłamstw — zazwyczaj na pierwszym.

Wbrew temu, że Sanszo Pansa jest klasyczną postacią, przeżywającą się w rozmaitych wcieleniach po całej literaturze, w życiu realnym, zwłaszcza przy istniejącym sposobie rządzenia społeczeństwem, punkt widzenia, którego jest wykładnikiem, nie bywa nigdy brany pod uwagę. Rzekłbyś, iż cały świat zaprzysiężył się, by go ignorować, lub mieć za hetkę pętelkę. Kodeksy prawne i moralne, czy też systemy religijne, są zbyt ścisłe, by móc zezwolić na światopogląd humorystyczny. Wszystko, co pobudza do śmiechu, posiada element wywrotowy, niemal każdy żart ma posmak zakazanego owocu i powodzenie sprośnych dowcipów tłumaczy się po prostu tym, że, aby móc się utrzymać, społeczeństwa zmuszone są nalegać na dość wysoki poziom moralności w dziedzinie seksualnej. Nieprzyzwoity dowcip nie stanowi, oczywiście, poważnego ataku na moralność, ale jest rodzajem myślowego buntu, przelotnym życzeniem, by rzeczy miały się inaczej. To samo z innymi żartami, stale obracającymi się dokoła tchórzostwa, lenistwa, nieuczciwości lub jakiejś innej cechy, której społeczeństwo nie jest w stanie popierać. Społeczeństwo jest od tego, by wciąż domagać się od istot ludzkich czegoś więcej niż tego, co w praktyce od nich otrzyma. Domaga się żelaznej dyscypliny i samopoświęcenia,

spodziewa się, że jego obywatele będą pracować ciężko, będą płacili swoje podatki i dochowywali wierności swoim małżonkom... Społeczeństwo musi trwać w przekonaniu, że mężczyźni poczytują sobie za zaszczyt umierać na polu bitwy, a kobiety gotowe są wycieńczać się ciągłymi porodami. Wszystko co pachnie tzw. literaturą oficjalną, opiera się na podobnych założeniach. Ilekroć czytam bojowe przemówienia generałów, mowy dyktatorów i premierów, bratnie pieśni poszczególnych zakładów wychowawczych i lewicowych związków, narodowe hymny, broszury adeptów wstrzemięźliwości, encykliki papieskie oraz kazania przeciwko hazardowi i zapobieganiu ciąży — za każdym razem wydaje mi się, że z dala słyszę chichoty milionów ludzi, których te wzniosłe uczucia bynajmniej nie pociągają. Jednakowoż, wzniosłe uczucia w końcu zawsze odnoszą zwycięstwo, przywódcy mający do ofiarowania znój, łyzy i pot doznają większej pociechy ze swych zwolenników, niż ci, którzy obiecują im bezpieczeństwo i użycie. Kiedy nadchodzi okres prawdziwego niebezpieczeństwa, ludzie stają się bohaterzy. Kobiety odważnie znoszą połów i najcięższe trudy gospodarskie, rewolucjoniści nie puszczaają pary z ust na sali tortur, okrety wojenne idą na dno z armatami, które strzelają jeszcze wtedy, kiedy pokład zalewa już woda. Tyle, że drugi pierwiastek naszej jaźni, ten próżniak, tchórz, nieplacący długów, cudzołożnik, którego hodujemy wszyscy, nigdy nie może być zgładzony całkowicie i czasem musi przyjść do głosu.

Komiczne pocztówki dostarczają mu możliwości wypowiedzenia się, w sposób bardziej ograniczony niż music halle, lecz nie mniej godny uwagi. W społeczeństwie wciąż jeszcze przenikniętym chrześcijańską tradycją, dowcipy ich skupiają się naturalnie dokoła tematu płci, w totalitarnym społeczeństwie, o ile w ogóle cieszyłby się jakąkolwiek swobodą wyrazu, dowcipy te ześrodkowałyby się na lenistwie lub tchórzostwie, w każdym razie na czymś, całkowicie niezgodnym z bohaterstwem. Nie należy gardzić tymi pocztówkami, dlatego że są ordynarne i brzydkie. Mają one być właśnie takie. Cała ich wartość i znaczenie polega na ich beznadziejnej płaskości, nie tylko w sensie sprostności, ale w powszechnym ujmowaniu zjawisk. Najbliższy znak "uszlachetniającego" wpływu popsulby je doszczętnie. Wyrażają pogląd na świat niższego tworu, środowiska, które przedstawia music hall, gdzie małżeństwo jest brudną anegdotą, lub komiczną katastrofą, komorne zalega wiecznie i odzież zastawia się w lombardzie, gdzie prawnik jest zawsze krętaczem, a Szkot zawsze skąpcem, gdzie nowożeńcy wygłupiają się w ohydnych łóżkach nadmorskich pensjonatów, i pijani mężowie o czerwonych nosach wtaczają się do domu o czwartej z rana, by natknąć się na żony w płóciennych koszulach nocnych, które czyhają na nich za drzwiami, z pogrzebaczem w rękę. Istnienie tych pocztówek, fakt, że ludzie ich poszukują jest ważnym objawem. Podobnie do music hall'ów,

stanowią one rodzaj saturnalii, nieszkodliwego buntu przeciwko cnocie. Wyrażają tylko jedną skłonność umysłowości ludzkiej, ale skłonność, która jest trwała znajduje sobie ujście jak woda. Na ogół, ludzie pragną być dobrzy, ale nie za dobrzy i już nie przez cały czas.

Albowiem:

"jest człowiek sprawiedliwy, który ginie w swojej cnocie i jest zły człowiek, który przedłuża swój żywot w złości. Nie bądź zanadto cnotliwy, ani nie staraj się być za mądry, dlaczego miałbyś dążyć do swojej zguby? Nie bądź przesadnie zły, ani nie bądź nierozważny, dlaczego miałbyś umrzeć przed Twoim czasem?"

Niegdyś nastrój komicznych pocztówek mógł wchodzić do ogólnego prądu literatury i żarty mało co różne od Mac Gillowskich, krążyły niekiedy wśród morderców w tragediach Szekspira. Skończyło się to i cała kategoria humoru — zrosnięta z naszą literaturą mniej więcej do końca siedemnastego stulecia — stoczyła się aż do tych szpetnych pocztówek, wiodących ledwo legalny żywot w oknach tanich sklepów z materiałami piśmiennymi. Kącik serca ludzkiego, który przemawia przez nie mógłby łatwo objawić się gorszymi drogami i jeśli o mnie idzie, to zmartwiłbym się ich zniknięciem.

George ORWELL.

(Tłumaczyła z upoważnienia autora Teresa Skórzewska)

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY

I INSTYTUTU LITERACKIEGO

NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą „Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać się do wymienionej firmy

Rozmowy w ciemnościach

Z kół skrajnie nacjonalistycznych w Palestynie (fronda Rewizjonistów) spytano mnie, czy bym nie zechciał mówić z jednym z przywódców słynnej organizacji terrorystycznej Sterna.

Sternowcy uprawiali terror czynny wobec Anglików, którego nie zaprzestali z chwilą wybuchu wojny.

Ów przywódca był poszukiwany przez Anglików i nie mógł rzekomo wychodzić na ulice za światła.

Razily mnie nieco te ostrożności, które uważałem za bluff.

Późnym wieczorem rozległo się do moich drzwi umówione pukanie.

Byłem w mieszkaniu, według obietnicy, sam i otworzyłem, jak było zastrzeżone, osobiście. We drzwiach stał młody człowiek z wojskową aparycją. Powitał mnie wyprostowany hebrajskim pozdrowieniem: Szalom (pokój).

— Nie, to nie ja mam z panem rozmawiać — powiedział, gdy mu wskazałem fotel. Obrzucił baczny okiem pokój, poprosił o możliwość obejścia mieszkania.

— Pański gość zaraz się zjawi. Szalom...

Zaraz potem w niezamkniętych drzwiach stanął zapowiadany:

— Zawadzki jestem.

Uśmiechnąłem się, dając tym do zrozumienia, że orientuję się, że nazwisko jest zmyślone.

Odpowiedział mi lekkim poruszeniem ramienia i szybkim spojrzeniem mi wprost w oczy. Tkwiąc od dłuższego czasu w atmosferze żydowskiej, nauczyłem się percypować tę nieuchwytną mowę ćwierćgestów bez słów. Przybysz nią mówił:

— Wierzę ci, przychodzę z otwartym sercem. Ale coś chcesz — konieczności są ponad nami.

Zapadł w głęboki fotel, na który był dyskretnie skierowany półcień lampy. Miał wyraziste rysy, ale nie prononsowane semicko w sposób jaskrawy, wielkie palące oczy i głos o niskim i wciągającym brzmieniu.

OD AUTORA. Jest to fragment parotomowej pracy o Żydach. Właściwa więc treść dwóch nocnych rozmów zasila inne rozdziały. Okrzyk rozpaczny Sterna, że Żydzi są zarazą świata jak również allokucja autora mogą być zrozumiane tylko w kontekście całości, która operuje kontrastami.

Jeszcze nie zorientowałem się jakiej skali duchowej człowiek siedzi przede mną i zacząłem pytaniem prowokującym:

— Skoro jest wojna z waszym największym wrogiem, Hitlerem, to czemu tu awantury wyprawiacie i utrudniacie sprawę Anglikom?

Tego rodzaju zaaplikowanie arogancji zwykle działało podniecająco, przyspieszało i wyostrzało reakcję.

Ale w danym wypadku chwyt wydał się chybiony. Po twarzy przybysza przebiegł cień przykrości i przymusu. Podniósł na mnie oczy, czułem, że mnie taksuje i że w tej chwili waży się los rozmowy.

— Największym wrogiem narodu żydowskiego nie jest Hitler — odpowiedział z hamowanym rozdrażnieniem.

Już przez te kilka minut stał mi się na tyle bliski, że zrozumiałem, że nie mam przed sobą płytkiego zapaleńca, który odpowie, że największym wrogiem żydów są Anglicy, bo utrudniają imigrację, albo Polacy, bo reprezentują zdecydowany antysemityzm (Wódz duchowy rewizjonistów, Żabotyński, pouczał, że polski antysemityzm jest antysemityzmem "Of thing" — rzeczowym w odróżnieniu od rosyjskiego i niemieckiego antysemityzmu "of man"). Siedziałem cicho, rozumiejąc, że gość odpalił płyciznę mego zapytania, że, sprowokowany, może powiedzieć parę paradoksów i zakończyć wizytę.

Wybrał drogę pośrednią. Przygaś i począł referować sytuację: dzieje powstania Irgun Zwi Leumi (Narodowej organizacji Wojskowej) jako protestu przeciw organizacji biernej samoobrony (Haganah), secesję Sterna z Irgunu, walkę terrorystyczną przez niego organizacji i jej cele.

Płynęła noc. Słuchając opowieści o bohaterskich chłopcach i dziewczętach, o zamachach ich słabymi i zuchwałymi rękoma, o badaniach i torturach, które nic wyrwać z milczących ust nie mogły, zdawało mi się, że wskrzeszam w swojej wyobraźni dzieje Żelotów, walczących z Rzymianami, dzieje "szikarich", organizacji sztyletników-skrytobójców, którym wśród Żelotów było jeszcze za spokojnie.

— Czy wasi dowódcy, Stern i Jair są równorzędni?

Podrzucił głowę i spalił mię wzrokiem. Czułem, że jakieś wyznanie ciśnie mu się na usta. Czułem, jak się, niewypowiedziane, zapada. Powiedział tylko:

— Stern przyjął nazwisko Jair. Abraham Jair ben Jair.

Spojrzał w okno:

— Szarzeje. Czas na mnie.

Uśmiechnąłem się bezradnie:

— Dał mi pan wiele informacji. Ale nic mi pan jeszcze nie powiedział ze swojej duszy, ze swojej żydowskiej duszy. Pan rozumie — obaj jesteśmy z Polski i z tak odrębnych światów. Czy mi pan pomoże?

Znowu mu błysnęła twarz. Miał twarz mówiącą rozświetleniami wewnętrznymi.

«My, Żydzi, nas słońce nigdy nie widzi... My tu na wieki wyklęci, jak ogromne cherubiny, co w trumnach zakłute siedzą» — zacytował Słowackiego. — "Niech pan mnie czeka jutro o tej samej porze".

Poszedł.

I kiedy biały świt wszedł do pokoju i cicho było w zamartwym mieście, szedłem za nim w myśli przez puste ulice Tel-Aviv, usiłowałem sobie wyobrazić jego konspiracyjne legowisko. Co powie swemu wodzowi, Jairovi, o tym Polaku, który równocześnie podziwia i wielbi Żydów i mówi, że jest antysemitą?

Jair... El-Azar-Ben-Jair, potomek wodza Żelotów, Judy, który, kiedy Rzymianie wkraczali do Galilei, stracił w przepaść pieczary, w której się ukrywał, córkę i sześcioro wnucząt. Jego potomek, Jair, wódz sztyletników, kiedy oblegana przez Rzymian twierdza Massada nad Morzem Martwym nie miała już kruszyny jedzenia, kazał, według Flawiusza, pozabijać kobiety i dzieci, potem dziesiętnikom pozabijać swoich żołnierzy, potem setnikom, swoich dziesiętników i wreszcie siebie. Wkraczający Rzymianie znaleźli trupy dziewięciustu dobrowolnie wymordowanych.

Pogrążyłem się we Flawiuszu.

Nieśmiałe pukanie przywołało mnie do rzeczywistości. Był pełny ranek. W drzwiach stał wychudły inteligent w pince-nie z na nerwowej twarzy.

— Ach, to pan, panie doktorze? — spytałem, starając się ukryć zniecierpliwienie i, zreflektowawszy się, zakupiłem od wygnańca spod Hitlera drugą już parę szelek.

"Zawadzki" przyszedł nocą następnego dnia bez poprzednich ostrożności. Była to zimna styczniowa noc i płońął kominek. Gość wyciągnął ręce do kominka:

— Jak u nas w Polsce.

I zaraz roześmiał się na to "u nas".

— Widzi pan, jakie to silne? Pochodzę z Suwałk, ojciec mój tam był dentystą.

Nie znałem Suwałk, ale powiedziałem:

— Nie przypominam, aby w Suwałkach był dentysta Zawadzki.

Roześmiał się nagle pustym chłopięcym śmiechem, śmiechem chłopca, który płała figla:

— Ale był inny, który nazywał się inaczej.

I zaraz, jakby przeląkłszy się, aby żart nie poszedł za daleko, począł mówić o błotnistych uliczkach Suwałk, o chederze w drewnianym domku, gdzie uczył się "Alef-Beit", pierwszych liter alfabetu hebrajskiego, o długich godzinach spędzonych nad talmudem.

— Dobrze znam Torę i Talmud — powiedział — to znaczy o tyle dobrze, o ile można znać nieogarnięte morze. Sięgałem

do Kabały. Mistyka cyfr ma dla mnie nieprzeparty urok. Wierzę w trzynastkę. Kiedy przychodził rok 5701 (1941), drżałem ze wzruszenia. Istotnie, w tym roku nastąpił rozłam w Irgunie. Wie pan, jestem pogrobowcem i organizacja była mi ojcem.

Spojrzałem na kalendarz: stała na nim data — 13 stycznia 1942 r.

Wzrok jego pobiegł za moim:

— Data wróży, że rozmowa nasza będzie ważka. Pan jest oczami i uszami narodu, w którym żyje trzy miliony Żydów.

— Obskakuję tę bryłę żydowską dookoła — powiedziałem — by zrozumieć jej kształty i wymiary. Gdy wracam na dawne, obejrzone, miejsce, już naświetlenie się zmieniło. A przecież ta bryła, to nie tylko kształt oświetlany z zewnątrz. Sama jaśnieje i mierzchnie, zmienia kolory. Gdybyż tylko kolory — ta bryła dźwięczy wszelkimi pogłosami od harfy Dawida do jazz-bandu. A te procesy chemiczne, które w niej zachodzą... Więcej ich jest, niż symboli w chemii socjologicznej.

Poznałem dobrze wasze dzieje, waszą literaturę, wielbię wasz geniusz. Z drugiej strony nie mam słów na zmierzenie krzywdy duchowej, którą żydowska obcość w Polsce przynosi. Nie myślę, żeby ta obcość znikła i poczynam was nienawidzić w codziennym dniu polskim. Myślę, że jeśli się nienawidzi cokolwiek, co stworzył Pan Bóg — rośliny, zwierzę, człowieka, to tylko przez nieumiejętność patrzenia na świat. Człowiek, który asocjuje osot z kluciem, a nie z przepyszną sylwetą na tle zachodzącego słońca, kota — z drapaniem, a nie z przedziwną puszystą gracją — jest człowiekiem zubożonym. Nie lubię ludzi, którzy mówią — "Nie znoszę kotów". Mam małe nabożeństwo do ludzi, którzy nienawidzą jakiegoś narodu. Kiedy w dniach wrześnieowych szedłem polem z córką i lotnik niemiecki naleciał i ostrzeliwał bezbronnych pastuszków, córka mi powiedziała: "Niepokoi mnie, że nie umiem nienawidzić Niemców". Wtedy poczułem się wynagrodzony za lata jej wychowania. Ale — położyłem rękę na jego rękę — szanuję tych, co pozbywają się z pola ostu, gdy im grunt potrzebny pod uprawę. Czy pan teraz nie żałuje dwu straconych nocy?

Gość mój podniósł wzrok gdzieś w przestrzeń i zaczął mówić jakby do siebie, jakby się modlił. Piękna jego polszczyzna wpadała w lekki recitativ:

«I rzekłem: Biada mnie. Jużem zginął, przeto, żem człowiek splugawionych uarg.

«I przyleciał do mnie jeden z Serafinów, mając w swej ręce węgiel rozpalony, który wziął z ołtarza.

«I dotknął ust moich a rzekł: oto się dotknął ten węgiel ust twoich, a grzech twój zlagodzony będzie.»

— Z Izajasza — szepnąłem.

— Panie Wańkowicz — sprowadził nagle oczy na ziemię i uderzył nimi we mnie. Nie wrogiem pan jest a sojusznikiem. Żydostwo tonie w powodzi fałszu, którym zatruwa siebie i świat.

Ratujcie Żydostwo, bo to jest bezcenny walor ludzkości. W krwi naszej jest tyle wiekowego dynamizmu, że jak nam nie dacie Palestyny, rozsadzimy świat. Marks, Trocki, Radek — to tylko zepsuta wysokogatunkowa krew żydowska. Herzl powiedział, że staliśmy się biczem narodów. Wedgewood, czy Dorota Thomson, czy inni zawodowi współczuwacze zbledną i odstąpią nas, kiedy dowiedzą się prawdy o Żydach, których nie rozumiemy. I tylko patrzeć, że kolejny raj amerykański stanie się kolejnym piekłem. Innych mamy, potężniejszych sprzymierzeńców — antysemitów międzynarodowych. Tylko oni pomogą nam przeprowadzić kolejny exodus Żydostwa. Narzekacie na nas? — To pomóżcie temu wielkiemu dziełu uzdrowienia nie tylko Żydostwa, ale i ludzkości. Zaraz po wojnie niech Polska da dziesięcioletnią opcję Żydostwu. Kto będzie optował na wyjazd, nim wyjedzie, będzie miał pełną ochronę prawa, a kiedy będzie wyjeżdżał, będzie mu można zabrać jego majątek. Większość biedaków jednak nie tylko nie będzie miała kapitału do wywiezienia, ale i na kosztą przejazdu. Więc ci Żydzi, którzy będą optować na Polskę, będą obłożeni na rzecz palestyńskich optantów specjalnym podatkiem. Mówi się, że państwo nie może przecie obciążać kogoś ciężarami kogoś, kto jest mu wierny i za nim optuje. Ależ to leży w interesie samych pozostających Żydów. Skoro pozostają, to znaczy chcą się asymilować; asymilacji przeszkadza antysemityzm, a antysemityzm będzie tym mniejszy, im mniej będzie Żydów w kraju. Zapłacą... Wielka rzecz... Żydzi przez wieki płacili antysemityzmowi, mogą opłacić mu się po raz ostatni. Zapłacą... — darmo nic się na świecie nie dzieje. Jak się chce przeprowadzić z jednej ulicy na drugą, to już mnie kosztuje, jak z miasta do miasta, to jeszcze więcej; cóż dopiero za koszt należy ponieść przy przeprowadzce z jednego obszaru kulturalnego do drugiego. Nie darmo...

Zamilkł podniecony. Z nocy stojącej za oknem buchnął nagły gwar. To goście z klubu bridgowego na ulicy Hessa, rekrutujący się przeważnie z uchodźców niemieckich, opuszczali lokal. Jakaś płaska, zadowolona z siebie niemczyzna wpłynęła do pokoju.

Mój gość przygaśł i zaczął mówić zduszonym głosem (znowu podziwiałem tę gamę wewnętrznych światłocieni rozświetlających jego mowę — było to w stosunku do ekspresyjnego sposobu mówienia mas żydowskich jak mazurek Szopena do mazurków tańczonych po wsiach):

— Czytał pan o marszu półtora tysiąca Żydów z Włodzimierza i Hrubieszowa, wygnanych pod eskortą gestapowców rzekomo nad granicę sowiecką, do Bugu? Mało który z nich doszedł. Mój naród leży po ogromnych połaciach Europy jak trzcina ścięta, jak straszliwy pokos. Wie pan, czego się obawiam — zacisnął rękę na moim kolanie — że jak tylko alianci zwyciężą, deszczyk liberalny, dobroliwy pokropi na ten zeschnięty pokos — panie (poczułem jego kurczowo zaciskające się palce) — mój naród jest taki żywotny! Ta zeschnięta trzcina znowu za-

zielenieje, puści kielki w ziemię. Ci — wskazał za okno w kierunku wrzasków — na to tylko czekają. Pan wczoraj pytał, kto jest największym wrogiem Żydostwa — to właśnie, co tkwi potencjalnie w tej hołocie. Na kolanach by wracali, za cenę wszelkich poniżeń, oszustw, okłamywań, za cenę nic nie wartych maskarady, za cenę bezsilnego w gruncie rzeczy szantażowania wpływami międzynarodowymi narodów-gospodarzy. Wtedy od razu powinien być gotów plan, ludzie, organizacja, pieniądze, wtedy, od początku, powinny być ośmielone narody, aby nie ulegały międzynarodowym szantażom i naciskom, aby nie udawały tolerancji jak po tamtej wojnie; na wozy zeszlą trzcinę, na wozy i wieźć tu, do Palestyny.

Głos mu się zrobił zupełnie głuchy. Siedział nieruchomo, a przecie przysiągłbym, że się kiwa w zawroźdzeniu:

— Jeszcze raz rwać wrosłe spotężniałe korzenie — szarpał ze siebie słowa i zdawało się, że każde płynie krwią — jakież Prometeusz jaką męką nastarczy tyłowiekowemu cierpieniu, jakież naród nadaży regenerować żywą krew?

I znowu poczęło szarżyć, kogut zapiał w obejściu kamieniarza Segala.

Człowiek-widmo, tropiony i czający się, człowiek-duch narodu-widma, skierował się do wyjścia. Wzburzony, odprowadzałem go, nie mogąc chwilowo porozstawiać w głowie bagażu, który mi wwalił. Wstał we mnie niepokój dziecka, któremu ktoś zsyłał różnokolorową łamigłówkę, każąc z niej ułożyć wzór logiczny i odchodzi, zabierając ten wzór. Spojrzeć, upewnić się...

Trzymając rękę na futrynie drzwi, kiedy on już był na schodach, zapytałem:

— A więc... pan akceptuje ten marsz do Bugu? Tę rzeź, którą Hitler wszczyna?

Na klatce schodowej płonęła słaba żarówka. Podniósł twarz i zobaczyłem, że nie ma w niej kropli krwi. Widziałem, że chciałby uciec od męki odpowiedzi, ale po dwu nocach rozmowy odwrotu nie było.

— Tak — ściał krótko i ruszył w dół.

— Czemu? — krzyknąłem w to, co znika.

Zatrzymał się na platformie o pół piętra niżej:

— Bo my, Żydzi, jesteśmy zarazą świata — powiedziała do mnie ciemność, w której się roztopił.

Brzask już prószył na Flawiusza, pozostałego od wczorajszej lektury na biurku. Przeszyło mnie przypomnienie, że Flawiusz, kapłan żydowski, uważał Wespazjana, burzyciela świątyni, sprawcę rzezi żydowskich za "Adira" ("Potężnego"), przez którego Izrael będzie wybawiony. Przypomniłem komentarze, że Mesjasz nie ma być Żydem. "Słowo Mesjasz, i owo stare posępne słowo "Adir", wróżące, że Jahwe pobije Izraela, aby go rozgrzeszyć — to było jedno i to samo i ten Rzymianin przyszedł, aby słowo to spełnić" (22).

Wiedziałem, że już więcej długo do mnie nie przyjdzie. Tak uprzedzałem.

Tylko jeszcze na drugi dzień zjawił się do mnie młody człowiek. Wyprostował się:

— Z rozkazu chawera Zawadzkiego.

Wręczył pakiet, powiedział "Szalom" i znikł.

W paczce znalazłem właśnie wydaną książkę Żabotyńskiego "The Jewish Warfront".

W tydzień potem dwóch wyższych oficerów angielskiej policji politycznej wciągnięto fałszywym meldunkiem do mieszkania, w którym drzwi otwierane spowodowały wybuch bomby. Obaj oficerowie polegli i w całym małym kraiku rozpoczęła się wściekła nagonka.

Byłem niespokojny o mojego gościa. Miałem dosyć dobre kontakty z rewizjonistami, ale o Zawadzkim nikt nic nie wiedział i nie słyszał. Opędzano się z pewnym zniecierpliwieniem moim dopytywaniom, bo wszystkich uwaga była napięta do granic ostatecznych zapytaniem czy złapią Szterna. On był centralną osobą, o jego głowę toczyła się gra.

W kilka dni po wybuchu otrzymałem odpowiedź z nieoczekiwanej strony. Przechodząc koło synagogi, zobaczyłem na murze ogrodzenia list gończy z fotografiami:

The Palestine Police Force REWARDS

Rewards as set out below will be paid by the Government of Palestine for information leading to the apprehension of any of the persons named hereunder who are members of the organisation responsible for the explosion which occurred at N. 8 Yael str., Tel Aviv, on Tuesday, January 20th, 1942.

Reward 1.000 pounds. Abraham ben Mordechai Stern, alias Yair.

Reward 400 pounds. Yakov Polani, alias Poliyacof.

Reward 200 pounds. Nahman Shulman.

Pod fotografią Polaniego poznałem owego pierwszego młodego człowieka, który poprzedził wizytę "Zawadzkiego".

A z fotografii Sterna — patrzył na mnie palącymi oczami mój nocny gość.

Wkrótce policjanci zabili go na miejscu, jak psa, dopadłszy w którymś z konspiracyjnych mieszkań.

Było to — jedenastego lutego 1942 r.

Na obwieszczeniu było napisane: 11. 2-go.

Cyfry mi kabalistycznie zlewały się przed oczami, aż wreszcie 11 i 2 bezwiednie dodałem i szepnąłem:

— Trzynastka.

"ORZEŁ BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: **GRYF PUBLICATIONS LTD.**

59/61, Hatton Garden — London E.C.1.

Tel. CHAncery 5094.

ADRES REDAKCJI: c/o **R. PIESTRZYŃSKI,**

32 Blenheim Gardens — London N.W.2.

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.*

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● P r e n u m e r a t a :

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles
nr. konta pocztowego 3172.28.

W ARGENTYNIE: *Skladnica Książki Polskiej*, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

CARLTON BERRY LTD.,

Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Trzy postacie w niebieskim ubraniu

W latach 1895 — 1896 Berlin jasno płonął jaskrawymi ogniami modernistycznej literatury. Był to szczyt powodzenia i uznania Skandynawów i Niemców. Jaśnieli w Berlinie: August Strindberg, Ola Hanson, Schlaf, Gerhard Hauptmann, Ryszard Dehmel, no i — świetny powieściopisarz niemiecki, Stanisław Przybyszewski. Był to również okres bujnego życia nocnego. Kabarety, tanz-budy i gabinety modnych restauracji oczekiwały winem, światłem i muzyką. Młodzi chłopcy i dziewczęta wykradający się w tajemnicy przed kuratorami i rodzicami z pilnie strzeżonych willi, stanowili kwiecistą łąkę, złożoną z różowych twarzączek pań, ich pstrych, kosztownych kapeluszy, długich, przeważnie jedwabnych, aksamitnych, gazowych, albo ciężkich brokatowych sukien, które z czarnymi frakami chłopców tworzyły niezwykle tło dla genialnych przywódców i pisarzy bo hemy we wszystkich lokalach, gdzie podawano absynt, grano Szopena, popełniano samobójstwa i napełniano przerażeniem prusactwo.

Był między nimi młody człowiek, Polak, student muzyki, kompozycji i kontrapunktu. Posiadał piękny głos i marzył, by zamiast pianistą zostać śpiewakiem. Nazywał się hrabia Karol Hubert Rostworowski. Nie dane jednak było mu zostać ani pianistą, ani kompozytorem, ani śpiewakiem. Po powrocie z Berlina do Krakowa następuje u Karola Huberta zupełny przełom. Młodziutki chłopak rzuca wesołe towarzystwo i muzykę. Zaczyna czytać, ima się studiów filozoficznych. Pochłania go historia chrześcijaństwa, później staje się w tej dziedzinie jednym z najbardziej czytanych młodych ludzi w Krakowie. Wreszcie zaczyna pisać.

Karol Hubert Rostworowski, urodzony w 1877 roku, debiutuje zbiorem wierszy pt. "Tandeta" (1903). Utwory były przeciętne, ale tytuł na owe czasy odważny. Nie było to jednak pierwsze dzieło młodego zelanta. Napisał on w latach 1898 — 1902 dramat pt. "Pod górę". Trzymał go jednak w szufladzie i zadebiutował nim bez echa w kilka lat później. Pisząc wiersze, studiując z zapalem literatury starożytne, wciąż opętany jest myślą o teatrze. Magia teatru jest tak silna, że niezrażony pierwszym niepowodzeniem pisze trzy sztuki: — "Echo", "Żeglarza", "Bratnie dusze".

Nie łatwo jednakże było wtargnąć na scenę po sztukach Wyspiańskiego, Przybyszewskiego, Zapolskiej czy Rydla albo Kazimierza Tetmajera. Dopiero w roku 1913, Rostworowski zdobywa sobie wybitną pozycję wspianiałym dramatem pt. "Judas z Kariotu". Napisany i wystawiony w czasie wojny "Kaligula", w roku 1916 — 1917 wysunął Rostworowskiego, jako najwybitniejszego wtedy dramaturga polskiego, oryginalnego i zupełnie niezależnego od swych poprzedników. Po tych dwu dramatach miała nastąpić dalsza seria dramatów historycznych, których ukoronowaniem miał być "Czerwony marsz", poświęcony wielkiej rewolucji francuskiej. Różne przyczyny i przeszkody zniszczyły ten plan. Rostworowski nigdy już nie napisał następnych ogniw dramatycznych, zboczył z zakreślonej pierwotnie drogi, a w roku 1930 opublikował zaledwie urywek "Czerwonego marszu".

Z innych jego dramatów, gotyckiej ascezie figur i języka, żywemu dialogowi poetyckiemu, oraz namiętnemu ładunkowi lirycznemu, zawdzięcza swój surowy charakter, napisane jak średniowieczne misterium: "Miłosierdzie", dobry dramat, wystawiony w 1920 roku. Ani ładnie wydane, z pięknymi ilustracjami Józefa Mehoffera, wystawione bez powodzenia "Straszne dzieci" (1922), ani "Zmartwychwstanie" (1923), nie wniosły, mimo pięknych fragmentów, niczego nowego scenicznemu i artystycznie do dorobku autora "Kaliguli". Potwierdziły one tylko starą prawdę, że jeśli poeta ulega zbyt mocno otoczeniu, a daje się odwieść od swych własnych zamierzeń, rezultaty tego są przeważnie opłakane. Siła Rostworowskiego polegała bowiem na ewokacji czystego i prawdziwego teatru. Teatralnym walorom sztuka jego zawdzięczała swe powodzenie, a nie temu, że poeta opiewał miłosierdzie, chrześcijaństwo, katolicyzm, czy wierzenia religijne. Nawrót do Mickiewicza w "Zmartwychwstaniu" był anachronizmem; takich pomyłek nie wolno popełniać bezkarnie świadomemu artyście. Gdyby Rostworowski nie umiał być zbudować dobrego dramatu nic nie pomogłoby mu tysiąckrotne westchnienie do świętych pańskich, czy opiewanie rozkoszy pokory i przebaczenia.

Tak samo nieudaną sztuką był "Antychryst" (1925), w którym położyły dramat trzy błędy: wadliwa i nieinteresująca scenicznie konstrukcja, temat antysemitki, częstochowskie wiersze.

Na tym zamykają się dwa właściwe rozdziały twórczości dramatycznej Rostworowskiego, oparte na dramacie poetyckim, napisane mową włazaną: pierwszy młodzieńczy, skromny i bez echa; drugi dojrzały, męski, z najlepszymi osiągnięciami — których później już nie prześcignął — "Judaszem" i "Kaligulą".

Trzecia epoka jego dramaturgii — kiedy pisarz już był powszechnie znany i uznany — zakończyła się doprowadzoną konsekwentnie do końca trylogią teatralną, składającą się z "Niespodzianki" (1929), "Przeprowadzki" (1930) oraz "U me-

ty" (1932). Trylogia napisana jest prozą i, bez względu na swój naturalizm, teatralnie jest rozwiązana doskonale.

Oceniając dziś, już z należytej perspektywy, dramaturgię działalności i dorobek Rostworowskiego można nazwać go bez przesady, wielkim polskim pisarzem teatralnym, jednym z wielu jakich posiadaliśmy; jego niektóre dramaty sceniczne są zbudowane lepiej niż najlepsze utwory Wyspiańskiego czy Jerzego Szaniawskiego. Stary Rostwór miał pazurek potężny, używał go nie do rozdrapywania narodowych ran, ale wydarł nim z historii, lektury, życia i pasyj, które im miotają, dobry, przyzwoity, na poziomie, współczesny, nie gorszy od niemieckiego czy rosyjskiego, polski dramat sceniczny.

Polityka bywa bardzo często nieszczęściem i zgubą polskich autorów. Gubiła ona także Anglików, Francuzów, Niemców, Włochów i Hiszpanów, ale w praktyce dla Polaków i Rosjan była to i jest wciąż jeszcze prawdziwa jama grobowa. Rostworowski uchodził i sam się uważał, za endeka. Takim go poznałem jeszcze w roku 1927, na wiosnę, podczas odczytu o przewrocie majowym, wygłoszonym przez niego w ratuszu nowosądeckim.

Muszę powiedzieć, że Rostworowski był wspianiałym, genialnym, wstrząsającym do głębi mówcą. Daszyński nie wywierał wtedy takiego wrażenia, chyba w swej młodości. Rostworowski, wysoki, o rzymskiej twarzy, orlim nosie, płonących oczach, nerwowych, pięknych rękach, z głosem jak piorun w chwili oburzenia, delikatnym jak płacz struny skrzypcowej w chwili wzruszenia, mówił tak, jakby walczył wewnątrz niego szatan z aniołem. Na słuchaczach wywierał wrażenie Savonaroli, który włożył na siebie purpurę kardynała i świecił tak, jak słup ognisty. Słuchając go w ratuszu nowosądeckim, nie myślałem, że za lat pięć czy sześć będziemy się mierzyć, nie tylko na słowa, ale na idee. Pamiętam ostatnie nasze widzenie się w Krakowie w roku 1935. Przemawiałem ostatni na posiedzeniu Związku Zawodowego Literatów, na którym obaliliśmy Rostworowskiego, jako prezesa. Przede mną mówili: Kudliński, Polewka, Kruczkowski, Czachowski. Rostwór roznosił ich na puch. Nie lubiłem takich operacji, zwłaszcza, że Rostworowski chorujący od wielu lat na gruźlicę, gdy się zapalił, a potem zakaszał, wyjmował dramatycznym ruchem ebonitową skrzyneczkę, po czym wszystkim krew ściekała do serca, gdy kaszał do tej skrzynki. Miałem poza tym wielką admirację dla jego znakomitej wymowy. Wreszcie, mimo że dzieliło nas zupełnie wiele rzeczy, jak poglądy polityczne, pochodzenie, stosunek do zagadnień literackich, a Rostworowski był ponadto wówczas jeszcze członkiem Akademii Literatury, miałem prawdziwy szacunek dla tego doskonałego pisarza. Musiałem jednak wystąpić z namiętną mową przeciwko niemu. Mówiłem chyba pół godziny. Rostworowski wstał po skończeniu, uściśnął mnie, podziękował za przemówienie i przyznał mi słusność. Rozstaliśmy się jak najlepiej; wybraliśmy go zresztą ponownie prezesem.

Rostworowskiego poznałem osobiście w jesieni w roku 1928. Zrobiłem z nim wówczas jeden czy dwa wywiady dla „Głosu Narodu”. Mieszkał w starej kamienicy, na starej ulicy św. Jana, o ile się nie mylę, pod numerem jedenastym. Szło się do niego długą sienią o skrzyplącej, wyłożonej deskami podłodze. Zadałem mu wtedy pytanie — którym był bardzo zaskoczony — czy senatorzy w „Kaliguli” nie zostali sportretowani, przynajmniej częściowo, z otaczającej go rzeczywistości podczas wojny. Rostworowski wspaniałym gestem uderzył mnie w kolan, wykrzyknął ze śmiechem:

— A to pyszne! Oczywiście, bardzo wiele cech z „radców” ówczesnego NKN-u wpakowałem do „Kaliguli”. Rozumie się — ujemnych i śmiesznych. Cóż to byli za głupcy!

Przez kilka lat spotykaliśmy się często, a także z jego udziałem odbył się raz wieczór literacki pod bardzo miłym dla mnie tytułem: „Od Rostworowskiego do Czuchnowskiego”. Rostworowski we fraku, to wzór dla malarza, jak powinien wyglądać prezydent państwa Polaków.

Polityka, która zjadła wiele lat jego życia, nie wyszła jednak na dobre jego twórczości. W okresach najintensywniejszej jego działalności na rzecz Obozu Wielkiej Polski przypadają najslabsze jego utwory. W okresie, kiedy zarzucał wiecowa i dziennikarską działalność polityczną, na kilka lat przed śmiercią, nastąpiło ponowne odrodzenie jego pisarstwa. Nie był on również szczęśliwy w swej twórczości lirycznej czy dydaktycznej lub okolicznościowej. Tomiki poetyckie były bardzo słabe. Natomiast dałoby się wyszukać dużo dobrego w jego essayach teatralnych, recenzjach i szkicach.

Ostatnią od niego wiadomość otrzymałem po wydaniu „Powodzi i śmierci”, a potem „Cynku”. W rok później, w 1938, Rostworowski zamknął oczy na zawsze i został pochowany na cichym, półwiejskim cmentarzyku, na Salwatorze w Krakowie.

Po śmierci Rostworowskiego prasa rzuciła się z artykułami, wspominkami, jedni szarpali, drudzy chwalili pisarza, który odszedł w pełni wieku. Okazało się, że pozycja, którą zyskał sobie Rostworowski w literaturze polskiej była pozycją wielką. Okazało się także, że najwyższe, najlepiej ocenili, a z największym szacunkiem i zarazem głębokim żalem żegnali zmarłego poecie pisarze żydowcy, syjoniści. Poświęcono mu specjalne wydania „Nowego Dziennika” w Krakowie i „Naszego Przeglądu” w Warszawie, w których można było znaleźć daleko cenniejsze i bardziej odkrywcze przyczynki literackie do jego twórczości, napisane przez jego przeciwników, niż w ówczesnych organach Stronnictwa Narodowego, gdzie, niestety, ukazały się szare, bezbarwne, nie nie znaczące dla kultury, artykuły i wspomnienia powtarzające leniwe frazesy.

◆
Dobrzy poeci rodzą się na kamieniu. Doskonali poeci rodzą się na kamieniu szerokim, jak młyńskie koło, w ziemi bujnej, zdrowej i urodzajnej. Prowincja była zawsze matką polskich

poetów i artystów. Na palcach można liczyć wielkich Polaków, którzy urodzili się w miastach. Nic w tym dziwnego. Miasta polskie przez całe wieki nie były centrami życia umysłowego, a zwłaszcza głównymi centrami bardzo solidnej kultury intelektualnej. Były zaś nimi dwory lub małe, stare, zbudowane z polnych kamieni miasteczka prowincjonalne. Kultura polska była zdecentralizowana, a nawet w okresie dwudziestoletniego istnienia nowoczesnego państwa polskiego centralizacja napotykała na twarde opory. Warszawa wcale nie była jedyną duchową stolicą Polski, chociaż bardzo usilnie ubiegała się o to. Na stolice duchowe Polski składały się prowincjonalne ośrodki, które prawdopodobnie w ciągu pięćdziesięciolecia, gdyby mogły się być połączyć, dałyby jedno intelektualne centrum.

Wbrew urojonym pretensjom i fałszywej legendzie w Warszawie bynajmniej nie od razu przebywali najlepsi i najcenniejsi polscy artyści w okresie dwudziestolecia. Dopiero potem, w drugiej jego połowie, kiedy pulsujące żywym życiem artystycznym ośrodki prowincjonalne opuścili częściowo doskonali artyści, udający się za chlebem do stolicy, Warszawa błyszczała istotnie wszystkimi rodzajami talentów.

W latach 1917 — 1928 ośrodkami najradykałniejszej formacji, najbardziej europejskiej poezji, w sensie francuskim czy hiszpańskim, włoskim czy angielskim, były Kraków i Lublin, potem w latach 1930 — 1939 tak samo Kraków, wreszcie Wilno i Warszawa.

Lublin ze względu na swoje położenie geograficzne, a także ponieważ było to stare miasto trybunalskie, stał się po pierwszej wojnie światowej jednym z naprawdę żywych centrów politycznych, społecznych, umysłowych i literackich. W Lublinie powstał w r. 1918 pierwszy rząd Polski Niepodległej. Stąd rozeszły się po Polsce radykalne powiewy. Tutaj schroniło się po runięciu Niemiec, Austrii i Rosji carskiej wielu wybitnych socjalistów, rewolucjonistów, radykałów i ludowców. Kiedy w Krakowie szaleli w poezji i w malarstwie formiści i futuryści, kiedy powstała Awangarda ze „Zwrotnicą” na czele, wprowadzając w osłupienie, potem w przerażenie mieszczan krakowskich, sen z oczu lubliniaków spędzało żywe, napastliwe, światoburcze i twórcze pismo „Reflektor”. Koło „Reflektora” skupiła się grupa poetów, plastyków, rysowników i literatów, którzy gorszyli swymi wystąpieniami wąsatych ziemian z okolicy, a cieszyli szczerze starych radykałów z PPS-lewicy, starych sybiraków, która spora garść tu żyła, ludowców z Ratajem na czele, zdobywając sobie sympatię i prawdziwe uznanie młodzieży.

Do najbardziej żywych i buńczucznych poetów należał wtedy Konrad Bielski, niesłusznie zapomniany, doskonały liryk, który, mimo sprawowania funkcji obrońcy karnego, przez cygańskie życie, roztrwonął dużą część swego wielkiego talentu pomiędzy przyjaćlami, czerpiącymi obficie z jego inwencji. Bielski stał się głośny również przez to, że jego utwór był pierwszym utworem polskim, który dotarł na sejm. Mianowicie, po

konfiskacie "Reflektora" przez cenzurę w związku z tym utworem, Kazimierz Czapiński stanął w obronie poety; utwór przeczytał w sejmie, co dawało mu immunitet i mógł być potem ogłoszony w prasie, jako wyjątek ze sprawozdania sejmowego, a treścią swoją, na owe czasy bardzo odważną, narobił wiele hałasu. Treścią utworu było nowe w Polsce liryczne ujęcie społecznej tendencji. W wierszu tym Bielski przedstawił scenę z ukrzyżowania Chrystusa podczas nagrywania się z niego gawiedzi, zgromadzonej pod krzyżem, której wtóruje łotr z lewej strony. Chrystus, wysłuchawszy wszystkich szyderstw, zwrócił się do łotra z prawej, żądając, by zeszedł z krzyża, ponieważ i on sam z krzyża zejdzie, gdyż takich łajdaków, jak ta gawieź, zbawiać nie warto. Trudno jest zdać sobie sprawę z wartości artystycznej tego utworu na podstawie niedołężnego streszczenia, ale był on świetny, w tendencji moralny, poetycko nowy i wstrząsający. W grupie "Reflektora" była, również nieślusnie zapomniana, znakomita i subtelna poetka Arnsztajnowa, — polska Achmatowa — rozsiewająca swe liryki w lubelskich pismach a także w "Reflektorze". Znając dobrze nowoczesną poezję francuską i rosyjską, Arnsztajnowa, z polszczyzną tak czystą i piękną, jak muzyka, była prawdziwą ozdobą grupy.

W światłach "Reflektora" do najbardziej udanych debiutów należał debiut młodego, żyjącego wówczas jak wagabunda i sowizdrza, chłopaka, który zjawił się w Lublinie po ukończeniu seminarium nauczycielskiego koło r. 1925; chodził i ruszał się niezgrabnie jak niedźwiedź i — podobnie jak w Moskwie Jessienin — opowiadał czarująco o wsi i wiejskich zwyczajach. Chłopcem tym był Józef Czechowicz, urodzony w roku 1903, biedny i nieśmiały wśród pisarzy, zawadiaka wśród rówieśników, skromny w salonie Arnsztajnowej, wesoły i rozbrykany podczas pikników na podmiejskich łąkach. Młodego niedźwiedzia oswojono i zaczęto go szlifować. Wyszły z tego cudy. Pojawiły się po raz pierwszy w "Reflektorze" jego wiersze bardzo skondensowane, melodyjne a pełne arytmii, świeże jak skoszone siano; ulatywały z nich świętojańskie ogniki. Te świętojańskie ogniki zalały później trwale na kartach jego pierwszej książki pt. "Kamień", wydanej w r. 1927, kiedy zgasł już blask "Reflektora". Bielski ukończył właśnie studia prawne i odszedł od poezji, Czechowicz żył w biedzie i wszedł do poezji. Losy tych dwu ludzi są znamienne dla polskiego życia artystycznego. Obaj świetni poeci, obaj mogli żyć dla literatury; nieprzewidziane okoliczności wkroczyły z interwencją i uratowały tylko Czechowicza.

Pozostając w Lublinie do roku 1933, Czechowicz był bardzo aktywny jako poeta, dziennikarz, krytyk, a także jako tłumacz. Następny jego tomik pt. "Dzień jak codzień" wydany w 1930 roku zwrócił powszechną uwagę wszystkich miłośników poezji. Przyszedł nowy, doskonały poeta. Od razu zdobył sobie jedno z pierwszych nazwisk w ruchu awangardowym. Następny zbiór

utworów pt. "Ballada z tamtej strony" w r. 1932 potwierdził oba poprzednie, jako nowe, świetne zjawisko liryki. Umiejętne wyzyskanie emocji lirycznej, świeżość prymitywnej piosenki ludowej, celnego i skondensowanego zdania, oszczędność uczucia, wielopłaszczyznowa kompozycja, metafora kształtna i powabna, rytmika bardzo nowoczesna, strofa czechowiczowska, koloryt czechowiczowski, szlifierka każdej linijki, jakby to był cienki włos złocisty, szczęśliwe połączenie ruralizmu z urbanizmem, śmiała i radykalna konstrukcja poematów, to wszystko postawiło go od razu obok Przybosa, Peipera, Brzękowskiego — jak równego z równymi; więcej, tomik "Z błyskawicy" w r. 1934 wyodrębnił go w awangardzie i uczynił wysmienionym poetą.

Jeszcze dwa zbiory napisane już w Warszawie, które nie wniosły wprowadzić w generalnym wkładzie, nowych wartości w poezję polską w porównaniu z poprzednimi, a to "Nic więcej" (1936) i "Plan akacji" (1938), wzbogaciły poprzedni dorobek Czechowicza w dziedzinie rytmiki, metafory oraz plastyki. Wkraczał on już wtenczas w katastrofizm poetycki, którego zresztą był najwybitniejszym przedstawicielem przed wojną, a czuło się, że to prowadzi do mistyki, różowej wprowadzie jeszcze poetycko, ale nie tą zdrową różowością róż, lecz umierającego dziecka. Trzy miniatury dramatyczne, wydane w roku 1937, a to — "Czasu jutrzeźnego", "Obraz", "Jasne miecze", sygnalizowały złe przeczucia. Poeta nie mylił się osobiście w swych katastroficznych prorocत्वach. Uderzyły one nawet potem jak grom z jasnego nieba w jego przyjaciół, kiedy przyszła wiadomość z Lublina, że w końcu pierwszego tygodnia września 1939, Józef Czechowicz, jeden z kilku zaledwie wielkich poetów polskich w ostatnim pięćdziesięcioleciu, został zabity niemiecką bombą w czasie nalotu, na miasto.

Z Czechowiczem wiązała mnie przyjaźń szczególna, gdyż on był flematyk, a ja sangwinik z domieszką pieprzu. Łączyła nas przede wszystkim poezja, gdyż politycznie, społecznie i życiowo, staliśmy na zupełnie odmiennych biegunach. Tęgi brunet, o szerokich barach, z dobroduszną twarzą, recytował poezję cichym, iskrzącym się od wielu wzruszeń głosem, tak, jak żaden aktor tego nie potrafił. Spotkaliśmy się często, w korespondencji byliśmy prawie dziesięć lat. Czechowicz nie znośił wielu poetów, irytował się na ich pustotę, kpił sobie szczerze i rzetelnie z różnego rodzaju literackich rządowych dygnitarzy, aczkolwiek na trzy lata przed śmiercią objął redakcję "Pionu", tego arcywzoru urzędowej nudy literackiej, którego trzymają się jeszcze dzisiaj zarówno komuniści jak i ich emigracyjni przeciwnicy.

Miałem wówczas w Warszawie wielu przyjaciół: Józef Czechowicz, Józef Łobodowski, doskonały talent, erudyta, poliglota, zdrowy i bujny kompan z szalonym temperamentem, Konrad Bielski, Stanisław Pięta, Stefan Napierski, Marian Piechal, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Kazimierz Andrzej Jaworski,

Edward Szymański i tyłu, tyłu innych. Czasem chodziliśmy razem w jednym literackim szeregu, czasem chodziliśmy luzem. Drukowaliśmy utwory na łamach tych samych czasopism, jak — "Kurier lubelski", "Kamena", "Barykady", "Dźwigary", "Linia", "Żagary - Piony". Występowaliśmy wspólnie na wieczorach poetyckich. Później polemizowaliśmy ze sobą zawzięcie. Na łamach "Kamena" była drukowana jedna z naszych najciekawszych polemik literackich sprzed wojny, nie wiem czy dzisiaj dostępna, ale bardzo pouczająca. Rozpętałem ją niemiłosiernie. Odpowiedzi Czechowicza przynoszą zaszczyt polskiej poezji; nie zgadzał się ze mną ani trochę. Ale gdyby ktoś inny spróbował mnie tknąć jako pisarza, Czechowicz zasztyletowałby go nawet na łamach urzędowego "Pionu".

Niektóre nasze spotkania były zabawne. W r. 1938 przyjechałem z odcytem do Warszawy, który wygłaszałem na Kruczej w Stronnictwie Demokratycznym a potem w Szklanych Domach na Żoliborzu. Ponieważ zatrzymałem się u Wandy Wasilewskiej, z którą niegdyś Czechowicz kolegował w centrali Związku Nauczycielstwa Polskiego, prosiłem go, byśmy się spotkali u niej na herbatce po południu.

— Czy musisz tam? Ona taka nudna.

— Nic nie szkodzi, będziesz mówił wiersze.

Zgodził się, i wówczas spędziłem jeden z weselszych wieczorów w moim życiu. Czechowicz na zapytanie Wandy, czego życzyły sobie do herbaty, odpowiedział słodko:

— Różnych konfitur.

Znaleziono stoik, on dziobał srebrną łyżeczką w masie różanej, pił herbatę i mówił wiersze. Wasilewska głucha na poezję, jak pień, sapłała, wierciła się i siedziała, jak na rożnie.

Potem zaczęła się dyskusja. Wasilewska domagała się literatury proletariatu, sztuki rewolucyjnej. Mówiła zresztą doskonale. Czechowicz spokojnie i zjadliwie zjadał ją krótkimi, celnymi powiedzeniami.

— Literatura, literatura: literatura proletariatu. Nie mam nic przeciwko temu. Sztuka rewolucyjna — dodawał uprzejmie. — Też nie mam nic przeciwko temu. Ale literatura proletariatu musi najpierw być literaturą, a rewolucja musi najpierw być rewolucją, a potem to owszem, może być sztuka proletariatu. Ale jak wy nawet rewolucji nie umiecie porządnie zrobić, to cóż dopiero mówić o sztuce?

W dyskusji Czechowicz był tak samo niezrównany jak w swych artykułach polemicznych: miał swój punkt widzenia, logikę, argument trafny, choć czasem bardzo kłopotliwy i jątrzący.

Jakieś trzy lata przed wojną miałem jeden z paru procesów w sądzie okręgowym w Lublinie, na sesji wyjazdowej w Krasnymstawie, i bronił mnie kolega Czechowicza, Konrad Bielski. Można by o tym osobno napisać komedie jak wyglądała świetna obrona Bielskiego, ale tu chciałbym wspomnieć o wielkiej przyjaźni i pamięci, jaką darzyli

Czechowicza jego przyjaciele-poeci i jak on sam był nadzwyczajnym przyjacielem. Prosił mnie kiedyś, bym mu zadedykował "Poranek goryczy", gdy będę robił wydanie zbiorowych poezji. Zgodziłem się z chęcią, choć wówczas nie rozumiałem dlaczego mu na tym tak zależało. Kiedy "przygotowując się" do obrony w sądzie razem z Bielskim, wypróbnialiśmy o świecie ostatnią butelkę, czytając poezje naszych przyjaciół, Bielski powiedział, że za chwilę coś mi przyniesie. Przyniósł dwa kajety, ładnie oprawione w ciemną ceratę. Otworzyłem je. Jeden i drugi zawierały wiersze. Poznałem pismo Czechowicza. Bielski się uśmiechnął. Zacząłem czytać.

— Ależ to moje poezje! — krzyknąłem.

— Oczywiście, że tak — odpowiedział wesoło Bielski. — Nie można było tu dostać twych tomików, napisałem więc do Józka, a on przepisał mi własnoręcznie "Poranek goryczy" i "Kobiety i konie" i przysłał.

Czechowicz lubił kolorowe atramenty. Dużym, wyraźnym, prawie kaligraficznym pismem, tak dla niego charakterystycznym, przepisał "Poranek goryczy" zielonym, a "Kobiety i konie" niebieskim. Czy można go było uważać za przyjaciela, mimo że był przeciwnikiem "polskiej literatury proletariackiej", a doskonałym znawcą i wielkim zwolennikiem awangardowej poezji rosyjskiej: Pasternaka, Bagrickiego, Chodasiewicza, Błoka?

Tuż po wojnie robiono rumor w Polsce i zapowiadano wydanie zbiorowe dzieł poetyckich Józefa Czechowicza. Byłby to naprawdę duży czyn kulturalny. Potem wszystko ucichło i utonęło w szarym młynie rzeczywistości. Czy nie szkoda? Bardzo szkoda.

Polska nigdy nie miała krytyków literackich tej miary co Francja, Niemcy, Rosja czy Anglia. To smutne zagadnienie i dzisiaj nie zostało rozwiązane. Natomiast zła namiastka krytyki, jej najgorsze rodzaje, jak pieniactwo, swarliwość, zawadiactwo, procesowanie się intelektualne, święciły w Polsce triumfy od zarania i pierwszej zorzy naszej literatury. Regułę tego braku wzorowej i na wysokim poziomie krytyki z rzadka potwierdzają od czasu do czasu pojawiające się tegie umysłowości, o kapitalnych zdolnościach wartościujących i krytycznych. Na przełomie dziewiętnastego i w początkach naszego wieku mieliśmy trzech czy czterech dużej klasy krytyków, jak np. Ignacy Matuszewski (senior), Ignacy Chrzanowski, Karol Irzykowski i Wacław Borowy. Pisarze ci mogą być uważani za równorzędnych co do wartości twórczej z naszymi wielkimi poetami, powieściopisarzami czy dramaturgami. Odznaczają się oni odrębnym, własnym, oryginalnym sądem i stylem, które popchnęły o tyle naprzód badania literackie w Polsce, że dały im naukową podstawę i znaczenie kulturo-twórcze.

Ubóstwo krytyki polskiej zaciążyło bardzo dobitnie nad naszą twórczością, skazując ją wielokrotnie na działanie w próż-

ni, po omacku, bez korektury czy aplauzu, pozwalając jej powstawać raczej pod wpływem instynktu niż trzeźwego intelektu. Wskutek tego panoszyły się u nas bezkarnie różnego rodzaju mało wartościowe grupy czy prądy literackie, rosnące na kształt nie wycinanych i nieplewionych chwastów, uważane i brane często przez ignorantów za kosztowne kwiaty egzotyczne. Smak literacki polskich czytelników odznaczał się też spóźnioną reakcją. Pseudoklasycy byli królami umysłów polskich, kiedy pora była już na smakowanie i uznawanie romantyków; romantycy cieszyli się u nas popularnością wówczas, kiedy powinni mieć już wszyscy marmurowe pomniki, a czytelnicy powinni w ślad za Europą żyć zupełnie innymi, bardziej współczesnymi rodzajami twórczości. Stosownie stary Norwid zmałował, że u Polaków każdy czyn powstaje za wcześnie, a każda książka wychodzi za późno. To gorzkie stwierdzenie krytyczne potwierdzone zostało znowu w epoce obecnej. Książki, które mogłyby leżeć w lamusie, wychodzą i zalegają rynek wymagający innych artykułów, pisarze zaś wartościowi albo odchodzą do łopatki lub zażywają rozkoszy milczenia, które w polskich warunkach jest najpowszechniejszym rodzajem twórczości narodowej.

Wielkim krytykiem chociaż nie od razu na pierwszorzędnym europejskim poziomie był próbujący różnych rodzajów twórczości, od powieści, poezji lirycznej, komedii, noweli i essay'u, do ścisłej rozprawy krytycznej, bardzo oryginalny i gruntownie wykształcony pisarz, wielki przekora, Karol Irzykowski. Dzieje pisarstwa i historia jego życia są typowym przykładem trudności, na które natrafiali polscy pisarze o dużych ambicjach, wykształceniu i odwadze moralnej oryginalnego pisania, zmuszeni żyć i tworzyć wśród narodu, który prowincjonalność uczynił ideałem swego istnienia, a swoją stolicę, Warszawę, przemieniał na stolicę prowincji kulturalnej.

Karol Irzykowski urodził się we wsi Blaszkowa koło Brzeżan, w Małopolsce Wschodniej, dnia 25 stycznia 1883 roku. Był synem zbankrutowanego właściciela ziemskiego. Rozpoczął wcześniej studia uniwersyteckie we Lwowie, gdzie też zaczął swe pierwsze prace literackie. Chłonny i ostry umysł młodego Irzykowskiego wcześniej niż inni to zauważali, oceniali bardzo krytycznie zarówno dorobek romantyków, pozytywistów, jak też Młodej Polski, jeśli chodzi o filozoficzną podbudowę oraz wartości intelektualne w porównaniu z literaturą niemiecką czy francuską. Irzykowski wcześniej spostrzegł niebezpieczeństwo wynikające z nieposiadania własnej, trzeźwej, rozumnej filozofii narodowej, której brak starały się nadrobić fantazje i plastyka powieści Sienkiewicza, pasja uczuciowa Żeromskiego, mistyka i pseudo-romantyzm Wyspiańskiego, krzepa stylizowanych chłopów Reymonta. Toteż, gdy pojawił się Stanisław Brzozowski ze swymi koncepcjami filozofii pracy, Irzykowski znalazł nareszcie platformę, na której mógł staczać zacięte walki z tromtadracją, słowolejstwem, fałszywymi poświatami leniwego

patriotyzmu, który nie mogąc lub nie chcąc rozprostować nóg na ziemi, przyprowadził sobie fałszywe skrzydełka i raz po raz spadał z powietrza w kałużę krwi.

Karol Irzykowski miał już dobre przygotowanie do wystąpienia jako krytyk. Był bowiem do spółki z dwoma innymi pisarzami autorem komedii pt. "Dobrodziej złodziei", której jednak nawet humanitarny tytuł nie uratował od porażki w teatrze oraz znanym autorem powieści pt. "Pałuba" (1903). Podobnie jak "Dobrodziej złodziei", tak samo "Pałuba", pierwsza polska powieść napisana z zastosowaniem klucza psychoanalitycznego, nie otworzyła mu serca ani czytelników ani kolegów - pisarzy. Również kilkanaście liryków bardzo formalnie i metaforycznie wyrafinowanych i ekscentrycznych przeszło bez echa. Z legendarnym i wcześniej zmarłym, genialnym podobno krytykiem i autorem, Stanisławem Womelą, napisał Irzykowski szereg prac literackich, dając pierwszy w Polsce przykład świadomej i celowej kooperacji dwu autorów nad jednym dziełem. Ponosząc zaszczytne porażki, nie uzyskując zamierzonego oddźwięku u publiczności, po spróbowaniu czterech gatunków twórczości, zdrowy ferment ideowy zmusił Irzykowskiego do skupienia się na jednym gatunku, mianowicie na krytyce. Ten wczesny, trudny okres bardzo zaważył na całym życiu i późniejszej twórczości Irzykowskiego, gdyż stale i z uporem upominał się on u zapominańskich recenzentów i żurnalistów, by pisali, że on to pierwszy poruszył, pierwszy odkrył, pierwszy zauważył itd. To nie zawsze było prawdą, że Irzykowski był pierwszy. Prawdą jednak było to, że nawet jeśli był pierwszy, to nigdy jego utwory czy książki nie miały takiego oddźwięku, powodzenia czy uznania jak utwory starszych czy młodszych jego rywali: Sienkiewicza, Żeromskiego, Tetmajera, Staffa, Brzozowskiego i in. Irzykowski uważał się za niemniej wybitnego, niż oni. Nie mylił się, jeśli chodzi o ostateczny wynik swego pisarstwa w ciągu całego życia; w poszczególnych etapach jednak oni byli lepsi i wybitniejsi. Wydana obecnie w Polsce "Pałuba" nie wywarła bynajmniej żadnego wrażenia, jak o tym marzył Irzykowski. Dodać jednak należy, że zrównał się obecnie w oddźwięku np. z Żeromskim; Sienkiewicz jednakże wciąż ich bije obydwo powodzeniem i rozgłosem.

Mając dobre osobiste doświadczenie, jak dalece potrzebna jest w Polsce rzetelna, dobra, mądra krytyka literacka, zwracająca właściwą uwagę na istotne walory, odkrywczość, nowość dzieł pisarzy, oraz na ich znaczenie dla historii kultury, a także dająca przeciętnemu czytelnikowi prawdziwy klucz do przyjemnego czytania takiego odkrywczego utworu, Irzykowski postanowił sam poświęcić się krytyce literackiej. Doskonałe przygotowanie filozoficzne, duże odczytanie, zacieklej wnikliwość, umiejętność analizy, to wszystko pomogło od razu Irzykowskiemu przeciwstawić się Stanisławowi Brzozowskiemu, sprostować i uzupełnić to, czego on nie widział lub nie czuł czy nie rozumiał podczas pisania "Legendy Młodej Polski". Wydany w ro-

ku 1913 doskonały tom pt. "Czyn i słowo" odzwierciedla w zupełności wszystkie walory Irzykowskiego jako krytyka kultury, odsłaniając równocześnie dno jego niepowodzeń u współczesnych, jako oryginalnego powieściopisarza, dramaturga czy poety.

Zarówno we Lwowie, jak później w Krakowie, przed pierwszą wojną światową, Irzykowski był właściwie osamotniony nie tylko w sądach literackich, ale i w poglądach społecznych. Widząc wcześniej od innych znaczenie rozwoju technicznego i światowe postępy cywilizacyjne na próżno chciał przedstawiać psychikę polską z wiejskiej, lub drobnomiejskiej na przemyślową i wielkomiejską. Przeniósłszy się do Warszawy po powstaniu niepodległości nabrał oddechu, wzbogacił swe dotychczasowe zainteresowania kinem i teatrem. Z literatury jednak, mimo dużej płodności, utrzymać się nie mógł i pracował na utrzymanie rodziny jako szef biura stenografów sejmowych. Piśse bardzo wiele, interesuje się nowoczesnymi grupami poetyckimi. Pierwszy daje krytykę kubizmu, dadaizmu, formizmu, futuryzmu i innych prądów literackich. Oskarża, węszy plagiaty, opukuje słabizny, przeciwstawia się tanim nowinkom, formułuje własne teorie poezji nowoczesnej, teatru i sztuki kinematograficznej. Zwiedziony instynktem jeszcze raz próbuje swych sił, jako nowelista. W r. 1922 wydaje zbiór opowiadań i nowel pt. "Spod ciemnej gwiazdy". Przechodzą znowu bez echa. Wraca więc boleśnie dotknięty, do krytyki. Ilekroć gani innych, rozpruwa ich książki, zauważa wady, błędy, braki, lub chwali zalety cudzych książek, nie szczędząc recept, jak one powinny być napisane — jest wspianiałym pisarzem. Gdy sam próbuje pokazać, jak on to realizuje własne wskazania dla innych w swej twórczości nowelistycznej czy innej, wychodzą z tego bardzo staranne, poprawne, schludnie wyszorowane mydłem z wszelkiej świeżości, raczej przeciętne utwory. Wydaje zatem "Dziesiątą muze" (1924), rzecz o filmie niemym, oraz w tym samym roku "Prolegomena do charakterologii", obie prace krytyczne, tętniące olśniewającymi myślami.

Najlepszą jego książką była "Walka o treść", studium z literackiej teorii poznania, która stała się wkrótce klasycznym wstępem do dziejów nowoczesnej krytyki literackiej na poziomie europejskim, wyznaczając Irzykowskiemu osobne miejsce w krytyce polskiej. Był to zbiór porachunków z nowoczesną twórczością polską, w którym Irzykowski wziął odwet za wszystkie swe autorskie niepowodzenia i klęski. Nie chodzi dziś o to, że polemika Irzykowskiego z teorią czystej formy Stanisława Ignacego Witkiewicza i z założeniami i praktyką krakowskiej Awangardy, należy już bezpowrotnie do przeszłości, gdyż życie literackie tak w świecie jak i w Polsce poszło zupełnie innymi drogami, ale metoda, sposób, poziom, doskonałość owej krytyki były tak wysokie, że nikt przed Irzykowskim ani po nim, tak o sztuce w Polsce nie pisał. Odkrywszy złotą mine

Irzykowski eksploatował ją z wielkim zapałem. Wydany w 1934 "Słoń wśród porcelany" oraz "Lżejszy kaliber" w r. 1938, pochodzą z tej samej odkrywczej kopalni namietności i wiedzy o literaturze nie znanej dotąd polskim krytykom czy historykom literatury, zasiadającym na katedrach uniwersyteckich. Wojna zahamowała twórczość Irzykowskiego, nie zahamowała jednak jego pasji pisarskiej. Ze wspomnień ogłoszonych dwa lata temu w Warszawie przez Halinę Marię Dobrowolską wynika, że Irzykowski pracował podczas okupacji niemieckiej nad literaturą dwudziestolecia niepodległości. Napisał także pono rewelacyjny tom szkiców literackich pt. "Mosty", który miał być koroną jego twórczości. Jeszcze raz spróbował wystąpić jako autor sztuki, pisząc komedię pt. "Jubileusz". Tragedia jednak wciąż czyhała u boku komediopisarza Irzykowskiego. Zarówno ta sztuka, jak i najbardziej owocny tom jego życia, owoc sztuki doskonałej, spłonęły w 1944 roku w Warszawie, spalone w piwnicy na oczach pisarza przez pijanych "własowców".

Z Irzykowskim spotkałem się osobiście w roku 1933 na zjeździe pisarzy w dwudziestopięciolecie zgonu Wyspiańskiego w Krakowie. Zadzierżgnęliśmy przyjaźń dość nierówną; Irzykowski był doskonałym, starym pisarzem, ja niepoprawnym, młodym "wywrotowcem". Byłbym rad, gdyby ocalało w Polsce w mojej bibliotece te kilkadziesiąt listów, jakie Irzykowski wymienił ze mną w ciągu kilku lat. Byłyby one cennym przyczynkiem do poznania tego znakomitego pisarza, jako człowieka i autora. Niektóre z nich miały charakter zakończonych essay'ów, podobnie zresztą jak kilkanaście świetnych listów Karola Ludwika Konińskiego, które, w razie ogłoszenia, mogłyby być uważane za wstrząsające utwory literackie.

Irzykowski, nerwowo, wybuchający pasjami, noszący się jak Józef Conrad, z szpakowatą bródką szwedzką, nie robił na mnie wcale wrażenia człowieka oschłego, bez serca, zimnego, za jakiego uważali go jego przeciwnicy. Pamiętam zabawny szczegół. Przechodziliśmy plantami w Krakowie, Irzykowski widząc żebraka, wyciągnął złotówkę i wsunął ją do jego czapki. Zrobił to tak naturalnie i odruchowo, że jak odeszliśmy, jeszcze patrzyłem na niego wciąż ze zdumieniem.

— Dlaczego pan tak patrzy na mnie? — spytał podniecony. — Cóż w tym złego, że dałem jałmużnę? Ale wy — dodał gniewnie — oczywiście nie uznajecie jałmużny; wy chcecie, żeby żebracy łapali za widły i robili rewolucję, zamiast być wspomagani przez miłosiernych ludzi!

Prowadziliśmy wielokrotnie różne rozmowy, ale Irzykowski był bardzo niechętny w przyznawaniu mi słuszności, co do konieczności zarówno reform politycznych jak i społecznych w Polsce. Będąc członkiem Polskiej Akademii Literatury uważał, że jest w tym pewien postęp po obu stronach barykady, skoro on, będąc przed kilku laty przeciwnikiem projektu mia-

nowanej przez rząd Akademii, a zwolennikiem wybieralnej, a więc demokratycznej Izby Literackiej, został powołany do mianowanej Akademii. Był bardzo tym zaszczycony. Cierpiąc przez wiele lat biedę, istotnie mógł wówczas poświęcić się w pełni pracom literackim bez konieczności uciekania się do pracy urzędniczej. Przyznam się szczerze, że wówczas stosunki pomiędzy nami bardzo ochłodziły. Irzykowski także przestał już pisywać w "Robotniku", gdzie bardzo ostro ze mną polemizował.

Oliwy do ognia dodało głupie, małe zdarzenie. Po konfiskacie "Trudnego Życiorysu" wypełniłem białe plamy własnoręcznymi dopiskami skreślonych przez cenzurę fragmentów. Przygotowałem w ten sposób kilkanaście egzemplarzy dla przyjaciół, niektórych krytyków i dla bibliotek uniwersyteckich. Przyrzekłem posłać ten tom Irzykowskiemu. Było to akurat po naszym sporze o działalność policji politycznej w Polsce. Irzykowski w gwałtownym tonie zarzucił mi wówczas przesadę. Rozstaliśmy się wtedy rozdrażnieni wzajemnie. W tydzień potem wysłałem mu bardzo dobrze i starannie opakowany tomik z agencji pocztowej, która była "czysta". Akurat złośliwy los chciał, że od dwóch dni ta agencja właśnie była na "sieci", którą mnie otoczono. Egzemplarz doszedł do Warszawy, ale o godzinie dwunastej w nocy w mieszkaniu sędziego i czcigodnego akademika literatury zjawiała się policja polityczna z żądaniem wydania "Trudnego Życiorysu", jako "nielegalnej bibuły". Irzykowski odesłał do stu diabłów agentów. Wrócił za chwilę z komisarzem i zabrali go do Urzędu śledczego, gdzie przesiedział do rana!

Irzykowski nigdy słówkiem do mnie nie pisał o tym zdarzeniu. Od Czechowicza wiem, że miał głęboki żal nie do policji, ale do mnie, ponieważ prawdziwie i inaczej, niż on, oceniałem rzeczywistość!

Smutno jest rozstawać się z pisarzami, których się szanowało, kochało i ceniło. Zawsze bardzo szanowałem Irzykowskiego i ani trochę nie zmieniłem do dziś sądu o nim. Toteż wstrząsnęły mną niezdarne, proste zapiski Dobrowolskiej o jego ostatnich dniach. Ranny w Warszawie na ulicy Wawelskiej, podczas powstania, ewakuowany z ciężką gangreną do szpitala w Milanówku, z Milanówka na wozie chłopskim do Żyrardowa, umiera wśród setek konających i chorych zupełnie samotny i opuszczony, na gołej podłodze szpitala w Żyrardowie, dnia 2 listopada 1944 roku.

Marian CZUCHNOWSKI.

Archiwum polityczne

Sytuacja międzynarodowa widziana z Paryża

Trudno się dopatrzeć jakichkolwiek pocieszających przejawów w sytuacji międzynarodowej, tak jak przedstawiała się ona w pierwszych dniach grudnia 1949.

Niemal na wszystkich odcinkach świat zachodni cofa się wobec jednolitej, konsekwentnej polityki bloku sowieckiego.

Najdramatyczniejszym momentem sytuacji jest jednak rozgardiasz w polityce państw zachodniej Europy, spreczne tendencje ich opinii publicznych oraz konflikty i spory w nowych warunkach o znaczeniu raczej lokalnym, przesłaniające społeczeństwom zachodnim jedyne istotne niebezpieczeństwo jakie im grozi — niebezpieczeństwo od Wschodu.

Dwa czynniki wpłynęły szczególnie na pogorszenie się sytuacji międzynarodowej od chwili, gdy pisaliśmy po raz ostatni przegląd sytuacji politycznej w numerze 15 "Kultury": zaostrzenie kryzysu ekonomicznego w państwach zachodnich, a zwłaszcza w Wielkiej Brytanii i koniec amerykańskiego monopolu broni atomowej od lipca 1949 r.

Monopol ten przede wszystkim psychologicznie równoważył wydatnie kompleks niższości Zachodu wobec Bloku Sowieckiego. Stwarzał on również potężny hamulec dla polityki moskiewskiego Politbiura. Unikanie ryzyka i przysłowiowa ostrożność Kremla musiały się najpoważniej liczyć z posiadaniem broni atomowej przez USA.

Deklaracja Prezydenta Trumana z dn. 23 września 1949 r. zapowiadająca koniec tego monopolu, zmieniła w istotny sposób sytuację, zarówno z politycznego, jak i wojskowego punktu widzenia. Była ona także psychologicznie wstrząsem dla opinii Stanów Zjednoczonych, która nagle, w atmosferze zupełnej niespodzianki uświadomiła sobie bezpośrednie zagrożenie na wypadek wojny, dla przeludnionych ośrodków miejskich swego

kraju. Niespodzianka ta była tym większa, iż w niedawnych jeszcze deklaracjach polityków, wojskowych i uczonych amerykańskich mówiło się o 1953, a ew. 1952 roku jako o terminie, w którym rozpocząć się może dopiero produkcja broni atomowej w ZSRR. Przemysł rosyjski osiągnął to zadanie o cztery, mniej więcej, lata przed terminem, jaki wyznaczały mu supozycje obserwatorów amerykańskich. Jeśli ostatnio prasa krajów zachodnich twierdziła, że Sowiety o kilkanaście miesięcy wcześniej niż przypuszczano wyprodukowały bombę, to daje ona chyba tylko wyraz zakłopotaniu, wynikającemu z niepoinformowania najbardziej kompetentnych czynników zachodnich o tym, co się naprawdę w Rosji Sowieckiej dzieje.

Deklaracja Prezydenta Trumana zapowiada więc poważne zmniejszenie czynnika przewagi technicznej, jaką Ameryka posiadała nad Rosją Sowiecką. Jest to tym ważniejsze, iż z trzech elementów odgrywających decydującą rolę w wojnie nowoczesnej: 1) technicznego poziomu i siły destrukcyjnej zbrojeń; 2) zorganizowanych mas ludzkich; 3) elementu dywersyjno-partyzanckiego, tzw. płatych kolumn — w dwóch ostatnich aspektach Blok Sowiecki posiada miazdzącą przewagę nad Zachodem.

W zakresie drugiego z tych elementów, walną zdobyczą sowiecką jest, dokonane już niemal w pełni, opanowanie Chin przez reżim Mao-Tse-Tunga. Sukces ten ma oczywiście ogromne znaczenie jako etap ekspansji sowieckiej w Azji, zagrażający Indochinom i Indonezji, a pośrednio i obu państwom Hinduskim.

Głównym jednak problemem jaki dla Bloku Zachodniego stwarza włączanie Chin do systemu sowieckiego, jest dorzucenie niemal 450-milionowego potencjału do dotychczasowych, i tak już ogromnych, zasobów ludzkich, znajdujących się w rozporządzeniu Kremla.

Problem chiński wywołał rozliczne komentarze w prasie zachodniej. Dowodzone, iż przekroczenie masy chińskiej przez system sowiecki natrafi na tak znaczne trudności, iż na razie nawet osłabi Blok Sowiecki. Inni widzieli możliwości wytworzenia się nowej schizmy komunistycznej à la Tito na terenach żółtego Wschodu. Dotychczasowy przebieg wypadków w niczym nie uzasadnia tych optymistycznych poglądów. Istotnie w przeszłości polityka sowiecka oparzyła się już dwukrotnie, ingerując w chińską wojnę domową. Po raz pierwszy, przy początkowych próbach kominternowskich na terenie Chin, popieranie lewicy reprezentowanej przez spadkobierców Sun-Jat-Sena nie dało spodziewanych rezultatów. Drugi raz w latach 1926-27 Sowiety popierały ruch Kuo-Min-Tang'u, kierowany już wówczas przez obecnego marszałka Czang-Kai-Szeka przeciwko reakcyjnemu generałowi chińskiemu. Eksperyment ten skończył się również zupełnym fiaskiem, podobnie jak popieranie Kemal Pa-szy w Turcji. Zarówno Czang-Kai-Szek jak i Kemal wykorzy-

stali to poparcie, ale po opanowaniu sytuacji obrócili się przeciw swym dawnym protektorom.

Jednakże cechą polityki bolszewickiej jest skrupulatne i na ogół umiejętne wyciąganie wniosków z doświadczeń, zwłaszcza nieudanych. Tym razem więc Kreml przedsięwziął maksimum środków ostrożności, aby uniknąć poprzednich rozczarowań.

Obecne kierownictwo polityczne Czerwonych Chin, Centralny Komitet Partii, rozbudowywany obecnie chiński aparat państwowy, stanowi wprost przedłużenie, powiązane skomplikowanymi więzami zależności, moskiewskiego Politbiura jak i aparatu wojskowego, politycznego i gospodarczego z ZSRR. MWD — dawniej NKWD — nie gorzej kontroluje odpowiednie biura chińskie niż aparaty bezpieczeństwa na terenie Polski czy Rumunii.

Kontrola ta idzie tak daleko, iż Sowiety nie zadawałają się wpływaniem na linię generalną polityki centralnych władz chińskich. Analogiczny system kontroli bezpośrednio centrali moskiewskich rozciągnięty jest także na władze chińskich Republiki Federalnych, ustrój federacyjny bowiem narzucony ma być Chinom analogicznie do Jugosławii, z wykorzystaniem doświadczeń samej Rosji Sowieckiej. Osiem czy dziesięć Republiki Federalnych, które stwarzane są na obszarach opanowanych przez armię Mao-Tse-Tunga, czuć będzie na sobie równie przemożną kontrolę sowiecką, jak i poszczególne Republiki ludowe w Europie Centralnej.

W tych warunkach trudno sobie wyobrazić, aby nie tylko możliwe, ale i prawdopodobne, próby "odchyleń" i buntów wobec Moskwy mogły łatwo się udać. Moskwa będzie miała w tych warunkach poważne szanse wykrycia zawczasu i zlikwidowania tych prób podobnie, jak to się dzieje w Europie Środkowej.

Nie należy lekceważyć i drugiego aspektu, jaki stwarza opanowanie Chin przez Blok Sowiecki. Armia chińska nie jest obecnie przygotowana do warunków wojny nowoczesnej. Dywizje chińskie mogą jednak stanowić, pod kierownictwem oficerów sowieckich, poważną siłę pomocniczą w opanowaniu nie tylko pogranicznych terenów azjatyckich, ale ewentualnie i przy operacjach na irańskim i arabskim Bliskim Wschodzie. Wartość militarna tej pomocy będzie rosła wraz z konsolidowaniem się Chin Mao-Tse-Tunga, oraz uzbrajaniem i przeszkalaniem dotychczasowych kadr jego armii.

Nie da się więc zakwestionować zarówno politycznego jak i moralnego zwycięstwa sowieckiego na chińskim Wschodzie. Jest ono jednocześnie poważną klęską świata anglo-saskiego, a pośrednio, ze względu na Indochiny, klęską Francji.

Olbrzymie sumy zainwestowane przez kapitały wielko-brytyjskie na terenie Szanghaju i innych ośrodków handlowych Chin oraz przekreślenie tak poważnego rynku zbytu dla ekspansji amerykańskiej, podnoszą jeszcze wagę zwycięstwa czerwonych Chin nad skorumpowanym do szpiku kości i rabunkowym reżimem Marszałka Czang-Kai-Szeka.

Niewątpliwym sukcesem sowieckim jest zaciskanie obrczy dookoła krajów Europy Środkowej i stopniowe likwidowanie wszystkich elementów opozycyjnych na tych terenach. Nie jest to zrekompensowane przez żadną istotniejszą konsolidację polityczną Zachodu Europy. Sowiety raz jeszcze wykazały, że niszczenie opozycji i likwidowanie resztek niezależności Republiki Ludowych, przy wszystkich zaciągniętych poprzednio zobowiązaniach międzynarodowych, odbywa się w dalszym ciągu bez żadnych przeszkód. Nie można za taką przeszkodę uważać mniej lub więcej "energicznych" wystąpień zachodnich mężów stanu czy też anemicznych demonstracji na Zgromadzeniu lub Radzie Bezpieczeństwa O.N.U. Jedyna, jak dotąd, w ramach dyplomatycznych podjęta próba przeciwdziałania sowietyzacji krajów Europy Środkowej była z góry skazana na niepowodzenie i raczej tylko zamarkowana w stolicach b. "krajów nieprzyjacielskich" tj. Budapeszcie, Bukareszcie i Sofii. Stany Zjednoczone i Anglia, poparte dyplomatycznie przez Francję, zażądały w tych państwach — zgodnie z postanowieniami Traktatów pokojowych z Węgrami, Rumunią i Bułgarią — zwołania alianckich komisji kontrolujących dla zbadania pogwałceń wolności publicznych i indywidualnych, gwarantowanych przez traktaty pokojowe z 1946 r. Próba ta zakończyła się rychło wobec kategorycznego stwierdzenia rządów trzech "Republik Ludowych", iż żadne naruszenia postanowień traktatów pokojowych nie nastąpiły. Nikt w gruncie rzeczy nie interesował się czy sprawa zakończona będzie jakimiś wystąpieniami na O.N.U. lub też platonicznymi decyzjami Trybunału Międzynarodowego w Hadze.

Można jedynie stwierdzić, że z wyjątkiem naturalnie Czechosłowacji i częściowo Rumunii, gdzie zastosowano metody najbardziej brutalne, sowietyzacja napotyka na opory większe, niż ogólnie można było przewidywać. Połowiczne rezultaty podjętych prób ostatecznego podważenia niezależności Kościoła katolickiego na Węgrzech i proces Rajka, wskazujący na nieufność moskiewskiego Politbiura do komunistycznej partii Węgier, wskazują, iż proces niszczenia elementów opozycyjnych w tym kraju nie jest zakończony w szóstym roku okupacji.

Drugi sąsiad Jugosławii, Bułgaria, w której dawno już dokonano radykalnego wytepienia elity antykomunistycznej, przysparza mimo to Sowietom poważne trudności. Skala aresztowań, dokonywanych w tym niewielkim kraiku na gorze komunistycznej przewyższyła w swoich proporcjach wszystko co podjęte zostało przez narzucone reżimy w krajach Europy Środkowej. W związku z procesem Kostowa znalazło się w więzieniu 6 członków Centralnego Komitetu KP, 12 b. ministrów i wice-ministrów rządów "ludowych" i około 400 wybitnych działaczy partyjnych, przeważnie sekretarzy prowincjonalnych organizacji K.P.B.

Przykłady tych trudności, które można by mnożyć, pozbawione są jednak zasadniczego znaczenia dla rozwoju wydarzeń —

"glajchszaltowanie" krajów za żelazną kurtyną odbywa się bowiem coraz brutalniejszymi metodami i jak stwierdziliśmy, bez żadnych przeszkód z zewnątrz.

Nominacja Rokossowskiego na "Wodza Naczelnego i Ministra Obrony Narodowej" w Polsce wskazywałaby, iż Sowiety, przynajmniej na terenie niektórych krajów satelickich, przechodzą od okresu niszczenia opozycji, a wraz z tym i dawnych kadr kierowniczych armii, do etapu wykorzystania rezerwuaru ludzkiego tych terytoriów dla wzmoczenia ogólnego potencjału wojskowego Bloku Sowieckiego. Armie, które się tam tworzą, po gruntownym zniszczeniu dawnych kadr, dowodzone już będą przez wychowanków nowych szkół wojskowych, pod ogólnym dowództwem sowieckim.

Jedyną plamą na tym, aż nadto pomyślnym dla Sowietów obrazie, jest rebelia marszałka Tity. Poza geopolitycznym, strategicznym i gospodarczym znaczeniem wyłączenia się Jugosławii z Bloku Sowieckiego, bunt jugosłowiańskiego wodza mógł wśród wielu kół komunistycznych zachwiać wiarę w nieomyślność polityki Politbiura i jego szefa. Po raz pierwszy w dziejach Rosji Sowieckiej bunt nie tylko nastąpił, ale pozostaje już przez 18 miesięcy zupełnie bezkarny.

Trudno jest jeszcze w tej chwili stwierdzić jaką wagę posiadać będzie "kontrrewolucja" jugosłowiańska. Tito nie będzie zapewne usunięty siłą przez koncentryczny atak swoich sąsiadów, tj. Węgier, Bułgarii, Rumunii i Albanii, popartych przez Rosję Sowiecką. Nie można jednak z góry przesądzać, czy reżim jugosłowiański utrzyma się aż do przyszłego konfliktu powszechnego i czy Sowiety nie wykorzystają nieprzewidywanych dotąd trudności narodowościowych w łonie federacji jugosłowiańskiej dla wywołania konfliktu na wewnątrz lub np. usunięcia Tito w drodze zamachu. Można tylko stwierdzić, iż obecnie Tito siedzi dość mocno w siodle.

Nie należy jednak sądzić, aby mógł on stworzyć poważniejszą dywersję w samym obozie komunistycznym. Przede wszystkim logika sytuacji popychać go będzie coraz gwałtowniej w objęcia obozu amerykańskiego. Nawet gdyby potrafił utrzymać swą politykę wewnętrzną "budowania socjalizmu" w jednym kraju, fakt jawnego i daleko idącego poparcia kapitalistycznej Ameryki, będzie dla niego poważnym obciążeniem, nawet w oczach opozycyjnych elementów komunistycznych.

Istotniejszy jeszcze jest fakt, że Tito, zarówno w teorii jak i w praktyce swej polityki, nie reprezentuje żadnego odchylenia od stalinowskiej linii generalnej. Jego system jest jedynie zastosowaniem do terenu Jugosławii zasad stalinizmu w niektórych momentach radykalniejszym, w innych, jeżeli tak można określić, bardziej liberalnym. Konflikt więc Stalin — Tito jest czystym konfliktem o władzę. Z jednej strony Stalin chce traktować Tito, jak jakiegoś Bieruta, z kolei Tito do niedawna gotów do uznawania kierowniczej roli Moskwy, przede wszy-

stkim w dziedzinie polityki zagranicznej — chciał zapewnić sobie niezależność w zagadnieniach wewnętrznych. W tych warunkach trudno jest mówić o możliwości wytworzenia przez marszałka jugosłowiańskiego jakiegoś antykominformu, opartego o własną doktrynę czy nawet o poważniejszych konsekwencjach buntu Tito wśród komunistów zachodnich. Jedynie w partiach komunistycznych za żelazną kurtyną znaleźli i znajdują się niewątpliwie amatorzy naśladowania we własnych krajach polityki jugosłowiańskiego marszałka. Wśród elementów skrajnej lewicy na zachodzie konflikt Moskwa — Belgrad — skrawie unaocznili brutalność polityki sowieckiej i kompletne nieliczenie się z interesami innych narodów, nawet jeśli są one "demokracjami ludowymi". W pierwszym wypadku naśladowcami Tita zajmuje się miejscowa policja, w drugim manifestacje niezadowolenia, a nawet opozycje indywidualne czy grupowe, są zbyt słabe, aby mogły poważnie zachwiać stanem posiadania partii komunistycznych.

Wewnątrz Rosji Sowieckiej reżim przezwyciężył szereg niedawno jeszcze poważnych trudności. Nadzieje przywiązane przez pewne koła europejskie do niezadowolenia szerzonego przez oficerów i żołnierzy armii czerwonej, którzy powrócili z Zachodu i mogli stanowić czynnik fermentu przeciw warunkom nie do zniesienia istniejącym w Rosji Sowieckiej, tendencje odśrodkowe wśród narodowości zamieszkujących Rosję, powojenna demoralizacja i rozluźnienie aparatu administracyjnego, wreszcie trudności gospodarcze — wszystkie te elementy były sprawnie i bezwzględnie rozładowywane przez doświadczonych kierowników polityki sowieckiej.

Nie bez powodu mowa Malenkowa z dn. 11 listopada 1949 natchniona była zarówno optymizmem, jak i niebywałą pewnością siebie.

Wobec tak korzystnego dla bloku wschodniego bilansu, kraje zachodnie mają do zanotowania przeważnie same minusy. Jak zaznaczyliśmy, najpoważniejszym, choć nie jedynym, jest utrata monopolu broni atomowej przez USA. Zmusza to zarówno strategię, a co za tym idzie i amerykańską produkcję wojenną do dokonania po raz drugi poważnego przestawienia się w krótkim okresie czasu. Wrażenie deklaracji Trumana z 23 września było tym większe, iż użycie broni atomowej przeciw Stanom Zjednoczonym, a tym bardziej Francji i Anglii, jest o wiele jeszcze efektywniejsze, niż w wojnie z Rosją Sowiecką. Skupienie na stosunkowo niewielkich terenach miast-olbrzymów, wielkich aglomeracji przemysłowych, czyni działanie broni atomowej szczególnie skuteczne. Przemysł w Anglii jest jeszcze bardziej skupiony, a stolica brytyjska wraz z swoim "banlieu" liczy blisko 25% mieszkańców Wyspy. Paryż stanowi nie tylko 10% ludności Francji, nie tylko skupia niemal wszystkie głów-

ne linie kolejowe kraju, ale jest też poważnym ośrodkiem przemysłowym, produkującym np. około 30% całego przemysłu metalurgicznego metropolii.

Rosja zaś w przeciwieństwie, od lat bez mała dwudziestu, a zwłaszcza od wybuchu wojny, systematycznie decentralizuje swój rosnący przemysł, który według planu na rok 1950 będzie wytwarzał na wschód od Uralu przeszło 50% ogólnej swojej produkcji przemysłowej. Według obecnego planu pięcioletniego 47% węgla, 44% surowki żelaznej, 51% stali produkowane będą na terenach azjatyckich ZSRR, gdy przed wojną obszar ten dawał niewiele ponad 6% wytwórczości całego przemysłu rosyjskiego.

Można by oczywiście do tego obrazu dodać także i zastrzeżenia. Zagłębie naftowe w Baku, wytwarzające dotąd jeszcze ok. 60% sowieckiej produkcji naftowej może ulec poważnemu zniszczeniu nie tylko w wyniku wybuchów atomowych, ale i zwykłego bombardowania. Były Ambasador Bedell Smith notuje w swych pamiętnikach, iż w czasie jednej ze swych rozmów na Kremlu Stalin dowodził mu, że dla Zagłębia Bakińskiego niebezpieczny może być "sabotażysta rozporządzający chociażby tylko zwykłym pudełkiem zapalek". Lotnictwo amerykańskie rozporządza środkami o wiele efektywniejszymi niż paląca się zapalka. Zniszczenie całkowite lub częściowe produkcji bakińskiej, przy relatywnie niskiej wytwórczości naftowej w Sowietach byłoby już w pierwszym stadium wojny niepowetowaną stratą dla bloku wschodniego nie tylko z punktu widzenia materiałów pędnych dla awiacji i czołgów, ale także i dla zmotoryzowanego niemal całkowicie rolnictwa sowieckiego.

Zastrzeżenia te nie zmieniają jednak zasadniczego sensu naszego rozumowania. Dochodzi tu także czynnik psychologiczny niemałej wagi. Broń tak niszcząca jak bomba atomowa jest tym efektywniejsza, im szybciej i bezwzględniej zastosuje ją na początku konfliktu napastnik. Reżimy totalitarne mają w tych wypadkach wyraźną przewagę nad demokracjami.

Wątpliwe jest również, aby ludność Stanów Zjednoczonych, która nigdy nie zapoznała się bezpośrednio z działaniami wojennymi na własnym terenie, wpadająca — jak pamiętamy — w istną panikę w wyniku słuchowiska radiowego o napadzie Marsjan na ziemię, reagowała równie stoicko na ataki lotnicze, jak fatalistyczni obywatele republik sowieckich.

Broń atomowa w rękach sowieckich stawiać zaczyna pod znakiem zapytania ewentualność użycia bomb atomowych w przyszłym konflikcie. Nie brakuje już zupełnie konkretnych pomysłów lansujących wyłączenie tej broni z użycia, tak, jak w czasie wojny 1939 - 45 wyłączone były z użycia gazy trujące. Jednym z najabsurdalniejszych planów w tym względzie jest projekt ogłoszony w październikowym numerze "Bulletin of atomic scientists" p. Leo Szilarda, przedrukowany z pietyzmem przez paryski "Le Monde". Założeniem planu tego jest neutra-

lizacja Europy, implikująca w skomplikowanych rozumowaniach p. Szilarda także wyłączenie użycia broni atomowej. Otóż, jeśli neutralizacja Europy Zachodniej w obecnym układzie sił jest żalosnym nonsensem, to wyłączenie użycia broni atomowej może mieć, ze względu na nastroje w społeczeństwie amerykańskim i aktualny interes Rosji Sowieckiej, pewne szanse powodzenia. Że wyłączenie broni atomowej w chwili obecnej i przez pewien czas jeszcze, jest w interesie Rosji Sowieckiej, nie potrzeba chyba tłumaczyć. Przystanie ono być w interesie rosyjskim z chwilą, gdy wyprodukowane zostaną dostateczne, zdaniem sztabu sowieckiego, zapasy tej broni w Rosji. Ten okres przejściowy potrwa jednak niewątpliwie pewien okres czasu trudny do przewidzenia.

Zagadnienie obrony Wyspy i Europy Zachodniej na wypadek konfliktu, budzące najpoważniejsze wątpliwości w okresie monopolu broni atomowej w rękach amerykańskich, stało się w tej chwili problemem jeszcze trudniejszym. Jednocześnie, gdyby broń atomowa nie miała być użyta w czasie wojny, znaczenie strategiczne terenów zachodnio europejskich poważnie wzrasta. Przedstawiają one również wciąż jeszcze bardzo poważny potencjał ludzki, a przede wszystkim przemysłowy. Jakże więc przedstawiają się tutaj szanse polityczne i wojenne bloku zachodniego?

Rachunek, iż Rosja Sowiecka nie będzie rozporządzała bronią atomową przed 1952-53 dawał politykom zachodnim nadzieję na paroletnią rezerwę czasu, którą można było wykorzystać dla politycznej, gospodarczej i w pewnej mierze, wojskowej konsolidacji Europy na wypadek przyszłego konfliktu. Jednym z elementów tych nadziei był plan Marshalla, ustalony na okres 4-letni, którego zakończenie przypadało właśnie na rok 1952. W tym okresie budżety państw zachodnio-europejskich miałyby być zrównoważone; w międzyczasie zamierzono pracować nad stopniową rozbudową armii, opartej zarówno o wysiłki zainteresowanych krajów jak i o pomoc amerykańską. Kalkulacja ta zawiodła w obu kierunkach. Broń atomowa w Z.S.R.R. jest już produkowana lub będzie produkowana na skalę przemysłową w najbliższym czasie. Jednocześnie widać, iż bądź z powodu wyjątkowo niekorzystnej struktury gospodarczej i ludnościowej — jak w wypadku Wielkiej Brytanii — bądź dzięki czynnikom psychologicznym i wadliwościami ustroju — jak w wypadku Francji — oba te kraje, tak samo jak i niektóre kraje zachodnio europejskie, nie osiągną w r. 1952 przewidywanej względnej choćby równowagi.

Wobec groźnej dysproporcji sił bloku sowieckiego i Europy Zachodniej polityka amerykańska stanęła przed dwiema możliwościami. Pierwsza to skoncentrowanie całego wysiłku na zbrojeniach własnych, z naciskiem na rozbudowę lotnictwa dalekosiężnego i z planem maksymalnego przeniesienia przyszłej woj-

ny powietrznej na teren Rosji. Plan ten rezygnował z obrony Europy, nawet skazywał ją na dłuższą okupację sowiecką w prawdopodobnym wypadku przedłużania się działań wojennych, analogicznie do dwóch wojen światowych 1914-1918 i 1939-1945. Druga możliwość, to nie tylko kontynuowanie, ale wzmocnienie polityki pomocy dla Europy, włączając w to jej dozbrojenie z zadaniem próby utrzymania linii Elby lub Renu w razie inwazji, a w ostatecznym wypadku, przyczółków moskowskich brytyjskiego i pirenejskiego.

Ameryka wybiera to drugie rozwiązanie. Argument, iż potencjał przemysłowy i ludnościowy terytorium europejskiego dodany do zasięgu wpływów Związku Sowieckiego i Chin stwarzałyby blok, którego Ameryka, przy całej swojej przewadze technicznej, nie mogłaby pokonać, miał tu zapewne decydujące znaczenie.

Obrona Europy wymaga sił dostatecznych do wytrzymania pierwszego uderzenia. Obliczane są one na co najmniej 60 dywizji, zaopatrzonych w lotnictwo i czołgi. Cyfra ta, jako orientacyjna, wydaje się być bardzo skromną, wobec armii jakie już w pierwszych tygodniach wojennych, uruchomić mogłoby skoalizowany blok sowiecki. Praca nad uzbrojeniem Europy zaledwie się zaczyna i dopiero obecnie Ameryka uruchomia swoje skromne, jak dotąd, kredyty na dozbrojenie europejskie.

Nie wiadomo jeszcze, które państwa miałyby wystawić choćby część tych sił, jakie jako minimum są wskazywane przez fachowców dla obrony Zachodu europejskiego.

Wielka Brytania nastawiona będzie, zgodnie ze swą tradycyjną polityką, w większym stopniu na obronę wyspy i ewentualnie zagrożonych punktów Imperium, niż Europy Zachodniej. Zresztą, jak się zdaje, będzie ona w stanie najwyżej utrzymać, a nie podwyższyć swój budżet wojskowy. We Francji myśli się wręcz o redukcji dotychczasowego skromnego budżetu obrony, który nie przewyższa, uwzględniając obecną siłę kupna franka, 50% budżetu z r. 1938, jak się okazało, bardzo skromnego. Budżet wojenny francuski — co podkreślają alarmy w tutejszej prasie — pochłaniają w znacznym stopniu koszty administracyjne i przewlekła wojna kolonialna w Indochinach. Jeden z ekspertów obliczał niedawno, że do wystawienia ilości dywizji, odpowiadającej przewidzianemu udziałowi Francji w obronie Zachodniej Europy, potrzeba by było 8 trylionów franków, tzn. niemal czterokrotnego budżetu rocznego ogółu wydatków państwa, lub, innymi słowy, 20 rocznych budżetów wojskowych według stopy wydatków z 1949 r.

Hiszpania nie może również być brana w rachubę jako poważna siła wojskowa. Kraj ten, mimo swych wysokich efektów wojennych, pozbawiony nie tylko amerykańskich kredytów wojskowych, ale i normalnie przysługującej innym krajom pomocy finansowej z tytułu Planu Marshalla, ze zniszczeniami ciągnącymi się jeszcze z okresu przeszło trzyletniej wojny

domowej, zapóźniony jest niezwykle w stanie swego pogotowia zbrojnego. Przestarzałość sprzętu wojennego, brak nowoczesnych lotnisk, przeładunkowych urządzeń portowych, jak i rozpaczliwy stan dróg oraz skrajne zużycie taboru kolejowego wymagałyby naprawdę "zaczynania od zera". Tym bardziej nie mogą wchodzić w rachubę Włochy, jedno z najbardziej na wschód wysuniętych terytoriów okrojonej Europy Zachodniej. Posiadają one wprawdzie liczną i dobrze zorganizowaną policję, trudno jednak ten kraj, krępowany w swych zbrojeniach klauzulami traktatu pokojowego, walczący z trudnościami finansowymi i przeszło 2-milionowym bezrobociem, z niezbyt zresztą szczęśliwymi tradycjami wojskowymi, traktować jako jakąkolwiek siłę wojskową na przyszłość.

Poza Turcją położoną ekscentrycznie i stanowiącą właściwie kraj pozaeuropejski, poważniejszą siłę zbrojną przedstawiają Szwecja i Szwajcaria. Szwecja wciąż jeszcze myśli o utrzymaniu polityki neutralności. Tak jak p. Szilard chciałby neutralizacji Europy, tak politycy szwedzcy sądzą, iż w powszechnej zawierusze wszystkie strony w konflikcie uszanują neutralność szwedzką. Szwajcarzy nie mają, jak się zdaje tych złudzeń, ale trudno jest obronę Europy opierać o 4-milionowe państewko.

Nie jest więc rzeczą przypadku, iż uwaga kół amerykańskich w szczególności kół wojskowych skierowała się na rezerwuarnie niemieckie. W miarę jak polityka angielska z okazji obrad sierpniowych w Strasburgu, w swej polityce gospodarczej, a ostatnio przy dewaluacji funta akcentowała bardziej jeszcze swą własną nieeuropejską politykę, w miarę jak malały nadzieje na możliwość poważniejszego zbrojenia Francji, problem niemiecki wysuwać się zaczął jako jedno z głównych zagadnień polityki amerykańskiej.

Na terenie połączonych trzech zon, niedawno kreowanej republiki w Bonn, równającej się mniej więcej połowie obszaru metropolii francuskiej, zamieszkuje 47 milionów Niemców. Mimo zniszczeń i wielkich trudności produkcja przemysłowa tego obszaru osiągnęła już 80% wytwórczości tegoż terytorium z 1936 r.

Decyzja utworzenia, w wyniku sabotażu sowieckiego, Republiki w Bonn i proklamowanie wkrótce potem wschodnio-niemieckiej Republiki Ludowej Piecka i Grotewohla zdawały się przyspieszyć bieg wypadków. Rosjanie nie stracili ani chwili czasu, aby przystąpić do intensywnego zbrojenia "policji" na terenie Niemiec. Do jej kadr dołączone mogą być w najbliższym czasie tzw. oddziały von Paulusa, złożone z jeńców niemieckich w Rosji, urabianych od szeregu lat przez propagandę sowiecką. Zagadnienie uzbrojenia Niemiec Zachodnich, kontrolowanych przez obecność wojsk amerykańskich, angielskich i francuskich na terenach na zachód od Elby, stało się przed polityką amerykańską jako jedyna próba rozwiązania tej politycznej kwadratury koła, jakim byłoby szybkie przygotowanie Europy Zachod-

niej do możliwości obrony przed napastnikiem od Wschodu. Ten, jedyny jak dotąd, konkretny projekt wzmocnienia sił Europy Zachodniej zakończył się na razie fiaskiem na Konferencji listopadowej ministrów Achesona, Bevina i Roberta Schumana w Paryżu.

Tendencji amerykańskiej przeciwstawiły się partykularyzmy europejskie, nie przedstawiające nawet cienia rozwiązań własnych i wykazujące raz jeszcze sprzeczności wewnętrzne, brak planu politycznego i bezsilność w działaniu głównych państw Europejskich. Jesteśmy więc w momencie, w którym postanowiono bronić Europy Zachodniej, ale środki praktyczne jakie w tym celu mają być przedsięwzięte są w całkowitej dysproporcji zarówno z siłami przeciwnika, jak i z marzą czasu, którą podobno jeszcze rozporządza świat zachodni. W praktyce jednak na ogół polityka brytyjska, a w każdym razie francuska, w kilka miesięcy później akceptuje z nawiązką to, czemu się "kategorycznie" w danym czasie przeciwstawia. W 1945 r. niebezpieczeństwo niemieckie, przesłaniało Francji realną groźbę ze strony "sojuszniczej Rosji". Ten stan nastrojów uległ wprawdzie zmianie, ale — jak wykazała ostatnia dyskusja nad polityką zagraniczną w Izbie Deputowanych — wcale nie tak wielkiej jak ogólnie przypuszczano. W istocie nastrojów pewnych kół społeczeństwa we Francji, i wielu kół parlamentarnych jest taki, że życzą sobie uzbrojonych Niemiec jako zapory przeciw Rosji, ale jednocześnie chcieliby Niemiec rozbrojonych jako "gwarancji" bezpieczeństwa francuskiego.

I tym razem postanowienia Konferencji trzech ministrów w Paryżu i Protokołu z Petersberga ulegać będą stopniowym i zapewne szybkim rewizjom. Problem dozbrojenia Niemiec Zachodnich znajdzie jakieś kompromisowe rozwiązanie tym jednak trudniej osiągalne, że i w kołach zachodnio-niemieckich obawiają się, że armia niemiecka, uzależniona od wspólnego dowództwa, posłuży za mięso armatnie pierwszej linii. Jest w każdym razie rzeczą pewną, że dzięki sprzecznościom między polityką państw europejskich i Ameryką straci sporo cennego czasu. Z polskiego punktu widzenia ewolucja tych wypadków ma oczywiście także swoją stronę ujemną. Nic nie pomoże jednak niedostrzeżenie czy negowanie faktów zupełnie oczywistych.

Przed kilku jeszcze miesiącami, gdy przygotowywany był pakt Atlantyki i gdy zachodni mężowie stanu prześcigali się w deklarowaniu solidarności atlantyckiej czy europejskiej, można było mieć wrażenie pewnego postępu konsolidacji świata zachodniego. Z chwilą jednak, gdy przyszła kolej na rozwiązania praktyczne, gdy państwa stanęły wobec konieczności poniesienia ofiar, czy z dziedziny suwerenności państwowych, czy gospodarczych, gdy przejść trzeba było do wyznaczenia ról i obowiązków w obronie półwyspu europejskiego, wszystkie partykularyzmy, wszystkie konflikty i dawne urazy wyszły na jaw z całą jaskrawością. Monolitowi bloku wschodniego Zachód prze-

ciwstawił wzmagający się chaos sporów gospodarczych, kryzysów gabinetowych i nieco tylko osłabionych konfliktów socjalnych. Gdy w krajach za żelazną kurtyną jesteśmy świadkami bezlitosnej profilaktycznej likwidacji wszystkich elementów niepewnych, siły dywersyjne sowieckie na Zachodzie nie słabną bynajmniej. Jeśli nawet zasięg komunizmu we Francji i Włoszech cofnął się, jeśli komuniści nie mogą w obu tych krajach zorganizować porządnego nawet jednodniowego strajku generalnego, to nie oznacza to bynajmniej, aby aparat sabotażowo-dywersyjny w tych krajach uległ jakimkolwiek osłabieniu.

Dodajmy, iż we Francji P.K. posiada wciąż jeszcze 183 deputowanych, a we Włoszech partia p. Togliattiego liczy nadal około 2 milionów członków, ciesząc się poparciem i współpracą poważnego odłamu socjalizmu włoskiego z p. Nenni na czele.

Sądząc z perspektywy Paryża, można przypuszczać, że Zachód, a w każdym razie znaczna część opinii francuskiej, nie są skłonne wyciągać wniosków z niezwykle groźnej sytuacji, w jakiej znalazł się cały świat zachodni, a zwłaszcza kadłubowa Europa. Ostatnia dyskusja w Izbie Deputowanych robiła chwilami wrażenie, że asystujemy przy obradach sprzed 1914 r. P. Louis Marin, istne wykopalisko polityczne z wczesnego okresu III republiki, w dyskusji nad exposé p. Schumana stwierdzał (dn. 22. XI. 49), iż wobec niebezpieczeństwa niemieckiego Francja powinna się oprzeć o Rosję, gdyż "wszystko ją do niej zbliża".

P. Louis Marin nie był odosobniony w swoich wywodach, a inny mówca, gen. Aumeran ubolewał nawet, że system ustanowiony w Europie przez Traktat Westfalski załamał się; (aby zapobiec przypuszczeniom, że chodzi tu o błąd korektorski, stwierdzamy, że chodzi o Traktat Westfalski a nie Wersalski).

Gdy reakcjonista p. Marin chce zasłonić się przed niebezpieczeństwem niemieckim sowieckimi bagnetami, przywódca socjalizmu francuskiego, p. L. Blum, pisał w artykule "Pokój i siła" w swoim organie "Populaire": "Gdy społeczeństwo francuskie dowiedziało się, iż Sowiety posiadają bombę atomową nowina ta nie zaalarmowała, ale instynktownie dodała otuchy masom. Powiedziano sobie teraz, że gdy Rosjanie czują się silniejsi, może staną się bardziej ugodowi i rozsądni. Oto co powtarzam i sam sobie". W p. Bluma wstąpiła więc otucha... do czasu.

Jeżeli tego rodzaju głosy padają ze strony polityków, to trudno jest myśleć o rozumieniu sytuacji przez znaczną przynajmniej część społeczeństwa.

Nieprzygotowaniu wojskowemu odpowiada zupełne nieprzygotowanie moralne na Zachodzie.

W następnym artykule zajmiemy się z kolei oceną decyzji, podjętych ostatnio dla organizacji obrony Europy.

Najnowsza historia Polski

«Czwarty marszałek Polski»

W końcu 1927 roku zostałem przydzielony do Konsulatu Polskiego w Kijowie. W Kijowie byłem po raz ostatni w 1920 roku. Wkraczałem wtedy doń, wraz z armią śmigłego, jako młody podchorąży, w charakterze zwycięzcy i oswobodziciela narodu ukraińskiego. W ciągu kilku lat Kijów niewiele się zmienił: już w 1920 roku pełno było zniszczeń zarówno w samym mieście, jak i w okolicach. Przede wszystkim zaś uległy spustoszeniu w czasie rewolucji przeczudne parki naddnieprzańskie.

Nie były to jeszcze czasy kompletnej izolacji korpusu dyplomatycznego i konsularnego. Na "3 Maja" w salonach Konsulatu zjawiali się przedstawiciele nie tylko sowieckiego świata politycznego i administracji, ale również i przedstawiciele wolnych zawodów, resztki dawnej, przedwojennej inteligencji polskiej, ukraińskiej i rosyjskiej, artyści, aktorzy i malarze, a nawet wojskowi ogromnego miejscowego garnizonu. W tym okresie czasu zaprzyjaźniłem się z dowódcą 14 Korpusu strzelców, wielce sympatycznym brodaczem, gen. Dubowym. Częstym gościem w Konsulacie był również jego szef sztabu gen. Popow. Dla ścisłości muszę dodać, że w owym okresie w Rosji Sowieckiej nie było jeszcze stopni generalskich czy innych stopni oficerskich i dowódcy sowieccy nosili nozwy: "kombrig", "komdiw" i "komkor".

Komkor Dubowyj, syn kułaka spod Kijowa, bardzo zasłużony dowódca 44 dywizji z czasów wojny polsko-sowieckiej, lubił niezmiernie wspomnienia z tej wojny. Godzinami potrafił opowiadać o swych przeżyciach wojennych z najdrobniejszymi szczegółami, tak jak to robią zawodowi wojskowi wszędzie, na całym świecie. Od czasu do czasu przyjeżdżał do Kijowa szef sztabu Ukraińskiego Okręgu Wojskowego (należy pamiętać, że w tym czasie stolica Ukrainy i dowództwo Okręgu Wojskowego mieściły się jeszcze w Charkowie), wielce utalentowany i zasłużony gen. Pugaczow, zaufany wieloletniego dowódcy tego okręgu,

osławionego w wojnie domowej, późniejszego marszałka, Blüchera.

Stosunki towarzyskie pomiędzy nielicznym osobowo Konsulatem w Kijowie, a światem polityczno-wojskowym i literacko-artystycznym były wielce ożywione. Spotykaliśmy się nie tylko w salonach Konsulatu polskiego i niemieckiego, nie tylko na przyjęciach oficjalnych Rady Miejskiej i Kijowskiego Komitetu Wykonawczego, ale i po restauracjach i foyer teatralnych, na plaży i na koncertach w parku Włodzimierzowskim. Tylko Kijowianie pamiętają i wiedzą, jaką atmosferę posiadało to cudowne miasto: atmosferę przyjaźni i atmosferę wielkiego wzajemnego zaufania. Coś podobnego spotkałem później tylko w Wilnie. Gdy wracałem z odpraw korpusu konsularnego w Moskwie lub z wycieczek do Leningradu, zawsze miałem wrażenie, że tylko w Kijowie można znaleźć wspólny język nie tylko z Ukraińcami, lecz i z Moskalami, że tylko w tym mieście można mówić spokojnie i bez namietności o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, że tylko tutaj, patrząc na bezkresną dolinę Dniepru z wyżyn mogiły Askolda, można znaleźć klucz porozumienia pomiędzy trzema narodami.

Jeżeli wstęp ten zbytnio rozweklam to w tym jedynie celu, by podkreślić jak dalece w tym właśnie 1927 czy 1928 roku czuliśmy się, my — Polacy — na terenie Kijowa dobrze i jak dalece pełni byliśmy nadziei, że uda się nam ułożyć przyjaźnie stosunki ze Związkiem Sowieckim. Sama rewolucja bolszewicka, obserwowana z Kijowa, wydawała się w tym czasie zjawiskiem postępowym i pozytywnym. W nadziejach tych utrzymywali nas przyjaciele-Ukraińcy. Oni też wierzyli, że najgorszy okres sowietyzacji już minął i że przed Ukrainą otwierają się wspaniałe perspektywy iście rewolucyjnego rozwoju. Był to okres, gdy w życiu kulturalnym Ukrainy panował Związek Wyzwolenia Ukrainy, w którym tak wielką rolę odgrywali kapitulanci z byłego petlurowskiego obozu.

Co jakiś czas spotykałem na stokach parku "Carskiego" wysmukłą sylwetkę Nikowskiego, byłego ministra w rządzie Petlury, który za każdym razem nie szczędził najostrzejszych wymówek pod adresem Polski, najostrzejszych krytyk pod adresem Zachodu. Niekiedy w salach muzeum Tereszenki spotykałem pochyloną postać przywódcy Związku Wyzwolenia Ukrainy, prof. Jefremowa, który — nerwowo oglądając się na boki — świszczącym szeptem wyrzucał ze siebie oskarżenia pod adresem nacjonalizmu polskiego, pełen nadziei, że uda się odrestaurować Ukrainę poprzez opanowanie przez Ukraińców "od dołu" jej życia politycznego i gospodarczego za pośrednictwem komunistów ukraińskich. Tamże spotykałem poetę Chwylowego, opryskliwego i nerwowego inteligenta, rozczytanego w literaturze włoskiej i francuskiej, rozkochanego w Odrodzeniu, uwielbiającego gotyk, marzącego o Florencji i Bolonii.

Reżyserem Opery Kijowskiej był obywatel polski Ułuchanow,

dyrygentem tejże Opery również obywatel polski — Berdiajew. Reżyserem Teatru Rosyjskiego był białostoczanin Wilner, a reżyser i dyrektor Teatru Ukraińskiego im. Franko — cudowny aktor Hnat Jura — lwowianin, uśmiechał się dyskretnie na każdej premierze w stronę łoża Konsulatu Polskiego.

Piszę o tych pozornie nieważnych szczegółach dla podkreślenia, jak życzliwa była atmosfera w tym okresie dla nas, Polaków, na terenie Ukrainy i jak wiele można było w tym czasie zrobić dla porozumienia polsko-ukraińsko-rosyjskiego.

Język polski był jeszcze wówczas, w 1928 roku, tak znany w Kijowie, że anachronizmem wydawała się konieczność korespondowania z sowieckimi władzami prowincjonalnymi w języku ukraińskim czy rosyjskim. Zresztą i w tej dziedzinie uprzejmość władz sowieckich była daleko posunięta; oficjalne noty czy korespondencje do urzędów kijowskich czy charkowskich pisałyśmy po polsku. W restauracji czy u fryzjera w hotelu "Continental" mówiło się tylko po polsku. Tak samo po polsku można było rozmówić się we wszystkich sklepach, nawet w noszących tak przeraźliwe nazwy jak "Sorabkop" czy "Piszczetrest".

Pierwszym poważnym zgrzytem w stosunkach polsko-sowieckich były coraz to potęgujące się objawy sowiecko-niemieckiego zbliżenia. Wyrażały się one zarówno w częstych przyjazdach dyplomatów i polityków niemieckich do Rosji i na Ukrainę, jak też we wzrastającej wymianie handlowej pomiędzy Związkiem Sowieckim a Niemcami. Na miejsce licznych, w okresie N.E.P.'u koncesji niemieckich, zaczęli do Związku Sowieckiego przybywać specjaliści niemieccy, angażowani do fabryk i przedsiębiorstw państwowych, a w nowo budowanych fabrykach instalacje i maszyny niemieckie zaczęły odgrywać pierwszorzędną rolę.

Tej inwazji niemieckiej zdawały się zaprzeczać restrykcje sowieckie w stosunku do Niemców od dawna osiedlonych na terenie Związku Sowieckiego. Przed konsulatami niemieckimi w Kijowie, Charkowie i Odessie ustawiały się ogromne kolejki kolonistów niemieckich z Wołynia, Chersońszczyzny i Donieckiego Zagłębia, domagających się dobrowolnie lub, przeważnie, pod naciskiem sowieckim, powrotu do Niemiec.

Lecz miny generalnego konsula niemieckiego w Charkowie, Waltera, a jeszcze bardziej konsula niemieckiego w Kijowie, typowego Prusaka, Rudolfa Sommera, były coraz bardziej rozradowane, zaś stosunek naszych kolegów niemieckich do nas, Polaków, był coraz bardziej chłodny. Ministerstwo Spraw Zagranicznych i sztab główny w Warszawie coraz częściej alarmowały nas pytaniami odnośnie współpracy niemiecko-sowieckiej, aczkolwiek czujność nasza i bez tego wzmagala się na podstawie codziennych obserwacji.

Jesienią 1928 roku w rejonie Kijowa zorganizowano wielkie manewry broni połączonych. Attaché wojskowi Europy Zachodniej, a w tej liczbie i attaché wojskowy polski, nie byli na te

manewry zaproszeni. Zjawiła się natomiast w Kijowie wielka ekipa oficerów niemieckich, z generałem, późniejszym marszałkiem, Blombergiem na czele. Płk. von Hammerstein, osławiony działacz Rapallo wojskowego, odgrywał w tej misji rolę szefa sztabu. Manewry były zakrojone na wielką skalę. Przyjechał na nie osobiście komisarz Obrony Związku Sowieckiego, Woroszyłow. Manewry miały charakter wybitnie ofensywny i mimo, że nie wykrczały pod względem terenowym na zachód poza Żytomierz, łatwo można było odcyfrować ich wybitnie antypolski charakter. Rzucałem się wówczas jak węgorz w sieci, by uzyskać możliwie najwięcej informacji i wtedy bodaj, po raz pierwszy, poczułem na sobie zacieśniającą się obserwację G.P.U.

Bodajże natychmiast po zakończeniu manewrów — było to w okresie urlopowym i konsul był nieobecny — zaanonsowano mi, jako chwilowemu zastępcy konsula, wizytę wyższego oficera kawalerii sowieckiej. Do gabinetu wszedł młody kawalerzysta z odznakami dowódcy brygady. Zwrócił moją uwagę doskonała postawa i moderunek żołnierski. Od razu widać było typową wojskową szkołę rosyjską, zabijającą inteligencję, a znakomicie wyrabiającą dyscyplinę i wyrobienie fachowe. Przedstawił mi się:

— Jestem Rokossowski i mam do panów prośbę o załatwienie formalności, związanych z otrzymaniem spadku po krewnych moich na Wołyniu polskim.

Mówił po rosyjsku i gdy, zgodnie z przyjętym przez nas zwyczajem, przemówiłem do niego po polsku, oświadczył mi nadal po rosyjsku z uśmiechem:

— Pochodzę wprawdzie z rodziny polskiej, ale polskiego nie znam. Znam kilkanaście słów zaledwie.

Rzeczywiście, z mało wybrednym, typowo "oficerskim" dowcipem, zacytował kilka słów polskich, zniekształcając je tak, jak to zazwyczaj robią Rosjanie, wyśmiewający się ze "świszczącego i syczącego języka polskiego.

— Jestem komunistą, a "komunista nie ma ojczyzny" — zacytował z wyraźnym podkreśleniem dziś już bardzo nie lubiane przez stalinowców słowa Manifestu Komunistycznego. W tym miejscu dodał zupełnie nieoczekiwane, a pośpieszne: — Ale w wojnie polsko-sowieckiej udziału nie brałem. Wolałem na frontach wojny cywilnej bić ukraińską i rosyjską swołocz kontrrewolucyjną.

— Czy nie miał pan braci w Polsce, a w szczególności czy nie był bratem pańskim kapitan Jerzy Rokossowski z wojska polskiego?

Muszę tu zrobić dygresję. Bezpośrednio po wojnie polsko-sowieckiej byłem jakiś czas na stażu wojskowym w swoim macierzystym, 21 pułku piechoty Dzieci Warszawy. Zaprzyjaźniłem się tam z młodym porucznikiem, później kapitanem, Jerzym Rokossowskim, kawalerem Virtuti Militari, doskonałym żołnierzem i świetnym kompanem kawalerskich zabaw. Jerzy Ro-

kossowski miał brata Adama w szkole podchorążych, który — bodaj w 1922 roku — zrobiwszy okropną burdę w szkole — uciekł do Rosji Sowieckiej. Przy przejściu przez granicę został zastrzelony, nie pamiętam już dokładnie czy przez nasz czy przez sowiecki posterunek graniczny. Jerzy miał w związku z tą sprawą sporo nieprzyjemności. Wówczas dowiedziałem się od niego, że ma on brata przyrodniego, z pierwszego małżeństwa swego ojca z Rosjanką, który, służąc od 1916 roku ochotniczo w armii rosyjskiej, zaraz na początku rewolucji 1917 roku wstąpił do partii bolszewickiej i pozostał następnie w armii czerwonej, osiągnąwszy w kawalerii sowieckiej wysoki stopień wojskowy. Jerzy miał nawet pewne wątpliwości czy aby brat jego nie kierował się w swej ucieczce do tego właśnie czerwonoarmisty. W 1925 czy 1926 roku Jerzy Rokossowski przeniósł się do lotnictwa i został przydzielony do pułku lotniczego we Lwowie i tam popełnił samobójstwo. Różnie o tym mówiono. Jerzy był zawsze szalawiką i kobieciarzem. Historie romantyczne łatwo się go czepiały. Tym niemniej mówiono również o tym, że był zamieszany w jakąś sprawę szpiegowską i wtedy już opowiadano szeroko historię jego brata przyrodniego w armii sowieckiej.

Pytanie moje wyraźnie zmieszało kombryga Rokossowskiego. Twarz jego, typowa twarz subordynowanego i nierozgarniętego służbisty rosyjskiego, jeszcze bardziej stężała:

— Tak. Miałem kuzynów tego samego nazwiska w Polsce, ale nigdy z nimi nie miałem nic do czynienia.

Przystąpiliśmy do załatwienia sprawy Rokossowskiego. Nie pamiętam dlaczego była ona dość skomplikowana i zaproponowałem mu przyjście do Konsulatu dnia następnego. Bardzo prosił o możliwie najszybsze załatwienie go tego samego dnia. Thumaczył, że jego garnizon stoi w Berdyczowie i że z trudnością uzyskał jeden dzień na przyjazd do Kijowa. Prosiłem go przeto, by przyszedł wieczorem.

3.

Gdy Rokossowski przyszedł wieczorem do Konsulatu, papiery jego nie były jeszcze gotowe. Zaproponowałem mu filiżankę kawy i czas jakiś prowadziliśmy konwencjonalną rozmowę na temat piękności Kijowa i Ukrainy. Okazało się, że Rokossowski interesuje się jednak sprawami polskimi. Z pewnym oburzeniem mówił, że w Teatrze Polskim w Kijowie, kierowanym wówczas przez Wandurskiego i Jasińskiego, aktorzy mówią fatalnie po polsku. "Za dużo tam Żydów" — powiedział z naciskiem po polsku, przy czym słowo "Żydów" wypadło w jego brzmieniu bardzo zbliżone do "Żidów" po rosyjsku.

Ten lekki akcent antysemityzmu wykorzystałem dla przeniesienia rozmowy na tematy polityczne. Zagadnąłem o Trockiego. Sprawa Trockiego była wówczas najbardziej przebojowym tematem w Rosji Sowieckiej. Trocki był w tym czasie w Turcji na

Prinkipo i ze wszystkich stron zarówno my, jak też i urzędnicy innych placówek dyplomatycznych i konsularnych, byliśmy atakowani przez obywateli sowieckich o jego emigracyjne artykuły, publikacje i książki. Rokossowski skrzywił się wyraźnie:

— Do zrobienia rewolucji światowej Trocki jest nam niepotrzebny. My, komuniści-bolszewicy, mamy inne poglądy, a to wszystko o czym mówi i co robi ten mienszewik jest histerią.

— No dobrze — zapytałem — ale skoro mówimy o zasadach, cóż pan powie o tym waszym, bolszewickim, porozumieniu z junkrami pruskimi. Cóż pan powie o tym tutaj demonstrowaniu wspólnego militarystwu bolszewicko-pruskiego, o tym brataniu się Woroszyłowa i Blomberga? Czy nie myśli pan, że Trocki jest znacznie bliższy zasad rewolucji światowej i komunizmu, aniżeli wy, którzy dla celów czysto politycznych, braciecie się z prawdziwymi "wrogami klasowymi ludu pracującego"?

Rokossowski zaczął rozwijać długo i dość nieinteligentnie tezy, które już słyszałem od innych wojskowych sowieckich, i od Popowa, i od Pugaczowa, z wielkim zażenowaniem przyznających mi, na moje nagabywania, że flirt niemiecko-sowiecki jest dla nich, rewolucjonistów i komunistów, dużym zaskoczeniem. Starał się nieporadnie wyjaśnić, że zbliżenie niemiecko-sowieckie jest czysto taktyczne, mające na celu jedynie wykorzystanie doświadczeń wojskowych Reichswehry i że wykorzystanie to zostanie obrócone wyłącznie przeciwko agresorom, nigdy zaś dla celów ofensywnych.

— Nasza polityka jest nawskróś obronna. Przygotowujemy naszą armię wyłącznie dla odparcia interwencji, nigdy zaś do napaści. Nie mamy zamiaru narzucać rewolucji siłą. Rewolucja musi dojrzeć i wierzymy, że dojrzeje wszędzie i w każdym kraju przyjmie formy odpowiadające wymogom i możliwościom danego narodu. Czy nie wie Pan o tym, że tak dalece zachowujemy naszą obronną postawę, że nawet postanowiliśmy ufortyfikować całą granicę zachodnią i w tej chwili budujemy wzdłuż granicy polskiej, a tu — pod Kijowem nad Irpeniem, umocnienia obronne.

Była to dla mnie nowość. Dolina Irpenia, bagnista i zalesiona, nie była zbyt atrakcyjnym terenem do przejażdżek i to co mówił Rokossowski, było dla mnie nie byle jaką informacją. Postanowiłem go nacisnąć.

— No dobrze! Umocnienia umocnieniami. Ale te wielkie zgrupowania kawalerii i to kawalerii, którą zaczynacie pospieszenie motoryzować i zaopatrywać w broń pancerną? Czyż to też broń obronna? Pisze o tym cała nasza prasa wojskowa (w tym wypadku nie byłem ścisły: nasza prasa niewiele o tym pisała, ale miałem inne informacje, bynajmniej nie prasowe).

Rokossowski się zapalił. Opowiadał mi długo i szczegółowo o organizacji kawalerii sowieckiej. Wiele z tego, co mówił, było dla mnie rewelacją. Z opowiadania jego wynikało, że armia sowiecka ma wielką ilość braków, że nie czuje się na siłach do

podjęcia rozgrywki z Zachodem, że brak jej jeszcze doktryny strategicznej i taktycznej, że sowieccy dowódcy wojskowi pracują w przeświadczeniu że wiele lat potrzeba na doprowadzenie militarystwu sowieckiemu do tego stanu rzeczy, by mógł on stać czoło zbrojnej interwencji Europy. Ze w tym celu konieczne jest wykorzystanie doświadczeń niemieckich, co w przyszłości obrócone zostanie "przeciwko samym Niemcom". Ruch rewolucyjny w Niemczech jest najsilniejszy w całej Europie i właśnie ten ruch nie pozwoli do odrodzenia w Niemczech elementu junkierskiego".

— Nie myśli pan jednak, panie generale (wszystkich dowódców wielkich jednostek sowieckich tytułowaliśmy z reguły generałami, mimo, że wówczas słowo to było co najmniej kontrrewolucyjne, tym niemniej robiło naszym rozmówcom wielką przyjemność), że Niemcy, rozszerzając i pogłębiając współpracę wojskową z wami, mają ze swej strony cele równie perfidne, że starają się wykorzystać te możliwości, jakie otwieracie im na własnym terenie, do odrodzenia niemieckiego potencjału militarnego tak, by ten potencjał skierować później zarówno przeciwko Europie, jak i przeciwko wam — bolszewikom — i że taka zabawa we wzajemne oszukiwanie się może doprowadzić w najlepszym dla was wypadku do nowego rozbioru Polski. Rozumiem, że pan, jako komunista, może się cieszyć ze zwycięstwa rewolucji w Polsce, ale nie bardzo widzę na czym polega pana dorobek, jako komunisty, w wypadku podziału Polski pomiędzy imperializmami pruskim i rosyjskim.

Rokossowski zapalał się coraz więcej. W pewnym momencie zdradził się, że sam on przeszedł przeszkolenie na specjalnych kursach wojskowych w Niemczech. Możliwości odrodzenia potencjału militarnego w Niemczech czy, w ogóle odrodzenia nacjonalizmu niemieckiego — lekceważył. "Towarzysze komuniści niemieccy nigdy na to nie pozwolą!"

Rokossowski nie był inteligentnym rozmówcą. Coraz bardziej utwierdzałem się w pierwszym moim przeświadczeniu, że jest to wąski, niezbyt lotny oficer zawodowy, w miarę czytany w literaturze partyjnej, w gruncie rzeczy przeświadczony o dominowaniu pierwiastków militarnych nad zagadnieniami politycznymi i społecznymi. Człowiek cyniczny i amoralny, bez głębszego podkładu ideowego nawet w komunistycznym tego słowa znaczeniu. Gdy wspominał o swych przeżyciach wojennych, widać było, że sprawa jego osobistej kariery przeważała nad wszystkim. Nie pozostało w nim żadne głębsze przywiązanie ani do ludzi, ani nawet do tych haseł w walce, o które narażał swe życie. A że narażał — to było niewątpliwe. Z całej jego sylwetki, z każdego słowa biła odwaga fizyczna i brutalność.

— Karierowicz! — pomyślałem sobie — gdy, zaopatrzony w potrzebne mu dokumenty, opuszczał konsulat.

4.

W kilka miesięcy później jechałem w półprzedziale pierwszej klasy z Kijowa do Odessy. O ile pamiętam, to w Koziatynie, już dobrze około północy, konduktor wprowadził do przedziału i wskazał wolną górną ławkę młodemu dowódcy kawalerii z odznakami komdiwa. Poznałem w migotliwym świetle gazowym Rokossowskiego. Był wyraźnie podchmielony. Na peronie grała orkiestra wojskowa. Widocznie żegnano jakąś grupę partyjną czy wojskową po zjeździe, względnie po jakichś uroczystościach miejscowych. Przywitałem Rokossowskiego, który również od razu mnie poznał.

Miałem dobry zwyczaj wożenia w swym neseserze paru butelek koniaku czy wódki i proponowałem Rokossowskiemu wypicie na dobranoc. Tym razem unikałem rozmów na tematy wojskowe. Mówiliśmy o polityce. Trocki był znów głównym tematem. W roku 1929 rozpoczęła się już ostra nagonka na trockistów "wewnętrznych". Przez Zw. Sowiecki, a Ukrainę w szczególności, przeszły pierwsze fale wielkich, masowych aresztowań.

Rokossowski był w stosunku do Trockiego jeszcze bardziej zażarty i wrogi aniżeli jesienią ubiegłego roku. To, co mówił, miało zapaszek równie namiętności partyjnej jak i pogromowego czarnoseciństwa. Uważał Trockiego za największego szkodnika dla polityki światowego komunizmu, oportunistę, który gotów jest pójść dla zwycięstwa osobistego na kompromis i ugodę z każdym najbardziej zapamiętałym wrogiem klasy robotniczej. Przypominałem mu, że taka właśnie taktyka jest podstawą polityki leninowskiej. Był oburzony. Twierdził uparczywie, że polityka bolszewików jest polityką zasad, która nigdy nie będzie działała na niekorzyść tym konkretnym osiągnięciom polityki rewolucyjnej, jakie reprezentuje Związek Sowiecki. W długich, a coraz mętniejszych tyradach Rokossowskiego, nie padło nazwisko Stalina. Kilka razy z ogromnym przekąsem wspomniał Woroszyłowa, z którym łączył jakąś bliżej nieokreśloną klikę "starych bolszewików", nie wiele już mającą do powiedzenia. Przedzej czy później muszą oni ustąpić miejsca młodemu, zachowującym prawdziwą dynamikę i wiarę rewolucyjną. Ciągłe powtarzane "my... my... my..." zaczęło mnie intrygować. Cóż to, u licha, za nowe sprzysiężenie? Przecież to chyba ani prawe odchylenie Bucharina, ani, tym mniej żadne z ugrupowań nacjonalistyczno-komunistycznych. Zwłaszcza, że i o Ukraincach mówił, podobnie jak o Żydach, z pogardą i nienawiścią.

Śluchając Rokossowskiego odnosiłem dziwne wrażenie. Podobne tyrady z ciągłym powtarzaniem słowa "my" często w tym czasie słyshało się i w Polsce. To oddzielanie się od starszych cechowało w Polsce lewicę legionową, młodzież radykalną i coraz bardziej faszystujące grupy młodzieży narodowej, dla tych czy innych powodów odcinające się od wyraźnie biurokratyzującego się systemu pomajowego. Ale o ile geneza podobnych

zjawisk w Polsce była dla mnie zrozumiała i mniej więcej wiedział się kto nimi kieruje, o tyle niejasne było pochodzenie i organizacja takiego kierunku w Rosji Sowieckiej.

Zacząłem naciskać i w pewnym momencie usłyszałem nazwisko Tuchaczewskiego. Tuchaczewski był wówczas jednym z dowódców okręgów wojskowych — jeśli się nie mylę — na Nadwołżu. Nie był on wtedy w łaskach Kremla. Wśród dowódców wojskowych, jeśli chodzi o popularność, ustępował miejsca takiemu np. Blücherowi. Lecz Rokossowski wydawał się oczarowany jedynie i wyłącznie Tuchaczewskim.

— To jest największy talent strategiczny naszych czasów. Jest to prawdziwy komunista i szczerzy rewolucjonista. Gdyby nie ten parszywiec Trocki nie tylko Polska, ale i Niemcy, a za nimi cała Europa, byłaby komunistyczna. Tuchaczewski jest twórcą nowej strategii rewolucyjnej.

Rokossowski, mocno już podchmielony, otworzył pospiesznie swą torbę polową i podał mi numer jakiegoś czasopisma wojskowego ze stenogramem dyskusji Tuchaczewskiego i jego zwolenników z profesorem strategii Akademii Wojskowej — Świeczynem. Zaczął mi pokazywać podkreślone przez siebie pewne ustępy, tłumacząc z zapalem jak dalece rewelacyjne są oświadczenia Tuchaczewskiego i jak wiele wnoszą one nowego do strategii rewolucyjnej. (Numer tego czasopisma Rokossowski zostawił mi wychodząc z przedziału i miałem go w swej bibliotece warszawskiej z jego własnoręcznymi podkreśleniami i uwagami).

Rokossowski nie wierzył w rewolucję narodową, z pogardliwością oficerów i abstrakcyjnych inteligentów całego świata, wyrażał się o świadomości mas pracujących. Nie bardzo orientowałem się wówczas, że ta pogardliwość właściwa jest również Stalinowi. Jego tyrady w tej dziedzinie można by łatwo streścić w formule: "masy trzeba trzymać za mordę, prowadzić na łańcuchu i kierować batem". Wolność należy wypychać ludziom do gardła przemocą! Ludzkie bydlę samo przez się nie zrobi kroku by zerwać kajdany i sięgnąć po swobodę. "Tylko siła, tylko przymus! Tak było za Napoleona, tak jest i teraz!"

Byłem mocno pod gazem ale ten "Napoleon" uświadomił mnie do reszty, że mam do czynienia z typowym młodosowieckim bonapartystą, jakich pełno było wówczas w aparacie partyjnym, administracyjnym, a zwłaszcza w wojsku sowieckim.

Wychodząc już nad ranem z przedziału, na którejś ze stacji węzłowych, bodajże w Bierzule, Rokossowski pożegnał mnie słowami:

— Pytał się pan mnie w konsulacie o sowiecko-niemiecki sojusż wojskowy. Niech pan pamięta, że dopóki są w armii czerwonej ludzie typu Tuchaczewskiego, światu grozi jedynie rewolucja, ale nigdy podział pomiędzy Niemcami i Rosją.

5.

Gdy w 1931 roku objąłem kierownictwo wywiadu na Rosję Sowiecką, personalia wyższych dowódców sowieckich musiały mnie z natury rzeczy interesować.

Zarówno pijacka rozmowa z Rokossowskim, jak inne spostrzeżenia i rozmowy na terenie sowieckim naprowadziły mnie na ślad istnienia swoistego sprzysiężenia wśród wysokich dowódców armii czerwonej. Powiadam swoistego, gdyż ani swą organizacją ani programem ani tym bardziej działaniem, nie przypominało ono w niczym sprzysiężeń znanych w historii, bądź ujawnianych w innych armiach współczesnych. Był to raczej szereg niesprzężonych ze sobą sprzysiężeń, konwentykli czy po prostu grup zaufania, ześrodkowujących się dokoła poszczególnych dowódców armii czerwonej. Na Ukrainie było kilka takich ośrodków. Była więc grupa długoletniego dowódcy okręgu ukraińskiego, przeniesionego następnie na Daleki Wschód, późniejszego marszałka Blüchera. Była grupa utalentowanego jego następcy na stanowisku dowódcy okręgu, dobrze znanego nam z czasów wojny 1920 roku, świetnego dowódcy 45 dywizji, gen. Jakira. Była grupa kawalerzystów, koncentrujących się dokoła osławionych komiltonów Budiennego, komkorów Kryworuczki i Prymakowa. Takie konwentykle były i w innych okręgach wojskowych, zwłaszcza na Białorusi, na Kaukazie i w Turkiestanie, a w latach 1932-1935 na Dalekim Wschodzie. Ale wszystkie nici od tych grup i konwentykli prowadziły do dwóch ludzi: do wówczas już następcy komisarza obrony, młodego marszałka Michała Tuchaczewskiego i do szefa kierownictwa politycznego armii, znanego nam dobrze z terenu Białej Rusi — Jana Gamarnika.

O sprzysiężeniu i tzw. zamachu Tuchaczewskiego istnieje już dzisiaj ogromna literatura pamiątkarska, lecz moim zdaniem nie wiele jest prawdy, a przynajmniej całej prawdy w tym wszystkim, co o tym dotychczas napisano. Z błogosławieństwa sowieckiej propagandy zamach Tuchaczewskiego przedstawiany jest jako próba oparcia się kierowniczej grupy wojskowej sowieckiej o Niemcy, jako antystalinowska, a filoniemiecka koncepcja polityczna, mająca na celu sprowokowanie interwencji niemieckiej w stosunku do Związku Sowieckiego i wykorzystanie konfliktu wojennego do opanowania władzy w Rosji w drodze zamachu stanu, usunięcie Stalina i jego Politbiura.

Jest to z gruntu fałszywe. Zamach Tuchaczewskiego opierał się istotnie na tych wojskowych sowieckich, którzy jak sam Tuchaczewski, Blücher, Jegorow, Uborewicz, Kork, Eideman i inni przez długi czas byli zwolennikami, a nawet gorącymi entuzjastami wojskowego Rapallo sowiecko-niemieckiego. Ale już w latach 1932-1933 dojście Hitlera do władzy otrzeźwiło tych ludzi całkowicie. Ich początkowe koncepcje zbliżenia niemiecko-sowieckiego polegały na tym, że uważali niemiecką Reichswehrę junkierską za nadbudówkę, nie mającą oparcia w ma-

sach narodowych, którą da się łatwo w czasie wojny obalić. Gdy militarystyka niemiecka stała się funkcją ruchu nacjonalistycznego, zrozumieli oni, że ostrze jego może być w każdej chwili skierowane przeciwko Rosji, a zlikwidowanie jego będzie wręcz niemożliwe bez walki z całym narodem niemieckim.

Sytuacja stała się wręcz paradoksalna. Wódz komunizmu światowego — Stalin — stał się protektorem zbliżenia za wszelką cenę z Niemcami hitlerowskimi, zwolennikiem wykorzystania emocji i dynamiki hitlerowskiej przeciwko pozostałemu światu kapitalistycznemu, sowieccy wojskowi zaś, z Tuchaczewskim, Gamarnikiem i Blücherem na czele oparli się temu zbliżeniu jak najbardziej stanowczo. Sprzysiężenie zaczęło coraz wyraźniej dążyć do oparcia się o państwa zachodnie, o Francję, W. Brytanię, a nawet o państwa kordonu sanitarnego: Polskę, państwa bałtyckie i Rumunię. Attaché wojskowi w stolicach europejskich rozpoczęli delikatne sondowanie gruntu. Putna w Londynie, Wiencow we Francji, Siemionow w Warszawie zaczęli nawiązywać półoficjalne kontakty, szukając dróg do porozumienia i dogadania się w sprawie wspólnej akcji przeciwko Niemcom.

Jest to temat dotychczas nierozpracowany. Omawiam go szczegółowo w przygotowywanej przeze mnie książce*) i ograniczę się tutaj tylko do stwierdzenia, że właśnie dzięki całemu szeregowi nieostrożności, popełnionych w tych poszukiwaniach i rozmowach na Zachodzie, sprzysiężenie zostało ujawnione nie tylko przez wywiad sowiecki, ale również i przez wywiad niemiecki.

Rokossowski w 1932 roku został przeniesiony na Daleki Wschód. Wydaje się, że w tym czasie wszedł on w wyraźny kontakt organizacyjny z grupą stworzoną tam przez Gamarnika. Jeden z najpoważniejszych uciekinierów sowieckich, gen. N.K.W.D. — Luskow, który w 1938 roku uciekł do Mandżurii, opowiadał mi na temat roli Rokossowskiego w tym sprzysiężeniu, wiele ciekawych szczegółów. Według jego opinii, Rokossowski odegrał w tym sprzysiężeniu rolę prowokatora.

W 1936 roku Rokossowski został ściągnięty do Leningradzkiego okręgu wojskowego. Dowódcą tego okręgu był wkrótce mianowany, osławiony kawalerzysta budiennowiec — Prymakow, protektor Rokossowskiego jeszcze z czasów ukraińskich. W 1937 roku N.K.W.D. likwiduje organizację Tuchaczewskiego. Ambitny marszałek i jego najbliżsi pomocnicy: Uborewicz, Jakir, Kork, Eidemann, Ałksnis, Putna, a w ślad za nimi Blücher, Jegorow, Orłow, Muklewicz i inni zostali zlikwidowani. Tysiące generałów i dowódców, wśród nich i moi dobrzy znajomi — Dubowyj, Popow, Wasilenko, Wostriecow i inni, zostają aresztowani i osadzeni w więzieniach bądź w łagrach. Jan Ga-

*) Mowa o pracy pt.: *All my life I spied Russia*, rozdział z której pt. "Trust", drukowaliśmy w Nrze 4/21-5/22 *Kultury*. (Przyp. Red.).

marnik popełnia samobójstwo. Wśród aresztowanych figuruje również i Rokossowski.

Rola Rokossowskiego w więzieniu jest dość niejasna. W każdym razie nie była ona piękna. Według kilku informacji przysłużył się on wielce swymi zeznaniami do rozgromienia przez N.K.W.D. korpusu dowódców kawalerii. Jeden z moich rozmówców, oficer kawalerii sowieckiej, opowiadając mi o Rokossowskim już z okresu jego pobytu w łagrze, powiedział o nim z cynizmem: "typiczna swołocz iz polaków". W każdym razie los Rokossowskiego był w więzieniach lepszy niż los innych aresztowanych wojskowych sowieckich. Gdy w 1941 roku Stalin kazał sobie przedstawić listę dowódców sowieckich, uwięzionych a jeszcze nie zlikwidowanych w związku z zamachem Tuchaczewskiego, na liście tej znalazł się jako jeden z pierwszych dowódca korpusu, Konstanty Rokossowski. Zresztą na liście tej figurowało i paru innych późniejszych marszałków sowieckich, w tej liczbie i Żukow.

Rokossowski został zweryfikowany w najniższym stopniu generalskim — generała majora. Według opinii ludzi, którzy się z nim wówczas stykali, był to już człowiek kompletnie wyrafinowany w cynizmie, bezgranicznie oddany Stalinowi, wyzbyty wszelkich zasad i ideałów rewolucyjnych. "Typowy janczar", powiedział o nim tenże sam mój rozmówca, który stykał się z Rokossowskim w ciągu paru lat wojny.

Kariera Rokossowskiego była przeto zapewniona. Zrozumiał on w ciągu przeszło trzech lat pobytu w więzieniu, że wojsko i wojskowi muszą ulegać polityce i przede wszystkim człowiekowi, który nią kieruje — Stalinowi. Działalność Rokossowskiego od tego czasu to nie tylko sprężysta działalność doskonałego skądinąd organizatora i dowódcy wojskowego, ale to również działalność wytrawnego, znakomicie przy przesłuchaniach przeszkolonego enkawudysty, wyrafinowanego intryganta i spekulanta politycznego. Jemu między innymi należy przypisać usunięcie w cień Żukowa, najgroźniejszego a wieloletniego jego konkurenta, zarówno z okresu sprzysiężenia Tuchaczewskiego, jako też i z okresu wojny, a później z okresu "pokojoywej polityki sowieckiej" na terenie Polski i Niemiec.

Oficjalny życiorys marszałka ZSRR — Konstantego Rokossowskiego, podany w pismach krajowych z okazji przydzielenia go przez moskiewskie Politbiuro na gauleitera w Polsce, nie wiele ma wspólnego z prawdą. Życiorysy w Rosji Sowieckiej — podobnie zresztą jak i żywi ludzie — są od dawna narzędziami i argumentami politycznymi. Czytanie poszczególnych tomów "Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej", wydawanej, jak wiadomo, w przeciągu ćwierć wieku bez mała, może być źródłem zarówno doskonałej uciechy jak i głębokich refleksji. Te same elementy i fakty historyczne, te same personalia przedstawione są zupełnie inaczej w tomie 13-tym a powiedzmy w tomie 45-tym czy 49-tym. Każde nowe wydanie historii "Wojny Cywilnej"

czy "Rewolucji Październikowej" obfituje w coraz bardziej rewelacyjne "historyczne odkrycia" i sensacje. Ludzie nikną z kart historii równie szybko i bez śladu jak i w życiu. Zrobienie "wroga ludu" z wczorajszego "bohatera Związku" jest równie łatwe i proste, jak zlikwidowanie całego obwodu, republiki, ba! narodu nawet. Lecz gdy zachodzi tego potrzeba, partyjnemu dostojnikowi wynajduje się odpowiednie "drzewo genealogiczne": "mamę wprost od warsztatu i papę od pługa".

Jeszcze parę lat temu, według najoficjalniejszych życiorysów sowieckich, Rokossowski "rodził się" na Białorusi a o rodzicach jego, jako o burżuazyjnych inteligentach, wolano nie wspominać. Dziś wiemy, że Rokossowski jest "korzennym" Polakiem, nawet warszawianinem, dziedzicznym proletariuszem, płomienym rewolucjonistą etc., etc. Oficjalny sowiecki Plutarch nie wspomina ani słowem o tym, gdzie się podziewał i co robił "nowy Jarosław Dąbrowski" w latach 1938-1941. Tym mniej należało się spodziewać że wyjaśni on tę tragiczną rolę, jaką "Polak"-Rokossowski odegrał w okresie powstania warszawskiego.

Uciekanie się do porównań i analogii historycznych jest prawie zawsze podejrzaną metodą analizowania i oceny zjawisk. Ale narzucane z góry procesy sowietyzacyjne, podobnie jak niegdyś carskie metody rusyfikacyjne, mimo pozornej różnaitości metod, mimo nieraz bardzo perfidnego i wnikliwego "dostosowywania się do osobliwości terenu", odbywają się w gruncie rzeczy według tak sztywnego schematu, że analogie i porównania nasuwają się mimowoli.

Polska, jeżeli chodzi o zaawansowanie w sowietyzacji, znajduje się w chwili obecnej (toutes proportions gardées — oczywiście) mniej więcej w tym samym momencie, co Ukraina w latach 1828-1829, w przeddzień przymusowej a straszliwej w skutkach kolektywizacji. Trzeba stwierdzić — aczkolwiek nie pójść to w smak wielu zarożumiałym Polakom — że sowietyzacja w Polsce idzie bolszewikom łatwiej niż na Ukrainie. Składa się na to mnóstwo obiektywnych przyczyn — ale fakt jest faktem.

Lata 1927-1929 były równie przełomowe dla komunistów i kapitulantów ukraińskich jak lata 1948-1950 są przełomowe dla komunistów i kapitulantów polskich. Ukraina wtedy, a Polska dziś doszły do tego momentu rozwoju sowietyzacji, że najdalej posunięte oportunizm i ugodowość nie są już w stanie zadowolić Kremla. Dalszy etap — etap przemiany demokracji ludowej na socjalizm totalny — może być wykonany tylko przez bezkompromisowych bolszewików, kremlowskiego chowu. Doświadczenie sowieckie uczy, że takich bolszewików nigdy nie jest w stanie dostarczyć sowietyzowany naród. Trzeba uciekać się do importowanych gauleiterów.

Takimi gauleiterami na Ukrainie byli Kaganowicz i Postyszew, a obecnie jest Chruszczow. Takimi gauleiterami w Polsce

są Berman, Zambrowskij, Ochab. Obecnie przybywa wielkorządca — Rokossowski. Gauleiterzy na Ukrainie likwidowali stopniowo a systematycznie ukraińskich kapitulantów, komunistów, socjalistów i rewolucjonistów: Skrypnika, Jefremowa, Lubczenkę, Piotrowskiego, Szumskiego, Czubara i tysiące innych. Gauleiterzy w Polsce zlikwidowali już Mikołajczyka, Gomońkę, Spychalskiego, Żymierskiego (a kto wie czy i nie Waltera-Świerczewskiego). Kolej na Cyrankiewicza, Bieruta, Modzelewskiego, Jędrzychowskiego, Minca i wielu innych, którym się jeszcze wydaje że będą jutro tym, czym są dzisiaj.

Super-gauleiter, "czwarty marszałek Polski", ma dobrą szkołę: Ukraina, Daleki Wschód, łagry i wojna. I jemu zresztą wydaje się zapewne, że wierną służbą kupuje sobie trwałość łask. Lecz rewolucja trwa. Rewolucja nieustającego Termidoru...

Ryszard WRAGA.

(Copyright by Kultura)

„POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym

tygodnikiem społeczno-religijnym

Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{er}

C.C.P. 4955-03

« Ptaszki » — « Zrzutki »

Z ustaniem działań wojennych na ziemiach polskich w jesieni 1939 roku, zamilkły na długi czas przeciwlotnicze syreny alarmowe. Z początku sporadyczne, a później coraz częstsze nad zachodnią częścią kraju przeloty eskadry oznaczonych swastyką, a nad wschodnią częścią ukazujące się maszyny z czerwoną gwiazdą, nie powodowały już alarmów. Nie budziły już grozy ani postrachu, jak wówczas w pamiętnym wrześniu, gdy na zatłoczonych drogach i przepełnionych dworcach kolejowych ludność ulegała panice w uchodźczej wędrówce.

W drugiej połowie 1941 roku wschodnia część Polski doznała raz jeszcze, ale już w nieznacznym stopniu, skutków wojny powietrznej, gdy obaj najeźdźcy tym razem przeciwko sobie się zwrócili. Kilka miejscowości, głównie Lwów i Wilno, usłyszało parokrotnie syreny alarmowe i wybuchy bomb, latem niemieckich, a jesienią sowieckich. Stolica była parokrotnie bombardowana przed Powstaniem Warszawskim przez lotnictwo sowieckie. Najgroźniejsze były trzy naloty nocne; było to w sierpniu i we wrześniu 1942 roku oraz w maju 1943 roku. W każdym z tych trzech terrorystycznych nalotów, dokonanych na dzielnice mieszkalne, zginęło po kilkaset osób.

Począwszy jednak od późnej jesieni 1941 roku cisza nocy polskiej coraz częściej przerywana była sygnałami syren alarmowych. Początkowo ludność nie zdawała sobie sprawy z ich znaczenia. Jeszcze budziły grozę w obawie, czy nie są zapowiedzią bombardowań. Komunikaty wojenne nie wzmiankowały jednak o dokonanych nalotach. Wieść szeptana, w której rozpowszechnianiu kraj doszedł do zadziwiającej wprawy, nie wymieniała miejscowości bombardowanych. Budziło to tym większe zaciekawienie, to też usiłowano rozwiązać zagadkę.

Przecież noca, gdy odezwą się syreny, łatwo można rozpoznać, jaki obwieszczaają kierunek nalotu. Z początku ciche, odległe, a później głośniejsze i bliższe, a potem znów oddalające się ich dźwięki wskazywały wyraźnie, że budzą czujność przed samolotami nadciągającymi z zachodu. Przynależności maszyn nie można było rozpoznać w ciemności. Tylko ci co słyszeli dudnienie ich motorów opowiadali, że nie było podobne do znanych dobrze odgłosów maszyn niemieckich. Było silniejsze, potężniejsze, a z czasem przestało być obce; poznawano je już z dużej

odległości. Ale o nalotach było ciągle głucho. Jakież mógł być cel tych tajemniczych przelotów nad Polską? Czy były to może jakieś maszyny zabłąkane? Wydarzenia takie były dla zneganego kraju powodem dręczących dociekań, a powtarzały się coraz częściej, szczególnie w nocy księżycowe.

Z czasem wyjaśniono te wątpliwości; nie trzeba było nikogo zapytywać; bezpiecznej było nawet o tym nie wspominać. Nadchodzące z tego kierunku głosy syren nie budziły już obaw. Przeciwnie, wszyscy, nawet dzieci nocą ze snu ich przeraźliwym dźwiękiem przebudzone, witały je bez niepokoju. Było bowiem powszechnie już w kraju wiadome, że kiedy nocą ogłaszano alarm w godzinach pomiędzy 24 a 2, będą znowu z maszyn znaczonych biało-czerwonymi prostokątami zrzucać przybyłych z Zachodu "Ptaszków". Tak bowiem w miastach nazywano zrzuconych spadochroniarzy, gdy dla odmiany mianem "Zrzutków" ludność wiejska ich przezywała. Mając różne dla nich nazwy, wieś i miasto podzieliły pomiędzy siebie również i role w przyjmowaniu "Ptaszków" - "Zrzutków". Wieś dawała im pierwszy konspiracyjny chrzest na ziemi ojczystej; miasto wchłaniało ich później w swój podziemny nurt życia.

Ażeby uruchomić zrzuty powietrzne, trzeba było wprzód, zarówno w Wielkiej Brytanii jak i w kraju, poczynić bardzo liczne przygotowania. W Wielkiej Brytanii powstała potężna organizacja, mająca własne zakłady wyszkolenia, magazyny, pakownie, stacje odlotowe z eskadrami wyposażonymi w sprzęt dostosowany do dalekich lotów. W kraju początkowo przy Komendzie Głównej Armii Krajowej, a później w Okręgach powstały komórki przyjmowania zrzutów. Zadaniem ich było m. in. wybierać dla tego celu odpowiednie, na ustroniu położone miejsca. Nazywano je "placówkami odbiorczymi". Jeśli zaś można było jednej nocy przyjąć zrzuty kilku maszyn, nazywano taką placówkę "bastionem". "Bastiony", położone w dogodnych miejscach, mogły być broniące tak skutecznie, że były w stanie odeprzeć nawet silne uderzenie niemieckie. Obsadę placówek odbiorczych i bastionów, pod kierownictwem delegata Komendy Głównej, stanowili żołnierze Armii Krajowej z miejscowej ludności wiejskiej.

Miejsca placówek i bastionów były podawane do Londynu radiowymi depeszami szyfrowymi. Tutaj, na każdy sezon, trwający każdego roku od października do kwietnia, ustalano kolejność zrzutów. Przy pomocy haseł nadawanych przez BBC w programach polskich, którymi były melodie grane po zakończeniu audycji, powiadamiano kraj o mających się odbyć lotach. Sygnałem tym wskazywano jednocześnie, które placówki w nadchodzącą noc mają zająć swe stanowiska dla przyjęcia zrzutu. Dla łatwiejszego odnalezienia placówki przez nawigatora, żłoga jej zapalała na ziemi umówione sygnały świetlne. Zmieniało je często, by Niemcy po rozpoznaniu ich nie podszyli się pod nie, i by oni nie podjęli zrzutu. Niemcy wystawiali czasem własne sygnały, by nimi zmiać nawigatora i spowodować zrzut

na podstawioną przez nich placówkę. W żadnym jednak wypadku nie udało się im oszukać naszych nawigatorów.

Samolot zabierał zwykle 3 — 6 skoczków oraz około półtorej tony ładunku. Ładunek samolotu zwiększano, gdy nie lecieli skoczkowie. Zależnie od typu samolotu ładunek składał się z 6 lub 12 zasobników oraz kilku paczek, zrzuconych również na spadochronach. Był w nich różnego rodzaju sprzęt i materiał: karabiny i pistolety maszynowe i automatyczne, granaty ręczne i przeciwpancerne, Piaty*) i moździerz, oraz amunicja do wszystkich rodzajów zrzuconego sprzętu. Były też gotowe stacje nadawcze i odbiorniki radio oraz ich części składowe, materiał dywersyjny jak plastik, spłonki, zapalarki elektryczne i ręczne, lonty, miny czasowe i zapalające. Były też inne rozmaitości, których brak było w kraju, a były potrzebne dla pracy Armii Krajowej, jak aparaty i przyrządy fotograficzne, chemikalia, mapy, lekarstwa, przyrządy chirurgiczne, książki, gazety i inny materiał propagandowy. Jako opakowanie i uszczelnienie dodawano mundury.

Po dokonanym zrzucie działały się na ziemi dziwne rzeczy. Zrzucony materiał podejmowany był natychmiast przez załogę placówki i rozwożony oczekującymi furmankami na meliny na przechowanie. Delegat Komendy Głównej kontrolował zawartość i zgodnie z rozdzielnikiem decydował co miało pozostać na miejscu dla wyposażenia danego terenu. Była to głównie broń i amunicja, natomiast pieniądze i sprzęt specjalny dobrze ukryte przewożone były do Komendy Głównej w Warszawie.

A cóż działo się ze skoczkami? Natychmiast po zetknięciu się z ziemią, co nie zawsze bywało łagodne, dostawali się w ramiona żołnierzy Armii Krajowej z placówek odbiorczych. Dziewczeta, żołnierze AK, które jako sanitariuszki bywały czasem w składzie placówek, nie pozostawały w tych powitaniach na uboczu. Oddawano sobie "Zrzutków" kolejno z jednych ramion w drugie. Uściski były mocne, serdeczne. Noc przyjęcia zrzutu na placówce odbiorczej była dziwnym, niecodziennym misterium. Chwilę tę można tylko przeżyć, trudno ją opisywać.

Uściski żołnierskie były nie tylko powitaniem kolegów. Nie były objawem radości z powiększenia o kilku żołnierzy szeregów Armii Krajowej, liczącej setki tysięcy. Otrzymany sprzęt, chociaż cenny bardzo, też nie był najważniejszy. Odczucia układały się w innej płaszczyźnie. Kolejne przybywanie na przestrzeni czterech lat paru setek skoczków, przyloty maszyn z legendarnego "Zachodu", syreny alarmowe oznajmiające to ludności były więcej jak symbolem więzi łączącej Zachód z krajem. Były dowodem, że Zachód i znajdujące się tam Polskie Siły Zbrojne są wartością realną, że chociaż oddalone, ale potrafią sięgnąć do kraju i przynieść mu pomoc. Znaczenie

*) "Piat", ręczna broń przeciwpancerna typu angielskiego.

moralne łączności powietrznej, otucha jaką stąd czerpano wielokrotnie przewyższała materialną wartość zrzutów. "Ptaszk" — "Zrzutki", żywy dowód tej spójni, byli dlatego tak serdecznie witani. A potem szli do walki wspólnie z żołnierzami Armii Krajowej, otrzymując przydziały służbowe odpowiednie do swych kwalifikacji.

Nie wszystkie zrzuty odbywały się na placówki odbiorcze. Zdarzały się wypadki, że nawigator mylił się i zrzucono skoczaków w inne, często nie oczekiwane miejsce. Wówczas skoczkowie, mając tylko adresy kontraktowe, bez pomocy załóg placówek odbiorczych zdani na własny spryt, musieli dotrzeć do miejsca, czasem odległego, wskazanego im przed odlotem. Przed opuszczeniem miejsca zrzutu obowiązkiem ich było zabezpieczyć zrzucony materiał. Instrukcja przewidywała, że w takich wypadkach, materiał winien być zakopany. Podejmowany on był później przez specjalnie w tym celu wysyłane ekipy ewakuacyjne.

Nie cały kraj objęty był zasięgiem samolotów. W okresie, gdy starty odbywały się z Wielkiej Brytanii samoloty docierały nie dalej jak kilkadziesiąt kilometrów na wschód od Łuku Wisły pod Warszawą. Zasięgiem samolotów były więc objęte tylko okręgi Armii Krajowej: Poznań, Toruń, Warszawa, Łódź i Radom. Zrzutów dokonywano jednak w tym czasie tylko w obszarze Warszawy i w okręgu Radom, gdyż plany Komendy Głównej AK nie przewidywały zaopatrywania Okręgów Poznań, Toruń i Łódź. Gdy z początkiem 1944 roku rozpoczęły się loty z baz położonych we Włoszech, zasięg rozszerzył się i na inne Okręgi jak Tarnopol, Stanisławów, Lwów, Kraków i Lublin.

W okresie czasu od 15 lutego 1941 roku, tj. od pierwszego lotu, do 25 grudnia 1944 roku, kiedy to odbył się ostatni zrzut — 483 samoloty wykonały operacje nad Polską. W tej liczbie były przede wszystkim załogi polskie, pewna ilość załóg brytyjskich i południowo afrykańskich, a dnia 18 września 1944 roku podczas powstania 107 latających fortec amerykańskich dokonało zrzutu dziennego na Warszawę.

W czasie tych niespełna czterech lat zrzucano w Polsce: 348 skoczków, 4.700 zasobników, 3.000 paczek. Dostarczono drogą powietrzną 40 milionów złotych okupacyjnych, 34 miliony dolarów amerykańskich, 19 milionów marek niemieckich.

Straty w czasie tych operacji wynosiły: 63 maszyny (z załogami), 11 skoczków, 1.300 zasobników, 500 paczek, 1.700.000 dolarów. Liczba 11 zabitych skoczków obejmuje tylko wypadki podczas drogi powietrznej. W późniejszej bowiem służbie w Armii Krajowej 60% przybyłych do kraju poległo w walkach z Niemcami, lub znajduje się na liście zaginionych. Wielu znalazło się w obozach koncentracyjnych sowieckich i nie wszyscy jeszcze powrócili stamtąd do kraju.

Skoczkowie nie byli jakimś wojskiem specjalnym, ani zamkniętą grupą. Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, który wyraził chęć służby w kraju i pragnął bić się

na własnej ziemi, bywał kierowany na przeszkolenie. Wielu ochotników odstraszała myśl o skoku na spadochronie. Ci jednak co skakali nie byli wolni od strachu. Skok, zjawisko przeciwnie naturze ludzkiej, budzi strach u każdego, nie tylko przy pierwszym, ale przy każdym następnym skoku, chociażby powtarzać go wielokrotnie.

Skoczkowie mieli różne specjalności, głównie byli to przeszkoleni instruktorzy dywersji i partyzantki, poza tym radiotelegrafici, oficerowie wywiadu, łączności, specjaliści broni pancerniej, lotnicy, marynarze. Byli pomiędzy nimi szeregowi, podchorążowie, oficerowie i dwóch generałów. Jeden z nich gen. bryg. Leopold Okulicki dostąpił najwyższej godności wojskowej w kraju, gdy po Powstaniu Warszawskim po odejściu gen. dyw. Tadeusza Bora-Komorowskiego do niewoli niemieckiej, został mianowany dowódcą Armii Krajowej. Gen. Okulicki jest w liczbie tych, którzy dotąd nie powrócili z kaźni NKWD, po bezprawnym osądzeniu w Moskwie w czerwcu 1945 roku.

Zrzuty nie były dla Niemców tajemnicą. Wiedzieli o nich doskonale. Każdy przelot był śledzony przez ich aparaty wykrywające. Po rozpoznaniu tras lotów zorganizowali w 1942 roku obronę przeciwlotniczą tak skuteczną, że tylko z wielkimi stratami można było przedostać się przez ich zapórę. Wprawdzie najkrytyczniejsza część drogi była krótka, jedynie nad Danią, ale i na tym małym odcinku potrafili zadawać dotkliwe straty. Zmieniono wówczas taktykę i zarzuciwszy loty na wysokim pułapie, latano lotem koszącym na pułapie nie wyższym jak sto metrów. Można sobie wyobrazić jak męczący dla załogi był nocny lot koszący, wykonywany na potężnych, czterosilnikowych Halifaxach lub Liberatorach, obciążonych do granic maksymalnych. A lot taki trwał w obie strony około 14 godzin. Loty koszące utrudniały Niemcom umiejscawianie maszyn i zestrzeliwanie. Taktyka ta jednak nie długo była skuteczna, gdyż Niemcy i na to znaleźli sposób. By nie powodować nadmiernych strat, przerzucono z końcem 1943 roku bazy odlotowe z Wielkiej Brytanii do Włoch. Było stamtąd bliżej do Polski, toteż loty odbywały się również podczas krótkich, letnich nocy i można było wybierać tak wiele tras, że uzyskano znacznie większy procent bezpieczeństwa.

Warto zaznaczyć dla scharakteryzowania jak trudne były loty nad Polską, że na 483 udanych lotów odbyło się 858 startów maszyn z baz odlotowych. Setki maszyn zawracało z drogi na skutek postrzelania przez niemiecką broń przeciwlotniczą lub myśliwców, wobec defektów silników, oraz fatalnych warunków atmosferycznych na trasach. Niektóre samoloty powracały znad Polski z pełnym ładunkiem, gdy z powodu złej widoczności lub zbłądzenia nie zdołały odnaleźć placówki odbiorczej.

Stała łączność radiowa pomiędzy krajem a bazami odlotowymi i ustalony system kodów zapewniały regularne porozumiewanie się. Stacje meteorologiczne zainstalowane w Polsce, w Szwecji i na Węgrzech dostarczały każdego dnia komunikatów

o warunkach atmosferycznych na trasach. Meldunki radiowe z kraju informowały o nasileniu obrony przeciwlotniczej w poszczególnych rejonach. Zanim jednak ta rozległa organizacja zaczęła funkcjonować, zanim zdobyto doświadczenia i osiągnięto sprawność zrzutów, trzeba było wykonać wiele prób, poświęcić wiele wysiłków i ponieść wiele strat.

Pierwszy zrzut 15 lutego 1941 roku dokonany został omyłkowo na terenie niemieckim na Śląsku. Materiał przepadł. Skoczkowie dotarli jednak do Warszawy. Jeden nie zatrzymany po drodze dostał się tam wkrótce. Dwaj pozostali, pochwyceni przez Niemców przy przekraczaniu granicy, odsiedzieli trzy miesiące kary za nielegalne przebywanie w obszarze przygranicznym i potem przybyli do Warszawy. Szczęśliwym dla nich zbiegiem okoliczności i potwierdzeniem, że dobrze byli przygotowani do zadania był fakt, że przy przesłuchaniach nie zostali rozpoznani jako skoczkowie przez Gestapo.

Następny lot, z dużą przerwą dla praktycznego zastosowania zdobytych doświadczeń, dokonany dopiero w listopadzie 1941 roku, był udany. Przybył nim do kraju por. Jan Piwnik, ps. "Ponury", słynny później dowódca zgrupowania partyzanckiego, działającego w kieleckim i radomskim. Por. Piwnik, awansowany do stopnia majora i przeniesiony na Wileńszczyznę, zginął w walce z Niemcami w Nowogródzkim na wiosnę 1944 roku.

Trzeci z kolei lot w Boże Narodzenie 1941 roku skończył się niepomyślnie. Skoczków zrzucono pod Kutnem na las, po niemieckiej stronie granicy dzielącej Generalne Gubernatorstwo od terenów wcielonych do Rzeczy. Materiał przepadł. Z sześciu zrzuconych skoczków czterech zaraz po skoku udało się w drogę na wschód do Warszawy. Zatrzymani w lesie przez zasadzkę niemieckiego patrolu straży granicznej zostali doprowadzeni na strażnicę. Dla wprowadzenia Niemców w błąd podali się za przemytników. Po doprowadzeniu na strażnicę, na umówiony sygnał wydobyli błyskawicznie ukryte pistolety i wystrzelali w mig całą niemiecką obsadę strażnicy. Wszyscy czterej skoczkowie, jeden z nich lekko ranny, szczęśliwie przybyli do Warszawy. Dwaj pozostali w lesie dla zdjęcia spadochronów z drzew i ukrycia zrztu, zaskoczeni na drzewach przez patrol niemiecki, zostali zabici. Byli to rtm. Marian Jurecki i por. Andrzej Świątkowski. Pomiędzy czterema, którzy przybyli do Warszawy był ppłk. Maciej Kalenkiewicz ps. "Kotwicz". W czasie akcji "Burza" latem 1944 roku w walkach z Niemcami w Nowogródzkim stracił rękę. 21 sierpnia 1944 roku, jeszcze niezupełnie wy leczony, otoczony przez bolszewików z grupą oficerów na odprawie we wsi Surkonty, w powiecie Lidzkim, nie zgodził się na złożenie broni. Osaczony ze wszystkich stron, po całodziennych walkach poległ wraz z całą grupą.

Czwarty lot w styczniu 1942 roku miał też niezwykle przebieg. Zrzutu dokonano opodal czuwającej placówki odbiorczej na rozległą wieś, której nawigator nie rozpoznał wobec pokrycia dachów dużą okiścią śniegu. Do wioski tej z wieczora przybył z

frontu wschodniego oddział niemiecki na wypoczynek i kwatrował w przeciwnym jej krańcu. Czy to służba ubezpieczeń niemieckich zawiodła, czy też zmęczenie żołnierzy było zbyt wielkie, dość na tym, że Niemcy nie zostali zaalarmowani prze lotem obcego samolotu. Skoczkowie, przy pomocy ludności miejscowej, zdołali podjąć zrzut sprzed nosa Niemców, ukryć go i w ten sposób dostał się we właściwe, polskie ręce.

Z czasem technika lotów usprawniła się, zrzućy stawały się coraz to bardziej udane, a ich ilość stale się powiększała. W pogodne, księżycowe noce wyruszało z baz odlotowych po 8, 10, 12 maszyn. Zrzutów dokonywano bardziej poprawnie na placówki odbiorcze, gdzie skoczków oczekiwali żołnierze Armii Krajowej a nie Niemcy. Tylko czasem, w bardzo rzadkich, bo w trzech wypadkach, gdy spadochron zawiódł i nie rozpostarł się po sprzątnięciu przesyłki, mogła żołnierska zaznaczała miejsce placówki odbiorczej, która spełniła zadanie.

Było to przy skoku ppor. Bolesława Odrowąża-Szukiewicza w nocy z 16/17 lutego 1943 roku, przy skoku kpt. dypl. Jana Serafina w nocy z 19/20 maja 1943 roku i przy skoku ppłk. Leopolda Kryzara w nocy z 17/18 października 1944 roku.

Kazimierz IRANEK-OSMECKI.

*) Wszystkie cyfry i dane przytoczone w artykule zostały zaczerpnięte z aktów b. Oddziału Specjalnego Sztabu Naczelnego Wodza.

Kronika kulturalna

Don Kiszot z Świętokrzyskiej

Tak się złożyło, że od młodości stykałem się z antykwariatami; już jako mały chłopiec po nich chodziłem z ojcem, zamiłowanym zbieraczem porcelan i wszelkich dzieł sztuki. Wdychałem ich dziwne powietrze, wchodziłem w ich szarość, niby stare złoto nieco przyprószone czasem, poznawałem obyczaje przedmiotów starych, czcigodnych. Znaki fabryk porcelany-mieczy meiseńskie, ul starego Wiednia, trójkąt Korca, litera F Fürstenbergu czy podwójne, splecione L-Sèvres'u, znaczyły dla mnie tyle co podpis człowieka. I stwierdziłem z czasem, że antykwariusze to pewnego rodzaju maniacy, których z klientami łączyła jakaś nieopisana, cicha umowa spiskowców. Ale każdy spiszek o ile ma być spiskiem musi być skierowany przeciwko komuś: przeciwko komu więc spiskują antykwariusze? Zdaje mi się, że przeciwko czasowi, tout court. Tak przynajmniej sądzę z dziwnego opowiadania Honoriusza Balzaka "La peau de chagrin", w którym młody utracjusz znajduje kawałek skóry, dający mu możliwość spełnienia wszystkich życzeń, za cenę skracania się własnego życia. Bo przecież ciągły kontakt z przeszłością, z sprzętami, które przeżyły człowieka jest odmłodzeniem: żyjemy w ich otoczeniu, w wieku wcześniejszym, chwila obecna, zazwyczaj najbardziej ciężka w kłopoty, znika i naraz pozostajemy żyć przed ową chwilą, kiedyśmy się tutaj zjawili.

Toteż dziś, gdy myślę o Warszawie, spowitej w mgłę wspomnień, w mgłę "dymów pożarów", tak niemiłosiernie przepowiedzianej przez naszą pieśń, widzę ją na odcinku ulicy Świętokrzyskiej, tej starej, zwykłej ulicy, brudnej, niechlujnej, wieczorem "pulsującej" transakcjami między anonimowym przechodniem i dziewczyną uliczną. Boli mnie każda spalona cegła stolicy, każdy spalony obraz czy makata, każdy pomnik naszej przeszłości, ale właśnie ona, z swymi przelicznymi antykwariatami, pozostała zaczarowaną krainą Warszawy. Nie spotkałem

tego czaru w bibliotekach, nierównie zapewne bogatszych od małego kramiku żydowskiego antykwariusza. Biblioteka posiada katalog, wszystko jest uporządkowane alfabetycznie; jest w tym chaosie zadrukowanych kartek porządek i system. Wystarczy wypełnić formularz i otrzymuje się książkę, właśnie tę a nie inną, tę, o którą się prosiło. W antykwariacie jest bogactwo niespodzianek: jest to spotkanie z nieznaną, której czar będzie można odkryć później. Biblioteka jest zebraniem towarzyskim gdzie wiadomo kogo się spotka.

Iluż podstępów, ilu chwytów psychologicznych trzeba używać wchodząc do antykwariatu! Zwycięstwa nad świętokrzyskimi antykwariuszami, kończące się nabyciem rzadkiej książki za "grosze", były moimi jedynymi sukcesami handlowymi w życiu. Antykwariusz — chodziło o jednego z członków dynastii Kleinsingerów, człowieka 50-letniego, małego wzrostu z piękną brodą, — kilka razy przechytrzony przez mnie, poznał się na moim "geniuszu" i jako dobry kupiec okazywał mi duże uznanie, a nieraz pytał o zdanie co do ceny jakiejś książki.

Od wieków — zapewne — skarby polskiej książki (gdyż bez przesady znaleźć tam było można nieraz rzeczy bardzo rzadkie) spoczywały w ziemnych, fachowych, nieubliżanych rękach kilku rodzin żydowskich. Nie zgłębiłem ich stosunków genealogicznych, ale zdaje mi się, że była to jedna jedyna rodzina Kleinsingerów, do której przyczepiały się, jako młodsze gałęzie, drogą małżeństw, pomniejsze rodziny i firmy. Kleinsingerowie w świecie księgarskim to niejako Piastowie krakowscy, seniorowie, dookoła których grawitowały pomniejsze linie Piastów śląskich czy zatorskich. Nieraz chciałem dociec czy ci strażnicy polskiej książki niby smoki strzeżące zakłętą królową, mieli do niej sentyment osobisty, czy też książka była dla nich tylko towarem. Zdaje mi się, że zachodziła tutaj sytuacja w jakiej znajduje się eunuch stojący na straży haremu: żadne nici nie łączyły jednego z drugim. Ale grzebiąc się wśród starych szpargałów i spoglądając na postać gospodarza, rzucającego w żargonie jakieś rozkazy kilku wyrostkom, przychodziło mi na myśl, że ci ludzie to może następcy jakichś dawnych rabinów, lekarzy królewskich, astrologów czy alchemików, którzy, dostosowując się do nowych czasów, zmienili swój zawód ale utrzymują nadal jakieś tajemnicze tradycje. Przecież ta zewnętrzna obojętność, ten chłód zawodowy, mógł kryć w sobie niespodziewane głębie!

Na jednej z wypraw po Świętokrzyskiej udało mi się odkryć kilkadziesiąt tablic niezwykle rzadkiego dzieła Józefa Aleksandra Jabłonowskiego, wojewody nowogrodzkiego, słynnego pseudo-uczonego i dziwaka, założyciela "Societas Jablonoviana" w Dreźnie, w końcu XVIII w. Tablice genealogiczne, długości nieraz kilku metrów, wyszły w Amsterdamie, a kosztowały autora sporo pieniędzy. Chciałem dociec źródła z którego pochodziło.

— To już zawsze u nas było! — odparł z typową dla swej rasy obojętnością.

Zawsze! To jedno z tych słów, które niby pleśń metalów czepiają się starej książki, starego manuskryptu. Szereg generacji antykwariuszy od wieków sprzedawało papier zapisany czy zadrukowany, papier na którym uwieczono myśl ludzką w okowach liter, czarnych znaków tajemniczych i niepokojących. Czasem przechodząc po antykwariatach napotykałem na ślady rozgromienia jakiejś biblioteki: tak spotykałem np. szereg dzieł z ekslibrysem Wiktora Wittyga, znanego autora historycznego, resztki biblioteki Podhorskich z Podola, biblioteki Głowińskiego z Małopolski (zdaje się wschodniej) a nawet, kiedyś, natrafiłem na książkę francuską z XVII wieku, pochodzącą z waliz hr. de Caulaincourta, napoleońskiego generała, który tu, w Warszawie, zapewne w r. 1812, postradał swe bagaże, a wraz z nimi i książkę.

Inna atmosfera panowała w Wildera, na ul. Czackiego. Nie była to antykwarnia lecz salon, urządzony w stylu zachodnim. Mebli niektórych dostarczył mu może Szczerbiński; sklep jego znajdował się za rogiem, o kilka kroków dalej, na placu Małachowskiego. Wilder był bibliofilem, wydał listy Napoleona, znalezione już nie wiem gdzie, z faksimilami. Wydawał katalog, porównywał ceny z katalogami innych antykwarni zagranicznych, stawał się wyrocznią w zakresie cen, dat, wydawnictw, opraw. Urastał do rzędu Estreichera rynku księgarskiego, stawał się uczonym. Ale mimo wszystko brakowało tu czegoś: może tajemniczości kramu zawałonego książkami, może pajęczyn, może brudu, może brody starego Kleinsingera.

Zupełnie specjalny charakter miał antykwariat Soubise-Bisiera w dawnym pałacu Uruskich, ostatnio Czetwertyńskich. Sam Soubise-Bisier, wysoki, chudy, kościsty dziad, starzec, oryginal, robił wrażenie jakiegoś balzakowskiego bohatera. Twierdził, że jest potomkiem francuskich książąt de Soubise; patrząc na niego można było mu przypisać jakąś niezwykłą przeszłość, olbrzymią fortunę dawno straconą, niezwykle nieszczęścia i katastrofy życiowe. Miał u siebie wszystko: porcelanę, szkło, dokumenty, stare meble, rzeźby, obrazy, medale.

Naprzeciwno Pałacu Saskiego, gdzie mieścił się mózg naszej polityki zagranicznej, w "Hotelu Angielskim" gdzie nocował Napoleon, powstał niedługo przed wojną antykwariat p. Babskiego. Sam p. Babski był małym, nieco ułomnym człowiekiem, który swe fizyczne braki nadrobił niezwykle jasnym, jeśli chodzi o ceny, i pewnym umysłem. Specjalnością jego były dzieła historyczne, a zwłaszcza genealogiczne. Wiążąc snobizmem ludzki z praktyką księgarską, uzyskiwał, zdaje się, bardzo dobre rezultaty. Do Babskiego książki płynęły jakąś zupełnie odmienną rzeką niż do innych antykwariuszy: może miał kontakty z bankrutującymi majątkami, może miał agentów skupujących u innych, dość że wybór dzieł był olbrzymi i niezwykle ciekawy. —

Nie brakło raz po raz bibliotek, które jak to bywa zazwyczaj, "pogrążona w smutku" rodzina co prędzej likwidowała. Tak się stało z piękną biblioteką po śp. Neprosie, jednym z największych znawców starożytności w Warszawie, u którego miałem zaszczyt — i muszę użyć tego słowa ze względu na niezwykłą stylowość przyjęcia, — jeść kiedyś kolację. Przyjęcie to odznaczało się tym, że gdyby nie współczesny strój pana domu i mój własny, mógłbym przypuszczać, że żyję w XVIII wieku. Wszystko co mnie otaczało, łącznie z nakryciem — serwis miśnieński, stare szkło, i oczywiście stare wino, obrazy, meble, ba! zdaje się, że nawet serwety, pochodziły z XVIII wieku. Temuż losowi uległa biblioteka Józefa Weyssenhoffa, którą oglądałem za jego życia, a w której zbiór (ponoć jedyny kompletny) kalendarzyków historycznych w zielonych skórzanych oprawkach, stanowił "clou". Tą drogą poszły biblioteki A. A. Kosińskiego, z niezwykle ciekawymi rękopisami Wittyga, biblioteka Jackowskiego i wielu innych. Żle jest pozostawiać rzeczy cenne sukcesorom.

Poprawionym wydaniem Wildera był w Warszawie Fiszler. Młody człowiek, wyraźnie przechodzący, w pierwszym pokoleniu, asymilację pod względem języka, manier, poglądów, Fiszler świetnie się znał na sztychach, panegirykach i dziełach historycznych. Był niezwykle europejski i sympatyczny, a ceny miał znośne. Będąc u niego w r. 1939 snułem, głośno, lekkomyślnie plany wobec licznych książek, które leżały na ladzie. Książki spłonęły, Fiszler zapewne również zasiadł z swymi przodkami przy biesiadnym stole, a klient snuje dawne wspomnienia.

W Krakowie odpowiednikiem Świętokrzyskiej była Szpitalna. Od dawna żaden szpital nie zanieczyszczał tej ulicy, ale nazwa pozostała. I tu, przyznam, w tych niskich, zazwyczaj sklepionych kramach i kramikach, unosił się powiew tajemnicy i wielkiej przeszłości, może bardziej silny, jak w Warszawie. Wszak Kraków to "pan z panów", pierwsza stolica, miasto, które widziało Wierzyńka, "pendant" do Fukiera, tylko bardziej ozdobnego. Wszak tu, w tych uliczkach, w tych pałacach, powstawały wielkie myśli polityczne, sięgające po bałtyk, po Węgry, Czechy, po Morze Czarne, po Kijów i Smoleńsk. Tu przechodził na tajną schadzke z jakimś magnatem alchemik Sędziwój, tutaj rozmyślając o technice rządzenia przekradał się nocą Callimachus Buonacorsi, śpiący wiecznym snem w kościele Mariackim, przyjaciel i doradca Jana Olbrachta, tu w końcu rozwijała się, krzepła i krystalizowała się myśl o Polsce jako czynniku europejskim. I z tych różnych wielkich i małych chwil sączyły się dzieła i skrypty, które spływały pod sklepione sufity kramów antykwarskich.

Wśród antykwarzy krakowskich odznaczało się dwóch Polaków, olbrzym Czernecki, dawny wydawca, wielki miłośnik książki i bardziej realny Stefan Kamiński. Byłem kiedyś u Czerneckiego w jego mieszkaniu, na ul. św. Jana, w jakimś starym pałacu: "mieszkanie" było niejako filią antykwariatu, a stosy

książek leżące na podłodze i "artystyczny nieład" wspaniałym tłem do jakiejś powieści czy noweli. Czernecki, który zapewne jeszcze żyje, był przed wojną 1914 człowiekiem bogatym i brał, jak mi mówił, żywy udział w życiu "Młodej Polski". Stąd znał niejedną sławę z bliska, dowiedział się wielu rzeczy, zagustował w sztuce i książce. Nieraz nie chciał sprzedać jakiejsi książki bo mu była potrzebna do jego własnych zbiorów. Ostatnio — już podczas wojny — opracował olbrzymią monografię Radziwiłłów, zebrawszy istotnie arcyciekawy materiał głównie ilustracyjny. Drugą monografię o Potockich wydał przed wojną, również bardzo starannie pod względem zewnętrznym, gdyż treść była raczej kompilacją niż nowym studium tematu.

Najuboższym miastem pod względem antykwariatów był zapewne Poznań: zarówno tłumienie kultury przez Niemców jak konieczność przeniesienia wlotów patriotycznych na odcinek gospodarczy powodowały, że stara książka nie była tutaj obiektem wielkiego zainteresowania. Z chwilą nastania rządów polskich wyniósł się jedyny bodaj niemiecki antykwariusz z Starego Rynku, sprzedając piękne nieraz rzeczy za bezcen. Poza tym najważniejszym antykwariatem była (na ul. św. Marcina) księgarnia należąca do małego, nieco ułomnego człowieka, p. Sepińskiego. Był to jeden z tych rzetelnych, sympatycznych i energicznych Wielkopolan, którzy "selfmade-mani" polskiego zachodu, doszli do życiowej sytuacji dzięki własnej pracy. Za młodu — jak mi opowiadał — był chłopcem redakcyjnym w "Dzienniku Poznańskim" gdzie naówczas królował jeden z nie licznych naszych filozofów, August Cieszkowski. Autor "Ojczyzny Nasz" pisywał do "Dziennika" artykuły, które młody Sepiński, jeszcze "ciepłe" przynosił do redakcji. Śmierć tego sympatycznego człowieka szczerze zmartwiła jego klientów. Niedaleko od księgarni Sepińskiego, istniała (w Alejach Marcinkowskiego) stara antykwarnia Leitgeberów, rodziny mającej podobne tradycje księgarskie jak słynna księgarnia Zawadzkiego w Wilnie, wydawcy, o ile pamiętam, niektórych młodzieńczych dzieł Mickiewicza. Leitgeberowie to stary poznański patrycjat, z dziada pradziada; na przekór niemieckiemu nazwisku, byli świetnymi Polakami. Pamiętam, że w owym właśnie czasie jeden z autorów warszawskich (bodaj Słonimski) napisał sztukę, której bohaterem był Leitgeber. Miała ona wyrazić ciężką społeczną rolę kupca, ciężką tak u nas mało znaną i niestety, tak mało cenioną. Leitgeberowie ściśle związani z "Kurierem Poznańskim" — twierdzą Narodowej Demokracji, odgrywali w Poznaniu rolę wybitną.

Cykl wspomnień się zamyka; różne twarze, które wypłynęły na chwilę z nicości, znikają, zamazują się, nazwiska jakby wykreślone czyjąś ręką, cofają się w przepaść przeszłości. Na horyzoncie znów wykłuta niby jakaś złowroga jutrzienka, łuna płonącej Warszawy. Słysząc szelest pożeranych przez ogień stronnic, czuć swąd starych papierów i pergaminów, skwierczą

niby kawałki słoniny, stare oprawy skórzane. I przypomina się wzruszająca scena z Don Kiszota, który powróciwszy po niefortunnym wyprawach po świecie, do swego wałacego się domostwa, siada skołatany na chwiejącym się fotelu przed kominem. Płonące polana oświetlają jego spiczaste rysy, jego rozwichrzoną choć dosyć rzadką bródkę. Obok leżą grubachne księgi, romanse rycerskie, z których czerpał swoje poglądy na świat, które były dla niego upojeniem i słodką trucizną. I starzec, który naraz przejrzał na oczy, bierze jedną po drugiej te towarzyski swych marzeń, i rzuca je w ogień. Gdyby był młodszy, rozpocząłby nowe, mądrzejsze życie; po poczynionych doświadczeniach, umiałby rozróżnić fałsz od prawdy, wiatraki od wrogów; będąc starcem może jedynie zabrać filozoficzny spokój do swego grobu.

I my, na gruzach świętokrzyskiej urastającej do symbolu, na zgłiszczach, które wchłonęły w siebie szary popiół kart, mówiących o naszej przeszłości, o naszych czynach, zawierających zapach i smak naszego narodu, po krótkim karnawale niepodległości między dwiema wojnami, wracamy do twardego, szarego poniedziałku, następującego po słonecznej niedzieli. Stajemy się narodem prostym, twardym; wysnuć będziemy musieli z siebie przedziwo ducha, którego wyraz konkretny rozwiązał się na cztery strony świata. Jesteśmy jak człowiek, który stracił swą metrykę, swe papiery rodzinne, swe pergaminy: gdzieś mu wykazywać się swą wielką przeszłością? Za papiery, za pergaminy musi starczyć on sam: staje się założycielem nowej rodziny, nowego szczepu, nowego narodu. Co wyszeptają usta wieków, co wypisała ręka benedyktyńska, co wytłoczył Piotrkowczyk, Hal-ler czy Gröll, na nowo, inaczej, my sami wyszeptać czy wypisać musimy. Staliśmy się, niejako, kolonizatorem pustej ziemi, musimy zapełnić pusty dom. Musimy stworzyć na nowo kulturę, odtworzyć ją niejako z pamięci własnego geniuszu narodowego. Kulturę krzepką, silną, ale też przepojoną pracą w ciężkim warstacie. Kulturę będącą nie ostatecznym wynikiem, ale niejako znów źródłem.

Jan ZADEYKAŃSKI.

Oficina poetów i malarzy

Trudności wydawnicze na emigracji odbijają się szczególnie dotkliwie na twórczości poetyckiej. Broszura polityczna, powieść łatwiej przebijają się przez trudności finansowe, papierowe, drukarskie. Poezja uważana jest za luksus wydawniczy, na który w obecnym położeniu nikt nie może sobie pozwolić. Toteż kilka nielicznych tomików wierszy, jakie ukazały się od zakończenia wojny, wydane były własnym nakładem, często z ostatnich żołnierskich oszczędności i z konieczności w niezbyt efektownej oprawie zewnętrznej. Wiersze wydane brzydko, niestarannie, na złym papierze cierpią dotkliwie; jest to bowiem gałąź twórczości, która zatracą o najrozmaitsze dziedziny sztuki, — muzykę, malarstwo. Nieestetycznie wydany tomik wierszy — to jak obraz powieszony w kącie, w złym świetle, na nieładnym tle, lub wyszukany utwór fortepianowy, wykonany w hałaśliwej knajpie, przy wtórze wrzasków pijackich i brzęku szkła.

W tej sytuacji poeci i malarze, którzy również odczuwają brak miejsca dla swoich aspiracji — postanowili wziąć sprawę w swoje ręce. Wszelkie złudne nadzieje, związane z instytucjami kulturalnymi, głoszącymi chętnie swoje szerokie plany, nigdy niewykonywane, jak np. Związek Pisarzy i jego stałe oświadczenia na temat organizacji pomocy wydawniczej, czy zapowiedziane przez wyd. "Veritas" "biblioteczka poetów", wszelkie te złudzenia zostały już doszczętnie rozwiane. "Veritas" wydał tomik pięknych wierszy doskonałego poety Bronisława Przybyszewskiego "Obrona mgieł", niestety w bardzo niestarannej oprawie zewnętrznej, i na tym utknął.

"Oficina poetów i malarzy" jest próbą uratowania wydawnictw artystycznych na emigracji. Inicjatywę, którą wysunął i pokierował poeta Czesław Bednarczyk, poparło kilkunastu poetów i młodych malarzy, wchodzących w skład popularnej "Grupy 49". Wspólna składka jest podstawą stworzenia skromnego funduszu wydawniczego. Dochody ze wspólnych imprez autorskich, wieczorów poetyckich i wystaw są dalszym źródłem powiększenia funduszu. Wydatną pomocą jest w tym wypadku poparcie p. Z. Arciszewskiej, która udostępniła "Oficynie" nowożytną kawiarnię "Sim" — umożliwiając organizację wieczorów artystycznych.

Celem "Oficyny" jest na razie wydawanie, przynajmniej co kwartał, jednego tomu poezji, w niedużej ilości 300 egzemplarzy numerowanych i na przekór panującym tendencjom — w ciekawej szacie zewnętrznej, na dobrym papierze z reprodukcjami rysunków, czy linorytów jednego z malarzy. Tego rodzaju artystycznie opublikowana książeczka, z jednej strony umożliwiłaby kolejno poszczególnym poetom ukazanie swojej twórczości, z drugiej strony rozpowszechniałaby prace młodych malarzy, tym samym przyczyniając się do pogłębienia zaintereso-

wań i kultury estetycznej na emigracji. "Oficina", jako zbiorowy wysiłek społeczny artystów, pragnie w ten sposób przełamać obojętność i brak zrozumienia dla zagadnień estetycznych na emigracji.

W wypadku powodzenia tej imprezy wydawniczej, projektowane jest uruchomienie periodyku, poświęconego wyłącznie zagadnieniom estetyki zarówno od strony poezji, jak i nowoczesnego malarstwa. Mimo pesymistycznych nastrojów, jakie panują na emigracji w dziedzinie spraw kulturalnych, artyści "Oficyny" wierzą, że inicjatywa ich znajdzie oddźwięk.

W najbliższym czasie ukaże się w wydawnictwie "Oficyny" tom poezji Jana Olechowskiego pt.: "Za siódmą rzeką". Dalsze wydawnictwa ukazywać się będą regularnie, co kwartał. Wszyscy zainteresowani publikacjami "Oficyny" proszeni są o zwracanie się listowne lub osobiste do p. Czesława Bednarczyka, 38, Balham Hill, London, S.W.12.

Katolickie nagrody literackie

W pierwszych dniach listopada br. Katolicki Ośrodek Wydawniczy "Veritas" ogłosił cztery nagrody literackie, które będą wręczone w dniu 3 maja 1950.

Nagrody te przyznane będą dla pisarzy, których twórczość zgodna jest z zasadami wiary i obyczajów katolickich i dzielą się na następujące 4 kategorie:

1) Nagroda literacka za ogólną działalność pisarską w kwocie funtów 50 — dla wybitnego pisarza polskiego, przebywającego poza granicami Kraju, za działalność literacką przedwojenną, w czasie wojny i powojenną.

2) Nagroda literacka młodych w kwocie funtów 100 — dla jednego z pisarzy przebywającego poza Krajem, który nie ma za sobą książki, drukowanej w Kraju przed 1 września 1939, a który ogłosił względnie napisał książkę beletrystyczną po 1 stycznia 1946 (i prześle ją w manuskrypcie do Kat. Ośrodka Wyd. "Veritas").

3) Nagroda dla publicysty katolickiego w kwocie funtów 25 — za ogólną działalność publicystyczną w duchu programowo katolickim. Do sądu nad tą nagrodą zaproszony będzie jeden przedstawiciel Czytelników "Zycia" i jeden "Gazety Niedzielnej".

4) Nagroda poetycka w kwocie funtów 25 — dla autora tomiku poetyckiego, wydanego po 1 stycznia 1946 na obczyźnie lub nadesłanego w rękopisie do Kat. Ośrodka Wyd. "Veritas".

Skład jury jest następujący:

— delegat Rektora Polskiej Misji Katolickiej na Anglię i Walię

— delegat P.K.S.U. "Veritas"

— prezes Związku Pisarzy Polskich na obczyźnie, Antoni Bogusławski

— Prof. dr. Władysław Folkierski

— prof. dr. Stanisław Stroński

— kierownik Katolickiego Ośrodka Wydawniczego "Veritas", Józef Kisielewski.

Bibliografia

Polonica niemieckie od 1.IX 1939 do 31.XII. 1948 roku

BUDRYS, W. *Kolorowa ścieżka*. Wydawnictwo «Słowo Polskie» w Monachium-Dillingen 1946. Str. 48.

BUJNOWSKI, JÓZEF. *Powroty*. Zbiór V. Poezje. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1947. Str. 51 + 1 nlb.

BUJONEK, JÓZEF. Ks. *U stóp ołtarza*. Modlitwy i pieśni. Przygotował do druku... Darmstadt, Obóz Polski «Lwów», 1945. Str. VIII + 376. (Nakł. 10.000 egz.).

BURSKI, ANATOL. *Co wiedzieć powinien kierowca?*. Zeszyt pierwszy Biblioteczki Praktycznej pod redakcją... Wydawnictwo «Tola», Monachium 1946. Str. 48. (Nakł. 2000 egz.).

Catalogue «POKA» of the exhibition of polish art 10th-20th May 1946. Polish Culture and Artistic Union, Hannover 1946. Str. 29 nlb.

CENTRALA BIBLIOTEK. *Księga inwentarzowa*. Wydawn. Zjednoczenia Polskiego w Niemczech. Schwandorf 1947.

CH. J. DYPL. MJR. *Monte Cassino*. Bitwa sześciu narodów. Nro 20. Wyd. Jutra Pracy. Lippstadt 1947. Str. 2 nlb. + 32.

CHART, EDMUND. Ks. *Spis pomordowanych Polaków w Obozie koncentracyjnym w Dachau*. Wyd. «Słowo Polskie» Dachau-Monachium-Freimann-Dillingen 1947. Str. XXIV + 288. (Nakł. 3200 egz.).

CHART, EDMUND. Ks. *H 4528 Labor Service Co Det. «A» attached to 1077 L.S.C. Frankfurt n. Menem*. Wyd. «Słowo Polskie» Dachau-Freimann-Monachium-Dillingen 1946. Str. 48.

CHMIELECKI. *Rachunek białka w gospodarstwie*. (Skrypt-powielacz) Str. 6.

CHMIELEWSKA, MARIA. *Baden Powell i harcerstwo*. Nakładem Związku Polaków w Hamburgu 1945. Str. 15.

CHODAK, EDMUND. *Elementarz*. Wydanie Referatu Ośw. Kult. P.O.W.X. Schleswig 1945. Str. 80.

CHOYNOWSKI, PIOTR. *Młodość, miłość, awantura*. Powieść Niemcy Zachodnie 1948. Wydawnictwo Polskie na Obczyźnie. Str. 95 + 1 nlb.

CHROSTEK, KONRAD. *Album*. Na pamiątkę z Freimann-Munich DP-Center. Wydane przez Zrzeszenie Ośrodków Polskich Bawarii Południowej i Szwabii. Monachium 1946. Str. 42; (21 fotografii Ośrodka).

CHWIAŁKOWSKI, Z., SCHAYER, W., TARSKI, A. *Geometria dla trzeciej klasy gimnazjalnej*. Wydanie II. Nakład. Polsk. Zw. Wych. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. 106 + 4 nlb.

Chrześcijański ustrój społeczny: Leon XIII: *Rerum Novarum*. Pius XI: *Quadragesimo Anno*. Myśli Katolickie Nro 3. Wyd. «Słowo Katolickie» 1948. Monachium. Str. 96.

CIESIELSKI, J. *Pamiętka z Gmuendu*. Album-jednodniówka, poświęcona Obozowi Górnemu w Schwäbisch-Gmünd. (24 fotografie na papierze czerpanym). Schwäbisch-Gmünd (Rems-Druckerei) grudzień 1945. Str. 12. (Nakł. 2000 egz.).

CIEŚLAK, JÓZEF. *Regulamin mieszkańców Polskiego Ośrodka zbornoego Luitpold Kaserne*. Wydawn. «Słowo Polskie» Dillingen 1946. Str. 8. (Nakł. 1000 egz.).

Conc. Camp Dachau. Album. 40 fotografii z byłego Obozu Koncentracyjnego Dachau. Wydane przez Międzynarodowe Biuro Informacyjne Dachau 1946. Str. 80. (Tekst informacyjny o Monachium pióra Jarosława Horskigo).

CONRAD, JOSEPH, (JÓZEF KONRAD-KORZENIOWSKI). *Tajfun*. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1945. Str. 40.

Contribution to the question of reparations for the foreign political persecutes of the Nazi Regime. (Wydawn. Zw. Byłych Więźń. Polityczn.) Munich, October 1947. Str. 25 + 3 nlb.

COOPER, FENIMORE. *Ostatni Mohikanin*. Dla młodzieży. Wydawn. Polsk. R. Wegner w Norymberdze 1948. Str. 34.

CYGAN, EDWARD. *Rurociąg do Mościc*. Ludwigsburg 1946. Str. 84.

CZABAŃSKI, JAROSŁAW. *Skrypt do Nauki geografii Polski dla I klasy gimnazjalnej*. (Powielacz). Wydział Oświaty i Kultury w Wildflecken-Durzyn 1945. Str. 27. (Nakł. 50 egz.).

CZABAŃSKI, JAROSŁAW. *Skrypt do nauki przyrody dla I klasy gimnazjalnej*. (Powielacz). Część I. Ssaki. Wydział Oświa-

ty i Kultury w Wildflecken — Durzyn 1945. Str. 36. (Nakł. 50 egz.).

CZELUŚNIAK, ANDRZEJ, Prof. Teol. *Droga wiary. Zarys Nauki Religii*. Zeszyt I. Ośrodek Polski w Darmstadt 1946. Str. 43 + 1 nlb.

CZERWIŃSKI, WINCENTY, Inż. Dypl. *Podręcznik warsztatowy Cz. I*. Wydanie drugie. Wydane przez Zw. Polaków. Hamburg 1946. Str. 109.

CZERWIŃSKI, WINCENTY, Inż., Dyrektor Miejskiego Gimnazjum Mechanicznego Im. M. Konarskiego. *Zasady kalkulacji kosztów własnych w rzemieślniczym warsztacie ślusarskim*. Wydawnictwo T. Starczewskiego (Strażnica). Celle 1946. Str. 45 + 3 nlb.

DARGIELOWA, ALEKSANDRA i OBERFELDÓWNA, ANNA. *Chce czytać*. (Elementarz). Ułożyły... Str. 100.

DĄBROWSKI, EUGENIUSZ, Ks., Dr. Św. Teol., Dr. Nauk Bibl. *Pismo Święte Nowego Testamentu*. Wstęp, nowy przekład z Wulgaty, komentarz przez... Wydanie podręczne. Wyd. Inspektorat Nauki Religii T.P.P. Niemcy 1948. Str. XVI + 799 + 5 nlb.

DĄBROWSKI, JULIUSZ, Haremistrz. *Gry i zabawy w izbie harcerskiej*. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. 61 + 4 nlb.

DĄBROWSKI, MIECZYŚLAW, Dr. Ks. *Życie katolickie*. Podręcznik liturgiki. Nakładem Funduszu Duszpasterstwa Polskiego. Quakenbrück 1947. Str. 128.

DĄBROWSKI, PAWEŁ, Ppor. *Zwalczanie chorób i szkodników roślinnych*. Skrypt według wykładów... Nakładem Polsk. Organiz. Zawodowych, Lubeka 1946. (Powielacz) Str. 33.

Delegacja Polonii Westfalsko-Nadrenskiej w Kraju 17.XII. 1946 — 22.I.1947. Sprawozdania i wrażenia. Nakładem Związku Polaków w Niemczech, Bochum 1947. Str. 40.

Delegatura Polska. Okręg Brunświk-Południe 1945. Str. 14 + 2 nlb.

Deklaracja ideowa-statut. Regulamin Koła. Instrukcja organizacyjna uchwalona przez Zjazd Delegatów dn. 20 stycznia 1946. Wydawnictwo Polsk. Zw. Był. Więźn. Polit. Niemiec. Obozów Koncentr. na terenie Stref. Okup. Ameryk. Monachium 1946. Str. 13 + 3 nlb.

Die Auswärtige Politik Preussens 1858 — 1871. Diplomatische Aktenstücke Hrsg. v. Reichsinstitut für Geschichte d. neuen Deutschlands unter Leitung von Arnold Oskar Mayer. (12Bde) Abt.2,3.I=B.6.10.d.Gesamtreihe. Stalling, Oldenburg 1939.

DMOWSKI, ROMAN. *Kościół, naród, państwo*. Wydawnictwo «Słowo Polskie» Dachau-Freiman-Monachium-Dillingen 1946. Str. 23 + 1 nlb.

DMOWSKI, ROMAN. *Polityka polska i odbudowanie państwa*. Z dodaniem memoriału «Zagadnienia środkowo i wschodnio-europejskie» i innych dokumentów polityki polskiej z lat 1914-1919. Wydanie trzecie według wydania oryginalnego. Hanower 1947. Tom I. Str. 258 + 2 nlb.; Tom II. Str. 168 + 4 nlb.

DOBOSZYŃSKI, ADAM. *Studia polityczne*. Na uchodźstwie 1947. Str. 493 + 3 nlb.

DOBRACZYŃSKI, JAN. *Mocarz*. Powieść. Wyd. «Słowa Katolickiego» (Dawn. «Słowo Polskie»). Dachau-Freimann-Monachium-Dillingen 1948. Str. 182 + 2 nlb.

Dokąd chciałbym pojechać?... Głosy prasy na temat możliwości emigracji zamorskiej. Zeszyt I. Brazylia-Argentyna-Australia-Kanada. Wydawnictwo «Jutra Pracy» Nro 22. Lippstadt 1947. Str. 52.

Drobiazgi. Zbiorek nowel. Nro 11. Wyd. «Jutra Pracy» w Knechtsteden 1946. Str. 20.

Droga do nieba. Książka do nabożeństwa dla katolików. Hanower 1945 (?). Str. 127.

Droga do nieba. Książka do nabożeństwa dla katolików. Wydanie drugie, skrócone. Przedruk z wydania wrocławskiego z roku 1940). Hanower 1946. Str. 127 + 1 nlb.

DUBAJ, FRANCISZEK. *Nie rzucim ziemi*. Zbiór polskich pieśni narodowych, ludowych i żołnierskich. Wydawn. Ks. Ign. Rabstyna Schwäbisch Gmünd-Lorch/Württ. 1946. Str. 173 + 3 nlb. (Nakł. 7500 egz.).

DUDZIŃSKI, WACŁAW. *Powrót. Dwie nowe*. «Wydawn. Polskie» w Solingen 1947. Str. 25 + 3 nlb.

DUDZIŃSKI, WACŁAW. *Zagubione drogi*. Powieść. Odbito w drukarni Carl Vieth Solingen-Ohligs. Oddział Polski 1946. T. I. Str. 272 + 6 nlb.; T. II. Str. 264 + 6 nlb.

DWORNIK, KLEMENS. O. OFM. *Pieśni na Boże Narodzenie*. Schwäbisch Hall 1945. Str. 16.

Dwudziesty czwarty pułk ułanów. Księga pamiątkowa. Wydawn. «Strażnica», Celle 1947. Str. 48 + 1 tabl.

DYBOWSKI, MIECZYŚLAW. Ks. Dr. *Życie katolickie*. Podręcznik liturgiki. Nakładem Funduszu Duszpasterstwa Szkolnego, Quakenbrück 1947. Str. 128.

DYGASIŃSKI, ADOLF. *Gody życia*. Nro 33. Wyd. «Jutra Pracy» w Lippstadt 1947. Str. 122.

DZ., J. *Przed laty*. Opowiadania z dziejów ojczystych. Wydawnictwo Antoniego Markiewicza, Celle-Unterlüss 1946. Str. 74 + 2 nlb.

(D.c.n.)

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązując do pracy p. H. Lerskiej w listopadowym zeszycie "Kultury" chciałbym dorzucić jeszcze jedną pozycję do wykazu druków i periodyków wychodzących w kraju w czasie okupacji. Była to osobliwość zgoła niezwykła: "Taternik", kontynuacja organu Klubu Wysokogórskiego Polskiego Tow. Tatrzańskiego, wychodzącego od r. 1907. Ostatni Redaktor tego pisma, wychodzącego w Warszawie co 2 miesiące, Zdzisław Dąbrowski, zastrzelił się jako oficer W. P. w dniu kapitulacji Warszawy 27.9.1939. Grono taterników Warszawskich podjęło w 4 miesiące potem myśl kontynuowania "Taternika" i poczynając od 1940 do 1944 roku pismo to ukazywało się w ilości 200 egzemplarzy jako kwartalnik, bity na powielaczu. Ukazały się 4 roczniki pełne, ostatni, za r. 1944, odbity ale nie gotowy, pozostał w czasie Powstania w ukryciu i wydany został dopiero po wojnie.

Redakcja mieściła się w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Redaktorami byli: dr. med. Tadeusz Orłowski i niżej podpisany, podówczas kier. ref. pras. VI Oddz. K.G.A.K.

Każdy zeszyt składał się z 20 stron w okładce kartonowej, a wyposażony był w oryginalne zdjęcia fotograficzne. Tak np. rocznik 1942, poświęcony polskiej wyprawie himalajskiej (1939 r.), liczył 80 stron plus 20 zdjęć (łącznie 1600 stron plus 400 odbitek fotograficznych w wykonaniu 2 redaktorów i maszynistki p. Zofii Zielińskiej). Wśród autorów byli prof. dr. E. Loth (sprawozd. z wyprawy w Ruwenzori 1939 r.), p. J. Klarnier (sprawozd. z wyprawy w Himalaje), inż. J. Chmielewski (świetny artykuł o K. Tetmajerze jako poecie Tatr), prof. J. W. Żuławski (art. alpejskie) i wielu innych.

Sądze, że "Taternik" może znaleźć miejsce w rzędzie wydawnictw konspiracyjnych, mimo, że interesował dość szczupłe grono "wtajemniczonych" (ok. 150 osób).

Wyrazy szacunku łączę.

Sławomir DUNIN-BORKOWSKI

Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za rok 1949

W roku 1949 ukazało się dwanaście numerów (dziesięć zeszytów, w tym dwa podwójne) KULTURY, oznaczonych numerami od 15 do 26 włącznie. Poczynając od zeszytu kwietniowego zmuszeni byliśmy wprowadzić numerację podwójną (1/18), gdyż w tym czasie KULTURA uzyskała licencję jako periodyk. Każdy pojedynczy numer KULTURY zawierał 160 stron, numer podwójny 16/17 — 256 stron, zaś numer 4/21-5/22 — 240 stron.

Od stycznia 1950 r. na grzbiecie KULTURY będzie umieszczony faktyczny kolejny numer od początku wychodzenia pisma (w tym wypadku 27), zaś na okładkach numery kolejne, poczynając od pierwszego, łamane przez numer faktyczny.

Spis autorów

ANDRZEJEWSKI Bogumił, ARON Raymond — BOBKOWSKI Andrzej, BREGMAN Aleksander, BURNHAM James — CAREW Thomas, CRASHAW Richard, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZUCHNOWSKI Marian — DANIELOU Jean, S.J., DAYLEWIS Cecil, DONNE John, DRWEŚKA Alicja, DZIURMAN Kazimierz Stanisław — FABRE-LUCE Alfred, FEDUKOWICZ Helena, FEUERRING Maksymilian, FLORCZAK Zbigniew — GAMMA, GLINKA Xawery, GROBICKI Aleksander, GRYZIEWICZ Stanisław — HEINRICH Tadeusz, HERBERT George, HERRICK Robert, HOLCMAN Jan, HOSTOWIEC Paweł, HRABYK Klaudiusz — JANTA Aleksander, JORDAN Zbigniew, JURKSZUS Jadwiga — KARDOSZ Julian, KOESTLER Arthur, KOLUPAILA Steponas, KONARSKI Szymon, KORBOŃSKI Stefan, KORCZYŃSKI Aleksander, KOŚCIAŁKOWSKI-ZYNDRAM Wacław, KOWALEWSKI Janusz, KOWALEWSKI-DOLEGA Jerzy, KOWALIK Jan, KRAKOWIECKI Anatol, KRÓLIKOWSKI R., KRZEMUSKI Ludwik, KUCHARSKI Janusz, KUKIEL Marian — LEDNICKI Wacław, LERSKA Hanna, LERSKI Jerzy, LESZCZA Jan, LOVELACE Richard — MALAPARTE Curzio, MALINOW-

SKI-POBÓG Władysław, MAŁANIUK Jewhen, MARVELL Andrew, MAULNIER Thierry, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIKE, MILLER Artur, MIRZWIŃSKI Henryk, MIŻ Mamert, Mr. — NAGLEROWA Herminia, NAGÓRSKI Zygmunt, jr., NEKASZYDZE Jerzy, NORWID Cyprian, NOWAK Jan, NOWAKOWSKI Tadeusz, NOWOSAD Witold — OLECHOWSKI Jan, OSMECKI-IRANEK Kazimierz — PIETRKIEWICZ Jerzy, PILATOWA Janina, POTOCKI Józef, PRZYŁUSKI Bronisław — R. J., RACZYŃSKI Edward, RADZYMIŃSKA Józefa, ROGALIŃSKI Karol — SOKOLNICKI Michał, SOŁOWIJ Tadeusz, SPERBER Manes, SZCZAPOWICKI Konstanty, SZYSZKO-BOHUSZ Zygmunt, SZYSZKOWSKI Wacław — ŚMIGŁY-RYDZ Edward — TARNAWSKI Wit, TERLECKI Tyman, TICHBORNE Chidiock, TOPOLSKI Feliks — URSYN Józef — VAUGHAN Henry, VINCENT Stanisław — WADWICZ Janina, WAŃKOWICZ Melchior, WEINTRAUB Wiktor, WIERZYŃSKI Kazimierz, WRAGA Ryszard — ZADEYKAŃSKI Jan, ZADROŻNY Stanisław, ZALESKI Wojciech, ZBYSZEWSKI W. A., ZGAŃSKI Tadeusz — ŻYLIŃSKI Wiesław, ŻYWINA Józef.

Artykuły polityczne

ARON Raymond: *Wielka schizma*, przeł. Daniel Świeżawski (15).
 BURNHAM James: *Walka o świat*, przeł. Józef Ursyn (9/26).
 FABRE-LUCE Alfred: *Jak mogłaby powstać Europa*, przeł. Józef Ursyn (7/24).
 FLORCZAK Zbigniew: *Examen libre* (2/19).
 — *Podróż na horyzonty* (3/20).
 GAMMA: *Sytuacja międzynarodowa z perspektywy paryskiej* (15).
 GRYZIEWICZ Stanisław: *Gospodarstwo powojenne W. Brytanii* (2/19).
 KONARSKI Szymon: *Analiza rozkładu* (3/20).
 KORCZYŃSKI Aleksander: *Być albo nie być* (3/20).
 MAULNIER Thierry: *To czego Koestler nie przewidział*, przeł. D. Świeżawski (16/17).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *List do redakcji* (8/25).
 MIŻ Mamert: *List do redakcji* (8/25).
 NAGÓRSKI Zygmunt, jr.: *Wywiad z Dymitrowem* (2/19).
 RACZYŃSKI Edward: *Konferencja brukselska* (1/18).
 ROGALIŃSKI Karol: *Z dialektyki postępu* (4/21-5/22).
 SOŁOWIJ Tadeusz: *Życie ekonomiczne w Polsce* (9/26).
 SZYSZKOWSKI Wacław: *Sowietyzacja prawno-polityczna Polski* (8/25).
 ŚWIEŻAWSKI Daniel (tłumacz.) ob. Aron Raymond, Thierry-Maulnier.
 URSYN Józef (tłumacz.) ob. Burnham, Fabre-Luce.
 WAŃKOWICZ Melchior: *Klub trzeciego miejsca* (6/23).
 WRAGA Ryszard: *Pacyfikacja polskiego komunizmu* (9/26).

ZBYSZEWSKI W. A.: *Anglia po 3-ch latach socjalizmu* (15).
 — *Zmartwienia pesymisty* (2/19).

Artykuły i essaye z dziedziny literatury, sztuki i inne

BOBKOWSKI Andrzej: *Na tyłach* (16/17).
 CZAPSKA Maria: *Z doświadczeń Wielkiej Emigracji* (16/17).
 CZAPSKI Józef: *«Ja»* (15).
 — *Kapitałny chłopak* (7/24).
 — *Maritain miał rację?* (3/20).
 — *Mel* (16/17).
 — *Spowiedź dziecięcia wieku* (1/18).
 — *Szeptem* (6/23).
 DANIELOU Jean, S.J.: *Prądy intelektualne we Francji*, przeł. J. Ursyn (8/25).
 DAY-LEWIS Cecil: *Obraz poetycki* (dok.), przeł. V. A. (15).
 GLINKA Xawery: *Wspomnienie o Leśmianie* (4/21-5/22).
 GROBICKI Aleksander: *Polacy w U.S.A. w 1833 r.* (1/18).
 HOSTOWIEC Paweł: *Dom Strawińskiego w Uściugu* (8/25).
 — *Nowy dziennik podróży do Niemiec* (2/19, 3/20, 4/21-5/22).
 KARDOSZ Julian: *Naród w wędrówce* (15).
 KUKIEL Marian: *Księżę Adam* (4/21-5/22, 7/24).
 LEDNICKI Wacław: *O prozie Puszkina* (9/26).
 NOWOSAD Witold: *Na marginesie «Lalki» Prusa* (15).
 TARNAWSKI Wit: *O formie artystycznej Conrada* (9/26).
 TERLECKI Tyman: *Mickiewicz wieczny* (16/17).
 TOPOLSKI Feliks: *Lato i jesień* (3/20).
 URSYN Józef: *O myśleniu schematami* (15).
 — (tłumacz) ob. Danielou.
 VINCENZ Stanisław: *Czym może być dziś dla nas Dante* (4/21-5/22).
 V. A. (tłumacz) ob. Day-Lewis.
 WEINTRAUB Wiktor: *Mickiewicz-Bakunin* (8/25).
 ZADEYKAŃSKI Jan: *Francuzi w Polsce* (3/20).
 — *Polacy w literaturze francuskiej* (4/21-5/22).

Powieści, nowele, fragmenty powieściowe i wspomnienia

DZIURMAN Kazimierz Stanisław: *Jeden rejs* (9/26).
 FURATYK Leon (tłumacz), ob. Sperber.
 HERTZ Zofia (tłumacz), ob. Malaparte.
 HOLCMAN Jan: *Niewinny spacer po New Yorku* (8/25).
 KOESTLER Arthur: *Ciemność w południe*, przeł. Tyman Terlecki (16/17).

KRAKOWIECKI Anatol: *O Sieroszewskim na Kołymie* (2/19).
 MALAPARTE Curzio: *Historia jutra*, przeł. Zofia Hertz (6/23).
 NAGLEROWA Herminia: *Czerwona linia* (dok.) (15).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *P.R.C.* (15).
 SPERBER Manes: *Głębsze niż otchłań*, tłum. Leon Furatyk (9/26).

TERLECKI Tymon (tłumacz.) ob. Koestler.
 URSYN Józef: *Mowgli w Paryżu* (7/24).
 VINCENZ Stanisław: *Rarytas* (2/19).
 WRAGA Ryszard: «*Trust*» (4/21-5/22).

Utwory poetyckie

ANDRZEJEWSKI Bogumił: *Podróż sentymentalna* (2/19).
 CZUCHNOWSKI Marian: *Kawiarenka artystów* (3/20).

- *Nadmorski park* (3/20).
- *Ryba bałtycka* (3/20).
- *U sprzedawcy szarf* (3/20).
- *W kilkunastu zdaniach* (3/20).
- *Znajoma w chustce* (3/20).
- *Żołnierka* (3/20).

JANTA Aleksander: *Słowo o kłótni* (16/17).
 KOWALEWSKI-DOŁĘGA Jerzy: *Deo iuvante* (6/23).
 — *Dr Smyk* (2/19).
 — *Podróż irracjonalna* (6/23).
 — *Puszkiniada* (7/24).

KOWALIK Jan: *Zwierzenie* (7/24).
 LESZCZA JAN: *Piosenki na drugie skrzypce* (3/20).
 MAŁANIUK Jewhen: *Z wierszy warszawskich* (16/17).
 MIRZWIŃSKI Henryk: *Czasem* (6/23).
 — *Zwierciadło* (6/23).

OLECHOWSKI Jan: *Wczoraj i dziś* (16/17).
 PRZYŁUSKI Bronisław: *Poemat nielogiczny* (4/21-5/22).
 PIETRKIEWICZ Jerzy: *Barok angielski* (3/20).
 RADZYMIŃSKA Józefa: *Krajobraz* (7/24).
 ŚMIGŁY-RYDZ Edward: *Wiersze* (8/25).
 WADWICZ Janina: *Nawóz* (7/24).
 WIERZYŃSKI Kazimierz: *O ceratowej wstążce* (16/17).

- *O moim geniuszu* (16/17).
- *O naszych kwiatach* (16/17).
- *Patagonia* (2/19).
- *Rośliny* (16/17).
- *Wiatr* (16/17).
- *Wiersz określający znaczenie lisa* (2/19).
- *Wyprawa do Abisynii* (2/19).

ŻYWINA Józef: *Podróż poranna* (16/17).

Najnowsza historia Polski

BREGMAN Aleksander: *Gdyby w 1933 r. usłuchano Józefa Piłsudskiego* (15).
 HRABYK Klaudiusz: *Przemilczane podziemia* (1/18).
 KORBOŃSKI Stefan: *Pierwsze władze Polski Podziemnej* (7/24).
 — *Testament podziemia* (3/20).
 KORCZYŃSKI Aleksander: *Zabiegi niemieckie u Paderewskiego* (2/19).
 KOŚCIAŁKOWSKI-ZYNDRA Wacław: *Litwo, Ojczyzno moja* (3/20).
 KOWALEWSKI Janusz: *Boy i Bartel we Lwowie w 1939 r.* (15).
 — *Gdy ministrowie byli wywrotowcami* (8/25, 9/26).
 MALINOWSKI-POBÓG Władysław: *Parę uwag o wojnie, której nie było* (2/19).
 NOWAK Jan: *Operacja «Whitehorn»* (4/21-5/22).
 OSMECKI-IRANEK Kazimierz: *A.K. zdobywa tajemnicę «V»* (16/17).
 SOKOLNICKI Michał: *Monachium* (1/18).

Recenzje i sprawozdania

GAMMA: «*Dołta*» (8/25).
 HERTZ Zofia (tłumacz), ob. Koestler.
 HOSTOWIEC Paweł: *Hitler i jego szef sztabu* (7/24).
 JORDAN Zbigniew: *Współczesna filozofia europejska* (2/19).
 JURKSZUS Jadwiga: *Powieść rodowa* (8/25).
 KOESTLER Arthur: *Półdziewice i upadłe anioły* (przeł. Zofia Hertz) (9/26).
 KORCZYŃSKI Aleksander: *Książki o Niemczech* (16/17).
 — *Niemcy podziemne* (15).
 KORCZYŃSKI Aleksander i KUCHARSKI Janusz: *Prawdy i legendy dziejów narodu wybranego* (4/21-5/22).
 LERSKI Jerzy: *Konferencja w San Francisco* (16/17).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Pochlebcy znużenia* (7/24).
 Mr.: *Recenzja wbrew sobie* (15).
 POTOCKI Józef: *Nowe wydawnictwa z historii stosunków polsko-hispańskich* (15).
 SOKOLNICKI Michał: *O głupstwach ludzi dostojnych* (2/19).
 — *Polska nieśmiertelna* (3/20).
 SZYSZKO-BOHUSZ Zygmunt: *Jak powstało dzieło «Bitwa o Monte Cassino»* (3/20).
 URSYN Józef: *Czyżby nowe prądy w literaturze kryminalnej* (4/21-5/22).
 — *O książkach Adolfa Rudnickiego* (3/20).
 WAŃKOWICZ Melchior: *Spowiedź pokolenia* (2/19).
 WEINTRAUB Wiktor: *Książki angielskie* (15).
 — *Shaw o sobie* (2/19).
 ZALESKI Wojciech: *Czy meteor?* (2/19).

ZBYSZEWSKI W.A.: *Opus Magnum A. Krzyżanowskiego* (16/17).
 ZYLINSKI Wiesław: *Epizod ukraińskiego romansu historycznego* (3/20).

Kronika kulturalna

CZUCHNOWSKI Marian: *«Sami swoi»* (4/21-5/22).
 DRWESKA Alicja: *Wystawa T. Potworowskiego* (16/17).
 FLORCZAK Zbigniew: *«Filmowe macaroni»* (8/25).
 — *Sprawy sztuki w Polsce* (4/21-5/22).
 GLINKA Xawery: *Polacy pod cedrami libańskimi* (9/26).
 HEINRICH Tadeusz: *Na scenach paryskich* (1/18, 7/24).
 JANTA Aleksander: *Przewodnik dla piszących Polaków* (3/20).
 — *Przypisy do przewodnika dla piszących Polaków* (9/26).
 PILATOWA Janina: *«Rozmowy o języku»* (8/25).
 ZADROŻNY Stanisław: *Bukiniści* (15).

Straty kultury polskiej

HOSTOWIEC Paweł: *Wspomnienie o Piotrze Borkowskim* (4/21-5/22).
 MALINOWSKI - POBÓG Władysław: *Wacław Socha - Lipiński* (3/20).
 MILLER Artur: *Sędzia humanista* (8/25).

Sprawy i troski

KRÓLIKOWSKI R.: *Polacy w Afryce Wschodniej* (9/26).
 LERSKI Jerzy: *Polacy z «Nord»* (1/18).
 R. J.: *Perspektywy emigracji do Stanów Zjednoczonych* (3/20).
 ZBYSZEWSKI W.A.: *Bilans emigracji w Anglii* (4/21-5/22).

Pamiętnik zjazdu naukowego w Monachium

28. VIII. 1948 r.

FEDUKOWICZ Helena: *Przebieg chorób ocznych u D.P.* (1/18).
 FEUERRING Maksymilian: *Pierre Bonnard (1887-1947)* (1/18).
 KOLUPAILA Steponas: *Nowe kierunki współczesnej hydrometrii* (1/18).
 KRZEMUSKI Ludwik: *Na marginesie procesów norymberskich* (1/18).
 NEKASZYDZE J.: *Postać i epoka króla Dawida Odnowiciela* (1/18).
 SZCZAPOWICKI Konstanty: *Obliczenia trakcyjne i ekonomiczne środków transportowych* (1/18).
 ZALESKI Wojciech: *Gospodarcze źródła współczesnego kryzysu kultury* (1/18).

ZGAIŃSKI Tadeusz: *Problem kształcenia politycznego w ustroju demokratycznym* (1/18).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

BURNHAM James: *Walka o świat*, przeł. Józef Ursyn (9/26).
 CAREW Thomas: *Pieśń. Wierność miłości poręczona*, przeł. Jerzy Pietrkiewicz (3/20).
 CRASHAW Richard: *Na rany Ukrzyżowanego*, przeł. Jerzy Pietrkiewicz (3/20).
 DAY-LEWIS Cecil: *Obraz poetycki* (dok.), przeł. A. V. (15).
 DONNE John: *Anniwersarz*, przeł. Jerzy Pietrkiewicz (3/20).
 — *Wschód słońca*, przeł. Jerzy Pietrkiewicz (3/20).
 HERBERT George: *Śmierć*, przeł. Jerzy Pietrkiewicz (3/20).
 HERRICK Robert: *Wiśnie świeże*, przeł. Jerzy Pietrkiewicz (3/20).
 KOESTLER Arthur: *Ciemność w południe*, przeł. Tymon Terlecki (16/17).
 LOVEFACE Richard: *Do Lucasty, jadąc za morza*, przeł. Jerzy Pietrkiewicz (3/20).
 MARWELL Andrew: *Do cnotliwej damy*, przeł. Jerzy Pietrkiewicz (3/20).
 TICHBORNE Chidiock: *Elegia*, przeł. Jerzy Pietrkiewicz (3/20).
 VAUGHAN Henry: *Oto odeszli*, przeł. Jerzy Pietrkiewicz (3/20).

Z języka francuskiego

ARON Raymond: *Wielka schizma*, przeł. Daniel Świeżawski (15).
 DANIELOU Jean, S. J.: *Prądy intelektualne we Francji*, przeł. Józef Ursyn (8/25).
 FABRE-LUCE Alfred: *Jak mogłaby powstać Europa*, przeł. Józef Ursyn (7/24).
 KOESTLER Arthur: *Półdziewice i upadłe anioły*, przeł. Zofia Hertz (9/26).
 MAULNIER Thierry: *To czego Koestler nie przewidywał*, przeł. Daniel Świeżawski (16/17).
 SPERBER Manes: *Głębsze niż otchłań*, przeł. Leon Furatyk (9/26).

Z języka włoskiego

MALAPARTE Curzio: *Historia jutra*, przeł. Zofia Hertz (6/23).

Bibliografia

KOWALIK Jan: *Polonika niemieckie od 1. IX. 1939 do 31 XII. 1948 r.* (9/26).

LERSKA Hanna: *Druki Polski Podziemnej i wydawnictwa powstańcze* (8/25).

— *Zaczątek bibliografii druków Polski Podziemnej pod okupacją 1939-1944* (15).

Przedruki

NORWID Cyprian: *Listy* (7/24).

Listy do Redakcji

HRABYK Klaudiusz: *List do Redakcji* (4/21-5/22).

JANTA Aleksander: *List do Redakcji* (16/17).

— *List do Redakcji* (9/26).

MIKE: *List do Redakcji* (7/24).

WAŃKOWICZ Melchior: *List do Redakcji* (15).

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE «LIBELLA»

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Imprimerie S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20^e)

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1950.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egzempl. pojed.	Prenumerata	
		½ roczna	Roczna
FRANCJA: "LIBELLA", 12, rue St-Louis en l'Île, PARIS IV ^e	120 fr.	770 fr.	1446 fr.
W. BRYTANIA: "GRYF", Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, LONDON E.C. 1.	3 sh.	16 sh.	39 sh.
WŁOCHY: Jan GROCHOWSKI, 81, via della Croce, ROMA.	200 lir	1200 lir	2000 lir
SZWECJA: Red. Norbert ZABA, Kallskärsgatan 3/IV, STOCKHOLM.	2,50 kr.	12 kor.	2½ kor.
NIEMCY: Wojciech ZALESKI, (14 a) HEILBRONN, Polish Camp Schwabenhof.	2,50 DM	15 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Dr Mieczysław SANGOWICZ, FRIBOURG 1, case 155	1,80 sfr.	10 sfr.	13 sfr.
ARGENTYNA: Jan Miecznikowski i Tadeusz Dąbrowski, "SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ", Av. Leandro N. Alem 641, BUENOS AIRES	4 peso	24 peso	48 peso
KANADA: BOOKS AND NEWSPAPERS AGENCY, H. R. Radomski, 400, Palmerstone Blvd., TORONTO/ONT., tel. ME 0609	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Przedstawiciel na Stan New York — S. DZIARCZYKOWSKI, 414 Prospect Ave. Brooklyn 15, N. Y.			
Przedstawiciel na Stan Michigan — Kazimierz TROJANOWSKI, 6042 Jos Campan, DETROIT 11, Mich.			
Przedstawiciel na pozostałe Stany — M. K. DZIEWANOWSKI, 9, Oxford Street, CAMBRIDGE 38, Mass.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA i KONGO BELG.: Marie Christ. JANTA-POLCZYŃSKA, 24, Grande Rue au Bois, BRUXELLES, 3, Konto Cheque Postal 244 113 — Bruxelles ..	20 bfr.	100 bfr.	180 bfr.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz KRUSZYŃSKI, 71, Raglan Street, Sydeham, JOHANNESBURG	3 sh.	16 sh.	30 sh.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmuje: Julia BARCIŃSKA, C. Postal 4528, RIO DE JANEIRO	15 cruz	90 cruz	150 cruz

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Avenue Corneille, Maisons Laffitte. (S. et O.)

WYDAWNICTWA

INSTYTUTU LITERACKIEGO

ADAM MICKIEWICZ
KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA

HENRYK SIENKIEWICZ
LEGIONY

STANISŁAW SZPOTANSKI
PROMETEUSZE

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI
MIASTO MOJEJ MATKI

LEON BLUM
NA MIARĘ CZŁOWIEKA

PAWEŁ HOSTOWIEC
DZIENNIK PODRÓŻY DO AUSTRII I NIEMIEC

STANISŁAWA KUSZELEWSKA
KOBIETY

JÓZEF CHAŁASIŃSKI i JAN ULATOWSKI
PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ INTELIGENCJI POLSKIEJ

SERGIUSZ PIASECKI
JABŁUSZKO
NIKT NIE DA NAM ZBAWIENIA
SPOJRZE JA W OKNO...

TADEUSZ FELSZTYN
ENERGIA ATOMOWA

WACŁAW SIEROSZEWSKI
BENIOWSKI

ARTHUR KOESTLER
KRUCJATA BEZ KRZYŻA

ANTOLOGIA NOWELI WOJENNEJ (1939-45)
W OCZACH PISARZY

BOLESŁAW MICIŃSKI
PORTRET KANTA I TRZY ESSAYE O WOJNIE

JAN BIELATOWICZ
BRYGADA KARPACKA
PASSEGGIATA

STANISŁAW GRYZIEWICZ
ŚRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ

WERONIKA HORT
TUŁACZE DZIECI

JÓZEF CZAPSKI
NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

MELCHIOR WANKOWICZ
KLUB TRZECIEGO MIEJSCA

MARIAN KUKIEL
KSIĄŻĘ ADAM